

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XIX.

ROK V.

TOM III—ZESZYT III.

Wrzesień.

DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1880.

SPIS RZECZY.

I. SZKICE Z ANGLII. Przez *Sewera* 407

II. SZLACHTA W ŚWIETLE WŁASNYCH OPINII. Studyum historyczne. Przez *Wład. Smoleńskiego* 432

III. WOLNOŚĆ NAUCZANIA WE FRANCYI w obec uroszczeń państwa i kościoła. Przez *I. T. Hodiego* 456

IV. SYLWEK CMENTARNIK. Przez *E. Orzeszkową*. (Ciąg dalszy) 479

V. O UTWORZENIU U NAS SZKOŁY WYŻSZÉJ TECHNICZNÉJ. Przez *Maryana A. Baranieckiego* 51

VI. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA:

1). Encyklopedya wychowawcza wydawana przez T. ks. Lubomirskiego, Edw. Stawiskiego, St. Przystańskiego i J. K. Plebańskiego. Zeszyt 1-szy i 2-gi. Przez *P. Chmielowskiego* 535

2). Kiejstut. Trauerspiel in fünf Acten von Adam Asnyk. Uebersetzt von M. v. Reden. Przez *P. Chmielowskiego* 543

3). Nazwy miejscowe polskie Pruss Zachodnich, Wschodnich i Pomorza z przezwiskami niemieckiemi zestawił Dr. Wojciech Kętrzyński. Przez *E. Callier* 547

4). Wielka rodzina w wielkim narodzie, przez Ludwika Piotra Leliwę 553

VII. KRONIKA NAUKOWA. Przez *S. K.* 559

VIII. KRONIKA MIESIĘCZNA. 574

Druk ukończono 31 Sierpnia r. 1880.

SZKICE Z ANGLII.[1]

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Sobota, upragniony dzień w całéj Anglii, dla tych którzy pracują, dla wszystkich, którzy się czegoś spodziewają, dla każdego zresztą, kto bierze, lecz nie dla tych, którzy muszą dawać... Jest to dzień wypłaty robotnikom, służącym, urzędnikom, najmu za mieszkanie, piekarzowi i rzeźnikowi, kupcom en gros i małym dostawcom. Banki są przepełnione, czeki przebiegają z rąk do rąk, ruch, życie, a przy obrocie pieniędzy i ich napływie, wesołość i dużo uciechy.

Co to za wygoda, jak kraj zyskuje pod względem ekonomicznym przez przyspieszone termina wypłat. Cyrkulacya podniesiona, małym kapitałem, można obrać 52 razy na rok, na tak krótki czas łatwo obliczać sperandy, układać budżeta, w końcu oszczędzać, składać do kas, nie tracąc jednéj godziny z przyrostu procentu.

Obrót bieżącego kapitału angielskiego, ma się w stosunku do obrotu innych krajów, w których miesięczne wypłaty są uświęcone, jak 52 do 12. Dodajmy do tego wielki ruch weksli z miesięcznym i trzechmiesięcznym terminem, które posiadają zaufanie takie same jak papiéry publiczne, a poznamy jeszcze jedną więcéj przyczynę, kolosalnego bogactwa Anglii.

Na kontynencie posiadacze kapitału, przemysłowcy i bankierzy, wypłacając w miesięcznych ratach gaże, wiążą kapitał i centralizują go, obracając nim przez cały miesiąc, na własną korzyść. Tamują tym sposobem jego ruch, przeszkadzając rozdrobieniu, a zatem wzrostowi i powtórnemu z nadwyżką skupieniu.

---

(1) Niektóre ustępy „Szkiców z Anglii“ były drukowane w „Ruchu literackim“ i w „Tygodniu“ we Lwowie w r. 1875, a także w „Kłosach“ w r. 1876. Obecnie rzecz ta przez autora na nowo przerobiona, stanowi w całości swéj ciekawe studyum o społeczeństwie angielskiem, niechcąc psuć téj całości, zdecydowaliśmy się powtórzyć ustępy dawniéj drukowane, a naszéj publiczności zapewne mało znane (Przyp. Red.).

Wzrost i obrót kapitału, można śmiało porównać, do uprawy zboża. Z zebranego plonu gromadzimy ziarno do spichlerza, aby je ztamtąd wywieść i przy siejbie rozdrobić, w nadziei powtórnego obfitszego zbioru. Im częściéj moglibyśmy powtarzać tę operacyą, tém częstsze i obfitsze byłyby nasze zbiory.

Czuję, żem się źle przedstawił przy piérwszém wystąpieniu; jestem nudny jak stary profesor, który o niczém inném nie umie mówić, jak o swoich książkach, lub ekonomii. Stracę reputacyą przyjemnego człowieka i w końcu nie będę się mógł ożenić, chyba z sawantką, która mi odda rękę, dla uświęcenia zasady powagi rozumu i nauki. Szczęście że wybiła godzina 2-ga, nie w nocy, ale po południu! Bank angielski zamyka swoje podwoje, nerw życia przecięty, serce Londynu—City, raz jeszcze drgnęło i stanęło, nie bije już! Żelazne okiennice banków, jak czarna śmierć wychylają się z piwnic przy zgrzycie zębatych kół i szczęku łańcuchów. Czy które z dzieci ośmieli się gospodarzyć gdy ojciec legł, lub tylko spać się położył? Cisza zalega na City, robi się pusto i straszno, jak gdyby zaraza przeszła... uciekających wywożą omnibusy i koleje żelazne.

Za to w innych częściach miasta, ruch podwojony; publikhauzy, czyli po naszemu szynki, przepełnione; teatra w oblężeniu, dobry humor wybucha humbugiem angielskim, jak zwyczajnie kiedy się ma piéniądze w kieszeni i pewność, że będzie się je miało za tydzień. Można sobie pozwolić małego wybryku, to jest wypić pelall, lub stautu po 12 kufli, lub 24 szklanek grogu, a nabrawszy animuszu, wybić się, aby lecząc się, mieć nazajutrz zajęcie. Nareszcie iść do teatru wyśmiać się, albo wypłakać. Nie mówię już o cyrkach! ktoby się mógł tam dostać, w obec tłumów amatorów czekających po cztery godziny przed drzwiami kasy. Widziéć konie i klownów w Sobotę, należy do wygranych dnia.

Na rynkach i targach widzimy tłok, spowodowany przeważnie przez płeć nadobną, a wiekiem poważniejszą. Oszczędność przedewszystkiém, ztąd walka o cenę dochodzi do zenitu wytrwałości. Wszystkie produkta ulegające zepsuciu, jak mięso i ryby, co godzina, zacząwszy od 4-téj po południu spadają w cenie; nieprzedane tracą na wartości, gdyż jutro nie można ich zbyć. Missesy z bijącém sercem śledzą ruch tego wznoszenia się i spadku, cierpliwość godna uwielbienia. Koło godziny 7-éj wieczorem, cena spada o trzecią część, damy szturm przypuszczają, lecz gdy w miarę wzrostu pokupu, cena się podnosi, damy odskakują, czekając spokojnie na pewną ofiarę. Nareszcie 11-ta w nocy. Tu kończy się wyczekiwanie, trzeba kupić, albo być jutro głodnym, bo czasu tylko godzina. Atak rozpoczyna się na całéj linii, zabierają co jest, a wtedy i ceny podskakują w miarę bicia serc, z obawy by się nie zostało w Niedzielę bez objadu.

Dwunasta na zegarach miasta, rozbraja zapaśników; nieubłagany policmen stawia tamę zabiegom, obie strony zadowolone wracają do siebie.

Nie wszyscy, nie wszyscy niestety mają Sobotę tak pełną powabu i uśmiechu na jutro. Przedsiębiorcy, którym nie przyjęto roboty, fabrykanci którzy nie przedali swych wyrobów, a którzy gotówki nie mając, nie mogą wystawić czeku do swego bankiera, rzemieślnicy, którzy nie wykończyli zamówień, ci wszyscy znajdują się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Należy płacić robotnikom, a tu nie ma czém; pożyczyć? pewno się już pożyczyło gdzie tylko można, obfita w Anglii mina kredytu, prawdopodobnie wyczerpana, a tu trzeba bądź co bądź czas próby, lub czas gniewu losu przeczekać. Samemu łatwiéj przecierpiéć, ale robotnikom, służbie, musisz zapłacić koniecznie, niezbędnie, nieodwołalnie! Niezapłacony w Sobotę robotnik idzie prosto do obwodowego komisarza magistratu, wymienia nieodebraną sumę, którą zapisują do książki, i po sprawdzeniu, natychmiast za właściciela lub majstra wypłacają. Lecz wtedy ciężko i smutno! nie płacącemu wytaczają w Poniedziałek proces, za zawód i niedotrzymanie zobowiązań karząc dyscyplinarnie. Cóż tedy robić, chcąc się ratować? Trzeba zabrać własny zegarek, żonie kolczyki, lub broszkę, nareszcie materyał fabryczny, narzędzia, suknie, pościel... i te zanieść do zastawu aby uniknąć ruiny i wstydu.

Robotnik musi być zapłacony w oznaczonéj godzinie, robotnik musi być zdrów i mieć siły, gdyż w jego zdrowiu i sile spoczywa produkcya państwa, siła narodu, zwycięztwo konkurencyi. Robotnik angielski, mówi prawo, powinien mieć możność żywienia się regularnie, jeść mięso i pić dobre, mocne piwo! Dla tego jeżeli siłę robotnika angielskiego oznaczymy na 100, to w tym stosunku siła przeciętna robotnika francuzkiego wypada na 75, niemieckiego na 50, a polskiego na 30. Robotnik francuzki jé więcéj chléba jak mięsa, niemiecki przeważnie chléb, a polski wyłącznie ziemniaki i barszcz.

Czuję, żem się zestarzał, ciągle wracam do ekonomii i to tak zawzięcie, że może nawet sawantka namyślać się będzie, ażaliż ma iść za mnie z obowiązku, lub też z poświęcenia. Lecz cóżem winien że Roscher wymyślił to obliczenie, a nie skorzystać ze sposobności, aby je przytoczyć, cóżby sobie pomyślano, a co gorzéj powiedziano? Nasze damy, a zresztą wszystkie na świecie damy, lubią erudycyą i lubią gdy ich znajomi i przyjaciele mają sławę uczonych, tylko uczoności nie znoszą; protegują one uczonych, dowcipnych, wesołych, mówiących przyjemnie o wszystkiem, a tak czarująco o niczém. Tak, o niczém, w któremby atoli zawsze było coś, chociażby lekkie westchnienie, lub spojrzenie łzawe...

Wspomniałem o mięsie. Gosposie z méj ojczyzny tłustych łąk a chudych i twardych mięs, chodźcie, patrzcie, uwielbiajcie, zazdrośćcie, możecie nawet płakać, rozumie się ze złości. Oto baran jak wół, a wół jako słoń! Czterdzieści funtów mięsa bez kości i żył, mięsa pulchnego, ciemno czerwonego w jednéj bryle! Nie ma na świecie mięs, jak w Londynie i Anglii całéj, to téż nie ma zdrowszych i silniejszych ludzi, nie ma nigdzie piękniejszych dzieci, i szlachetnych miss ślicznéj zbudowanych.

Gdybym był wielkim człowiekiem, zawołałbym wielkim głosem: mięsa dla szczęścia ludzkości, do jéj wzrostu, do dobrego bytu, a z niego pracy, cywilizacyi, zdrowia i moralności!

Lud nasz żyjąc wyłącznie ziemniakami, musi pić wódkę, aby je strawił, do któréj się przyzwyczaja nabierając z czasem nieprzezwyciężonego pociągu. Wódka z kartofli nie tylko że upaja i odurza, ale nieraz wpływa na rodzaj obłędu umysłowego, stając się najczęściéj u *nas przyczyną częstych zbrodni, niewytłómaczonych*, ani złym charakterem, ani nikczemnemi pobudkami obwinionych.

Rozpowszechnienie użycia mięsa u ludu, skuteczniéj przyczyni się do wstrzemięźliwości, jak wszystkie przysięgi, których organizm żywiony ziemniakami i barszczem spełnić nie może, bo nie jest w stanie.

Zdaje się, że to niesłychanie ciekawa kwestya, jakim sposobem nagromadzona przeszło czteromilionowa ludność, może być zaopatrzoną co dzień w świeże mięso, jeżeli zważymy iż wyżywienie półmilionowéj armii, należy do najtrudniejszych zadań wojny.

Wszystkie wielkie rzeczy, dla tego że wielkie, muszą być proste i naturalne. Prostota jest przymiotem wielkości, naturalność podstawą prawdy.

Na przecięciu czterech podziemnych linij kolei żelaznych, w środku Londynu, stoi majestatycznie ze szkła i żelaza zbudowana olbrzymia halla w stylu włoskim, wyłącznie przeznaczona na skład i przedaż mięsa. Rano, przed świtem lokomotywy ciągną setki wagonów pełne wyprawionych już sztuk bydła, przybyłych z okolic Londynu, z całéj Anglii, nareszcie z kontynentu. Podziemnemi otworami dostają się wprost do halli, dla nabywców en gros, a ci dopiéro odprzedają cząstkowym przekupniom, kupującym po kilkanaście, lub kilka sztuk, którzy znowu odstępują swe zapasy krając na ćwierci, tak nazwanym butikierom, stykającym się bezpośrednio z konsumentami. Wozy i wózki zalegające plac halli rozwożą mięso po mieście do pomniejszych składów i sklepów; tę samę usługę oddają koleje. W dwie godziny cała czynność jest załatwioną, tak że już o godzinie 7 rano świeże mięso czeka na dobre apetyty angielskie. Gentle-

meni wychodząc rano do City, do ofisów (biór) lub w interesach, mogą przy herbacie zjeść kawał rozbifu, a kotlety zaś obłożone chlebem schować do torebek, które niezapominają ze sobą zabrać. Dla tego to tak często widać Gentlemenów, po ulicach Londynu z torebkami w rękach.

Pracować jak wół, a jeść jak koń... Co za niefortunne a nawet gminne porównanie! Kto inny nie omieszkałby napisać: pracować jak Syzyf, jeść zaś jak Vitelius cesarz rzymski, krótkotrwały pan świata. Co do mnie, muszę wyznać, że klasyczne to porównanie nie byłoby właściwe. Tu niema ani pracy Danaid, ani syzyfowéj, tu jest praca przedewszystkiém produkcyjna, i jeżeliby kto chciał śledzić postęp, który budując na tém co już jest zbudowane, wznosi się w nieskończoność, i jeźliby pragnął nauczyć się jak można korzystać z czasu, miejsca i okoliczności, aby czas pomnożyć przez pracę, pracę zaś rozdrobnić, aby pomnożyć czas; a wszystkiego tego dokonać bez niczyjéj opieki, protekcyi; bez pomocy rządu, ten niech przyjdzie tu, patrzy, słucha, a zebrawszy co się da, niech wraca do swojéj ojczyzny, nie żeby głosić wielkie idee, lecz aby w pracy być przykładem. Pokrwawi on sobie ręce z początku, uderzając o obojętność i niechęć, często złą wolę, najczęściéj zazdrość, lecz byle jednę drogę zbudował, na jeden nowy tor ludzi popchnął, a praca jego będąca z początku przykładem tylko, stanie się później źródłem odrodzenia. Należy jednak albo zwyciężyć, albo wcale nie zaczynać, aby usiłowania nasze nie świeciły zawsze pomnikami ruiny i dobrych chęci.

Anglik długo się namyśla i dobrze siły oblicza, zanim cokolwiek rozpocznie, zanim przyłoży rękę do dzieła. Lecz gdy raz postanowi, nie cofnie się; nie ma trudności, któréjby nie usiłował zwyciężyć, nie ma ofiary któréjby nie poniósł. W Anglii téż dzieła, tak pojedynczych ludzi, jak wielkich stowarzyszeń, rzadko kiedy upadają, i to jest główną podstawą charakteru angielskiego.

Anglik jest śmiały, przedsiębiorczy i wytrwały, ciska się jak wąż, idąc naprzód, chociażby w prostopadłéj skale wypadło nożykiem schody wykuwać. Niemiec ostrożny ale cierpliwy, napada na jednego, gdy jest w dziesięciu; woli on bezpiecznie obchodzić w około przez rok cały, aniżeli odbyć tę drogę w dniu jednym, narażając się na niebezpieczeństwo. Polak uderza w jednego na dziesięciu i często uda mu się pobić, po czém obejrzawszy się w około, niewiedząc co robić daléj powraca do domu.

Proszę mnie nie posądzać o chęć dawania memu narodowi nauk moralnych, jednak mówiąc prawdę, zaglądnąwszy w nasze dzieje przypomnimy sobie, jakeśmy pięknie wytłukli Niemców pod Grün-

waldem i do domu uciekli...., nie mówiąc już o Turkach i Tatarach.

Cytować fakta to nie moralizować; fakta to dzieje, a dzieje to przeszłość ulepiona z krwi i łez, rozumu i ambicyi, poświęcenia i pragnień, wytrwałości i niechęci, zdrady i odstępstwa... Gdy za dużo łez i westchnień, rozpływa się wszystko i gdzieś ulata w etery; gdy za mało krwi i wytrwałości, budowa pęka, rozpada się na części i sypie w gruzy... Jak Anglik zawsze i wszędzie jest wytrwałym, niech na dowód posłuży fakt na pozór drobny, lecz zawsze charakterystyczny, zaczerpnięty z mych własnych wspomnień. Szliśmy ze Szwajcaryi przez Mont-Blanc do Włoch, na dolinę Aosty, do konchy, utworzonéj z Padu, Ticina, Addygi i Addy, na klasyczną ziemię walk, rozstrzygających o losach świata, i sztuki przodującéj cywilizacyi. Było nas czterech: dwóch Anglików, Francuz i ja... Wychodząc powiedzieliśmy sobie, że znajdziemy nową drogę przez olbrzyma gór europejskich, i w tym jeszcze roku wszyscy się pożenimy.

Niecierpliwy Francuz cofnął się nazajutrz; ja zostałem dla ocalenia honoru narodowego i przez osobistą ambicyą; Anglicy zaś dla tego, że postanowili przejść i wyszukać nową drogę. Przez dziesięć dni tułaliśmy się po śniegach, gdy na dole lipcowe słońce świeciło; w końcu zabrakło nam żywności. Nareszcie co za rozkosz! na drugiéj stronie Alp dobijamy do szałasu pasterza... a chociaż z odziębienia mieliśmy rany na nogach, ręce zaś i uszy odmrożone, mimo to radość i duma ze zwycięztwa nie miały granic. Nowa droga oznaczona na mapie.

Co do kwestyi ożenienia, jednemu z nas prowadziłem w tym roku młodą, piękną i zarumienioną miss do ołtarza. Na weselu pito zdrowie odważnych podróżników. Panna młoda z kieliszkiem w ręku zbliżyła się do mnie, a podając mi białą rączkę, rzekła: „Nie opuściłeś pan mego męża, którego wprawdzie nie znałam, gdy był w niebezpieczeństwie; naród do którego pan należysz, musi być szlachetnym, Francuz uciekł! Niech żyje Polska! zawołano, Francuzi uciekają!

— „Panowie! przerywam, podnosząc mój kieliszek, wnoszę toast na cześć narodu, który zwycięzkim marszem przeszedł Europę, głosząc zasady praw człowieka, a jeżeli uzurpacya jego została pokonaną to tylko przez Anglików!“

Pomimo objadowéj powagi entuzyazm był widoczny; młodzi wznosili toasta wolności, a starzy pili zdrowie Wellingtona.

Co do pozostałych podróżników romans jeszcze nie skończony. Na południowym stoku Alp, w okolicach wielkiego Gotharda, spotka-

łem wróżkę cygankę, która mi przepowiadając przyszłość, radziła poślubić osobę lekko utykającą na jednę nóżkę.

W rok późniéj pokochałem Miss, Miss nie pokochała mnie. Tańczyliśmy walca na trzy pas, ja wzdychałem, a Miss się śmiała.

Był to poranek, Miss jechała konno, ja szedłem pieszo. Gdy w tem koń się zrywa, odsadza, unosi, biegnę... Szanuj przynajmniéj tajemnicę serca, czy chcesz być plotkarzem własnych uczuć?... Cokolwiekbądź, Anglik dotrzymał i drugiéj połowy przyrzeczenia. Przed samą 12 w nocy jeden ze znajomych zaproponował mi, żebym albo wypił z nim szklankę ponczu, którego skład niedawno wymyślił, albo się z nim boksował. Wybrałem rozumie się piérwsze; przyprawa była szczęśliwie ułożoną.... Głowa mi nieco cięży, lecz kto w Sobotę wraca w nocy do domu z lekką głową, ten nie ma przyjaciół, nie ma stosunków, samotny żyje tylko dla siebie, ucieka od towarzystwa. Jakąż ma wartość taki człowiek na pustyni wśród ludzi? W Anglii jest się częstowanym i trzeba częstować chcąc żyć, być dobrze uważanym, robić interesa... Spać mi się chce, zasnę więc kamieniem, mogę to śmiało powiedziéć, nie bojąc się wymówek zapomnienia, braku uprzejmości i pamięci. Są chwile w życiu... Dobranoc.

II.

Paważny profesor zapytuje nagle przytomnego chłopca:

— Czego jest najwięcéj w Anglii?

— Czego jest najwięcéj w Anglii? najwięcéj w Anglii proszę pana profesora jest szynków i kościołów, odpowiada malec rezolutnie.

Powaga profesora została zachwianą a ścisłość naukowa kazała ten fakt sprawdzić. Oblicza więc profesor wiele razy był w szynku a wiele w kościele i w innych miejscach, chwieje się w swych przekonaniach, a nie mogąc wybrnąć używa fortelu, rzucając jeszcze jedno pytanie:

— A o szkołach zapomniałeś?

— Szkoły, proszę pana profesora dopiéro za ostatnich rządów Wigów, pod przewodnictwem Gladstona wzrosły w dwójnasób. Torysi dla oświaty nic nie zrobili, zostawiając naukę: wolności i księżom. Torysi są niezgodni.

Pan profesor niestety był torysem.

— A ty kto jesteś, zawołał cały zaczerwieniony.

— Ja jestem wihg i mój ojciec należy do wihgów i mój dziadek był wihgiem.

— A czy wiesz, jak jest *accusativum* od *asinus?*

— Mogę nie wiedzieć, a jednak być uczciwym wihgiem i nie powiem czy wiem, bo pan profesor chcesz mię sprowokować.

— To wyjdź za drzwi! krzyknął profesor wściekły.

— Wihgi nie wychodzą, ale torysi wyjdą nie długo.

Tego było za wiele; wezwano pomocy i zamknięto chłopca do kozy.

Po lekcyi pan profesor zadowolony, że jednego niebezpiecznego wihga uczynił nieszkodliwym, choć na parę godzin, zbliża się do wizyterki, chcąc przez nią zobaczyć, co mały zbrodniarz porabia. Zaledwo jednak okienko otworzył, i twarz wsunął, ręka chłopca chwyta torysowski nos.

Książka i parasol wypadają z rąk profesorskich. Oburzony tém zuchwalstwem przebrzydłych wihgów rzucających się na prawa, porządek, kościół i poważny jego nos, drzwi szybko odmyka.

Mały zbrodniarz czekał na tę chwilę przyczajony do ziemi, a gdy profesor szukał chłopca na wysokości jego wzrostu, on jak zając wypadł mu z pod nóg.

— Ojcze wihgów prześladują! woła chłopiec wbiegając do domu zdyszany.

— Wihgów prześladują? powtarza ojciec zawijając rękawy do boksów.

Całe zajście skończyło się uściskiem syna przez ojca, za zwycięztwo nad torysami i przeniesieniem chłopca do szkoły zostającéj przeważnie pod kierownictwem wihgów.

Przytomny i rezolutny malec wypowiedział całą prawdę, o czem możemy się przekonać oglądając nowobudujące się miejscowości w Londynie.

Londyn ma kolosalną przestrzeń i jest nadzieja, że jeżeli będzie tak daléj wzrastał w stosunku do ludności, z czasem dosięgnie Duwru, Bostonu, Manchestru. Ziemi nie żałują.

Kilku przedsiębiorców obiera pewną przestrzeń przytykającą do miasta, zakupując, lub wydzierżawiając, jeżeli to jest własność Lorda. Oznaczywszy główną ulicę, która się nazywa *Road*, łączą z nią poprzeczne i prostopadłe *Street*, zwożą materyał, zakładają koleje jako komunikacye przyspieszające pracę, i w przeciągu czterech, a najdaléj sześciu miesięcy, całe partye czyli określoną część zabudowują odrazu.

Domy są zwykle ściśnięte, zabudowane jednym szeregiem o dwóch oknach, albo jednopiętrowe, które złączone po dwa, tworzą odrębne grupy, wśród klombów kwiatów i drzew.

Zieloność wszędzie: od frontu drzewa i kwiaty, z drugiéj strony ogródki gospodarskie przegrodzone jedne od drugich murem, na szerokość domu, czyli na szerokość dwóch okien.

Przypominamy sobie jeszcze ze wspomnień starożytnego Rzymu: zaniedbanie na ulicach, wygodę i zbytek w domu, przepych w łazienkach, a wspaniałość na placach i w senacie. Narody żyjące politycznie i publicznie, chociaż pragną okazałych miejsc gdzie walczą, zawsze jednak tęsknią do zacisza domowego, do wygody i przyjemności w chwili wypoczynku. To samo można powiedzieć o naszych Bretonach. Anglik walczy w parlamencie i na mityngach, bawi się lub rozprawia w klubach, ale za to odpoczywa, rozkoszy rodzinnego pożycia i ciepła domowego ogniska używając we własnym tylko domu. Dom jego to świątynia, do któréj zaledwie wybranym wejść wolno.

Każdy dom to jedno oddzielne mieszkanie jednéj rodziny, składa się z kuchni i jadalnego pokoju w suterenach, z dwóch pokojów na dole, z salonu i gabinetu na pierwszém piętrze, jak również z dwóch pokoików na drugiém, a często i na trzeciém. Schody wewnątrz stanowią komunikacyą; dywany są piérwszém niezbędném umeblowaniem, kąpiel obok pokoju sypialnego, a w każdym pokoju kominek, od końca Września do Kwietnia zniczowym ogniem świecący.

Lecz jakże można tak odbiegać od przedmiotu, a gdzież są kościoły i owe budynki pobudzające do animuszu naszych wyspiarzy, o których wielkiéj liczbie mówił chłopiec rezolutny?

Zaczynam być rozwlekły... Ha gdybym miał farby Murylla, a fantazyą Słowackiego, kilkoma wierszami skreśliłbym obraz, który skończoną całością nieskończonéj piękności, budziłby pragnienie oglądania Anglii, pozwalając domarzyć, czego nie wypowiedziało zbyt krótkie słowo. Lecz czemu niemam ani żywych farb, ani skrzydeł fantazyi? Dla czego mój mózg nie posiada tak ułożonych zwojów jak oni je mieli? Kto temu winien? Przypadek—odpowiadają z uśmiechem politowania p. Büchner i uczony wielki Darwin. Gdyby chciał przypadek, byłbyś pięknym jak Apollo, a wielkim jak Cezar... Jeżeli więc w przypadku jest zamknięta tajemnica istnienia świata, jeżeli zamiast dowcipu wypadek dał méj głowie niespokojność myśli, która mi każe rwać w kawały moje opowiadanie, to rzucam te porwane strzępy wołając: Nic jam nie winien, ale wypadek układu świata i mych zwojów mózgowych! Bierzcie, co mam, lub podrzyjcie do reszty.

Wspomnieć o Büchnerze przy budowie kościołów, a nie przeżegnać się, gdy się jest katolikiem, i nie przytoczyć przekleństwa

ze starego testamentu, gdy się należy do prezbiteryanów, jest zaiste zuchwalstwem godném dziewiętnastego wieku i kontynentu. Inaczéj dzieje się u nas na prawowiernéj wyspie. Zaledwo wzniesie się kilka nie wielkich ulic, zaraz w pośrodku dźwiga się gmach dla Boga anglikańskiego, obok zaś dostatnie mieszkanie dla pastora. Jeżeli w spółce, budującéj ulice, znajduje się prezbiteryanin, przybywa kaplica tegoż wyznania, a jeżeli jest i kongregacyonalista, który ma sperandę na swoich współwyznawców, to w takim razie i on stawia swemu Bogu przybytek. Ministrowie obsługujący kaplice jako nie protegowani przez rząd, nie mają stałych schronień.

Obok bożych przybytków, z uwzględnieniem rogów ulic, mieszczą się pomniejsze sale, dość gustownie przybrane, otwarte z jednaką szczerością dla wszystkich wyznań, w których bez waśni w zgodzie sąsiedzkiéj, widzisz jak *brendy* obok *wisky*, *staut* obok *pelell*, z chrześciańską cierpliwością pastora i ministrów, czekają na spragnione gardła lokatorów pustych jeszcze ulic. Mamy więc i szynki. A szkoła? ho! ho! do szkoły jeszcze daleko... Nie wiadomo wiele będzie dzieci, kto dopomoże, wiele da rząd. A jednak dzieci muszą się teraz uczyć; przymusowe nauczanie przeprowadzone w ostatnich zaledwo latach, to wielka zasługa Gladstona, to niespożyty dla niego pomnik, to wielki fakt, który odrodzi Anglią, zatrze bijącą różnicę kast, wyzwoli lud z niewoli zaniedbania, odrętwienia i dzikich instynktów, tak jak już został on wyzwolonym ze zbytku pracy zabijającéj jego umysł i siły. Torysi nie lubią uczonych służących i politykujących robotników, a pastorowie nie znoszą w ludzie filozofów, gdyż ich samych jest zadaniem rozświecać mu ciemne drogi życia, kruszyć sumienia, utwierdzać w wierze i zapewniać wieczne szczęście.

Według ich przekonania, kościół jest najlepszą szkołą dla ludu, a kazanie najzdrowszą dla niego nauką. Wierzono temu bardzo długo, a im silniejszą była ta wiara, tem głębiéj lud zapadał w ciemnotę barbarzyństwa, ohydne nałogi i dzikość. W mieście nie chodził on nawet do kościoła, nie mając czarnego surduta i cylindra na głowie, na wsi zaś nie pokazałby się w nim bez obuwia. Takich zresztą nie potrzeba w kościele wcale; oni nawet za miejsce nie mają czém zapłacić. Wszak wiecie, że kto u nas chce usiąść w kościele, ten miejsce musi sobie kupić... Położenie co dzień stawało się groźniejszém; dwie warstwy społeczeństwa musiały stanąć przeciwko sobie. Jedna w obronie tradycyi i własności, druga w imię sponiewieranego człowieczeństwa, zmaltretowanéj cywilizacyi i w obronie bytu.

Dopiero w obec niebezpieczeństwa zrozumiano zbrodnię zaniedbania, a strach zrodził poczucie obowiązku. Kuto więc nowe prawa w parlamencie, zwoływano rady, otworzono szerokie wrota prywatnym usiłowaniom.

Bojaźń stała się powodem zainteresowania i pomocy rządzących, państwu przekazano wypełnienie obowiązków, które na niém ciężyło od chwili poczucia potrzeby zaradzenia złemu. A to od kiedy istnieje? Zajrzyjcie w tajniki sumień i zbłąkanych myśli warstwy uprzywilejowanéj, oneby wam napisały smutne dzieje nienawiści i pogardy dla tych, którzy za nią przelewali krew na polach bitew, i oddawali ciężką pracę na twardéj roli.

Dwadzieścia lat zaledwie upływa, odkąd sprawa oświaty stała się w Anglii ogólném zajęciem, naglącą sprawą, kwestyą do rozwiązania. W tym krótkim przeciągu czasu, Anglia dobiła się przymusowéj nauki, zaprowadzając szkoły bezwyznaniowe w tym żarliwie protestanckim kraju; rzuciła miliony ze składek prywatnych na wzniesienie szkół, wyuczyła tysiące profesorów gimnastyki i mustry, i daléj pracuje niezmordowanie. Kościoły niedawno puste, dziś pełne, a rezultaty? będziemy mówili o nich wszędzie i zawsze.

III.

Budzę się rano zdumiony... jaka cisza przyjemna, ani turkotu na ulicy, ani wrzasku przechodnich kramarzy, ani łomotu do drzwi listonoszów, błogo, spokojnie, uroczyście. Odchylam firanki: niebo czyste, nawet ciemnych chmur dymu z fabryk nie widać. Spoglądam na dół: jakież straszliwe pustki, ani jednego otwartego sklepu... nikogo na ulicy. Po wczorajszym gwarze, prawdziwym tłoku przechodniów, targach, nawoływaniu, muzyce wszelkiego rodzaju, świstaniu lokomotyw, uganianiu jeźdzców i głuchym jęku ładownych wozów, dziś wszystko zniknęło, uleciało. Londyn pochłonął w sobie własne życie i zaległ cmentarzem. Zdaje się, że jak za dotknięciem czarodziejskiéj laski, po wzniesieniu w górę pałeczki przez policmana, wszystko dokoła ucichło i zgasło!

Nie wszystko! Ciszę pustyni, kryjącéj w sobie cztery miliony ludzi, przerywa poważny bas dzwonu; na to wezwanie odpowiadają towarzysze mniejszych rozmiarów, a piskliwego głosu. Z odległych stron zaledwo dolatuje brzęk współzawodników, jak akompaniament dziwny, a jednak pełen uroczystéj melodyi. Londyn za przykładem miast włoskich, wygrywa przy każdym wielkim kościele na dzwo-

nach kamertonowo dobranych, symfonią jedynemu Bogu na niebie, odwiecznéj prawdzie, choć tak odmiennie, jak tony muzyki, uczutéj i pojmowanéj. Musi ona tam w górze mieć skończoną harmonią i majestatyczną całość, tak jak tu na dole, tolerancyą i zgodę.

Na to wezwanie wychylają się z domów dżentelmeni ogoleni, przybrani poważnie, bo czarno, z książkami w rękach, Lady i missessy również czarno, jeżeli prezbiteryanki, kolorowo jeżeli katoliczki lub protestantki. Przed niemi postępują nadobne missy, barwiste jak motylki, przepasane szarfami, włosy rozpuszczone, uśmiech nadziei na ustach. „Do widzenia jutro w kościele!“ szumi im jeszcze w uszach pożegnanie dnia wczorajszego. Są ładne, czyż tylko dla siebie? Młodzi dżentelmeni czekają na nie przed kościołami, i w tém kryje się tajemnica pobożności naszych miss, chociaż o tém nie wspominają ani dżentelmenom, ani ministrom.

— Gud morning ser.

— Gud morning m'dam, odpowiadam mojéj gospodyni, przynoszącéj mi śniadanie, a przybranéj w fioletowy czepek i czarną suknię.

— Najs morning (ładny poranek).

— Wery najs indid (prawdziwie piękny).

Ten przedwstęp rozmowy oznacza, że szanowna Misses ma zamiar ją przedłużyć, co czyni z uśmiechem i prostotą godną angielki.

— Czy ser jesteś zaproszony na obiad?

— Nie Pani.

— To bardzo źle, i duma twoja zostanie ukaraną; będziesz przez cały dzień głodny!

— Dla czego?

— Bo nie tylko u żydów, ale i u katolików niczego dziś niedostaniesz w Londynie i w Anglii całéj! Władza czuwa, aby Sabat był szanowany i nie dopuszcza sprośności.

Po postawieniu żydów na piérwszym planie, a katolików na drugim, oraz po wyrażeniach biblijnych, poznałem w mojéj gospodyni prezbiteryankę.

— Nigdybym się nie odważył, odpowiadam spokojnie, szukać dziś pożywienia na mieście, mając nadzieję, że pani podzielisz się ze mną swoim obiadem.

— Ja dziś nie gotuję i nigdy prawie nie gotuję w niedzielę;—za chwilę wychodzę do kościoła, potém idę na obiad do bratowéj,—następnie rozdajemy na ulicy drukowany ustęp z Biblii, ja go wyszukałam! I jeżeli ten nie przerazi grzeszników i nie zabije ich pożądliwych chuci, przekleństwo nad światem! O szóstéj muszę wrócić

do kościoła, a o ósméj na rogu Carlton hill i St. John's wood, pomogę memu bratu śpiewać psalmy, tam bowiem będzie miał kazanie. Przyjdź Ser, a zobaczysz jak twoja pycha będzie startą. Czemuś mi nie powiedział wczoraj, byłabym ci przygotowała kotlet barani na zimno i butelkę piwa.

— Duma moja ma być startą? pomyślałem po odejściu rezolutnéj gosposi, będę głodny przez cały dzień, bo władza nad tém czuwa! Spojrzawszy na tacę, postrzegłem imbryk z herbatą, dwa jajka, masło, chléb i kawałek szynki, prawdziwie dżentlemeńskie śniadanie.

Na cały dzień, dosyć tego do starcia méj pychy,—ale dla żołądka zamało. Ponieważ władza nad tém czuwa, wypowiadać wojnę Anglii niepodobna, zwłaszcza gdy się jest głodnym.

— Zobaczymy! zawołałem, zabierając się do śniadania z takim apetytem, jak gdyby za pięć godzin czekał mnie obfity obiad.

Smutno mi; czy to wpływ ciszy i pustyni londyńskiéj świątecznego dnia, tak oddziaływa, że samotność tyle razy upragniona wśród zgiełku i wrzawy, jest mi dziś przykrą, budzi tęsknotę i ciężkie, pełne żalu i cichych skarg myśli?

Gdy ludność skupia się w rodzinie, ogrzewając się jéj ciepłem, radując uśmiechem, odosobnione jednostki tém dotkliwiéj czują chłód samotności. Pusto, a tam nad brzegiem Wisły jedno miejsce próżne przy stole.... Nie mówią, aby rozmową nie przywoływać wspomnień, wspomnieniami nie drażnić tęsknoty. Milczą, aby więzić myśli i żal... Długo dumałem, aż wreszcie wyznam szczerze, zapragnąłem bifsteku, puddingu i piwa. Zapach wszelkiego rodzaju pieczeni rozchodzący się po ulicy, łechtał moje podniebienie, budząc apetyt. Wybiegłem.

Otwarte okna jadalnych pokoi na dole; w wnętrzach zastawione stoły, a przy nich biesiadujące rodziny.

Okrągłéj twarzy, przyjemnie uśmiechnięty, czterdziestoletni mężczyzna, kraje wielkim nożem spoczywającą na półmisku olbrzymich rozmiarów pieczeń baranią. Przy nim pulchna, biała w białéj zarzutce, młoda jeszcze kobiéta, rozdziela porcye, obdzielając niemi młodziutkie missy i przyszłych serów. Drobiazg przedstawia się w nierównéj liczbie siedm,—jeszcze pięć niedostaje do apostolskiéj liczby dwunastu... miejmy jednak nadzieję... Mister uśmiecha się do Misses, szepcąc jéj gorące, a tajemnicze słowa. Misses rumieni się, spuszcza oczy,—po chwili podnosi wzrok macierzyńskiéj miłości na dzieci. Czyby szukała miejsca gdzie ma w przyszłości być umieszczone jeszcze jedno krzesło z woli Lorda, może dla przyszłego New-

tona lub Watta?... Któraż z kobiét nie marzy o sławie i wielkości swych dzieci? ta jedyna duma robi nasze matki pięknemi, ten jeden egoizm, który je uszlachetnia, a zawsze jest ich szczęściem może jedyném.

W drugim obok domu, na pierwszém miejscu. zasiadł białowłosy, czerstwy starzec z białą jak śnieg brodą,—swoboda na twarzy, humor na ustach, wesołe oko,—rozprawia, opowiada giestykuluje. Tuż przy nim poważna misses w okularach, rozmarzona, szczęśliwa, bo oto przed nią najmilszy dla matki widok,—dobrane grono czerstwych mężczyzn i pięknych kobiét, zięciowie i córki, synowie i ich żony, obsiedli stół dokoła, słuchając w poważnem obiadowém nastrojeniu słów ojca. W rogu mały stoliczek dla trzeciego pokolenia,—pod przewodnictwem jednéj z matek. Godność krajania i podziału, odziedziczył najstarszy syn.

Patryarchalność oparta tu na szacunku, rodzina na miłości, któréj podstawą przywiązanie, sprawiedliwość i wolność. Ta ostatnia z rodziny przechodzi do towarzystwa, z towarzystwa do całego narodu, do zwyczajów, praw, stosunków,—i znowu wraca do rodziny, a jéj zaciśnięte węzły stają się potrzebą i koniecznością pożycia.— W ognisku domowém wyrabia się siła tak przyciągająca że przy każdéj okoliczności rozproszone cząstki, w naturalny sposób zbiegają się i łączą jakby w związku chemicznym.

Wolności, jakiémże jesteś dobrodziejstwem dla szczęścia narodów, jaką dźwignią dla jego cywilizacyi. Wieleż jednak potrzeba starań aby cię wypielęgnować pośród ludzi, wypracować w prawach, uświęcić w zwyczajach, uszanować i pokochać, abyś nie stając się nadużyciem, mogła być harmonią. Jakiegoż potrzeba wyrobienia w narodzie, aby cię umiał czcić i bronić,—jakiéj zręczności życia, aby korzystając z praw swych nie wkraczać w obręb wolności drugiego.

Anglio! dzieje twoje są obrazem tych prac, a wolność którą wychowałaś jest twoją wielkością.

Francuzi dla równości zawsze ukamienują wolność,—a my, Polacy, jeszcześmy nie zamarzyli o równości, a już oddawna tratujemy wolność nogami. Nie ma kraju, gdzieby było tylu dyktatorów, małych satrapów, tyranów,—jak u nas; nie ma kraju, gdzieby było mniéj ludzi dobrze wychowanych, mimo eleganckich form w układzie i znajomości konwenansowych stosunków, bo nie ma kraju, w któremby było mniéj ludzi szanujących wolność i czujących jéj potrzebę jak u nas.

W Polsce indywidualizm rozwinięty do wysokiego stopnia; może tak wysoko jak w Anglii, bez świadomości atoli swych granic na-

turalnych. Wolność osobista, lecz w celu narzucenia niewoli otoczeniu, czy to pod postacią swych opinij, czy też rozumu, zasług, wielkości, sławy, powagi, godności urodzenia, pozycyi, bogactwa,—jest w zupełnéj sprzeczności z pojęciem angielskiéj wolności społecznéj, która się gruntuje na uszanowaniu jéj w drugim. I na téj to podstawie Anglicy umieją być wolni u siebie, do czego żaden naród nie jest jeszcze zdolny.

— A zkąd i dokąd? zachuczał mi nagle nad uchem, znany bas kapitana wojsk Jéj Królewskiéj Mości.

— Jakże się cieszę kapitanie, widząc cię w mém udręczeniu, bo oto pycha moja ma być startą głodem dnia dzisiejszego, gdyż nad tém czuwa parlament, rząd i policya...

— Pewno musiała cię naumyślnie nastraszyć jedna z prezbiterjańskich czarownic, aby mieć sposobność powiedziéć jakiś niedorzeczny frazes.

— Kapitanie! jakże można szlachetną misses nazwać czarownicą, gdzież wojskowa rycerskość.

— Mamże je oszczędzać, ja co przez nie straciłem miejsce, porzuciłem armią, za bezcen sprzedałem mój stopień...

— Co? co? prezbiterjanki stanęły na drodze twojego życia?... romans, miłość, pojedynek domyślam się...

— Ani jeden z tych romansowych epizodów,—powiedz raczéj religia, kościół, kazanie!

— Ależ, czy można coś podobnego przypuszczać, znając twoje przekonania?

— Właśnie te przekonania!... posłuchaj.

— Kapitanie, czy rzeczywiście pycha moja ma być startą?

— To znaczy, że ci się jeść chce. Są wielkie hotele koło stacyi Czering—Kross, ztąd cztery mile angielskie, w których można zjeść obiad w niedzielę; do najbliższéj stacyi kolei mamy wprawdzie nie daleko; jednak jeszcze zawcześnie, pociągi nie idą. Od 1-éj do 3-éj publikhausy otwarte, aby pobożni zmęczeni modlitwą, mogli pokrzepić zwątlone siły napojem tylko; gdyż sprzedaż pokarmu surowo zakazana. Lecz mam w tych stronach znajomego, właściciela jednego z tych zakładów, byłego sierżanta z mojéj kompanii; nie odmówi on nam obiadu,—chodźmy.

— Kwestya startéj pychy, już załatwiona, mówił przez drogę kapitan,—lecz zemsta moja nie zaczęta.

— Miałżebyś doznać tak wielkiéj obrazy, że jéj nie możesz przebaczyć?

— Przebaczyć, zapomniéć, najcięższe słowa dla pokrzywdzonego! Wyobraź sobie, stoimy w Edynburgu i pewnéj pięknéj niedzie-

li dostaję z kolei rozkaz abym z moją kompanią poszedł do kościoła w obrębie koszar. Rozkaz wyraźny o 11-éj nabożeństwo o 2-éj obiad. Maszerujemy, zasiadamy w porządku, śpiewamy psalmy, słuchamy nauk; kazanie rozpoczyna się o 12-éj. Żarliwy prezbiterjanin kruszy nam sumienie straszliwemi obrazami, zdaje się, że cały stary testament przywoła na pomoc. Prawi tak całą godzinę, słuchamy— lecz i druga mija, a zdaje się, że jesteśmy dopiéro przy początku. Czas obiadu już nadszedł, patrzę na zegarek—po drugiéj. Postrzegł to kaznodzieja i wyciął zaraz filipikę o niecierpliwości filistyńczyków, przychodzących do kościoła z rozkazu. Oburzyła mię ta napaść, tém więcéj, że uczyniono ją z wiarą w niemożność odwetu; postanowiłem zatém czekać jeszcze pięć minut. Przeszedł i ten krótki czas, a zdawało się, żeśmy byli ciągle przy początku mowy; cierpliwość moja wyczerpała się, zresztą rozkaz—powstaję.

„Baczność! rozlega się po kościele, głusząc słowa kaznodziei; dwójkami od prawego, naprzód marsz!“ i wyprowadziłem oddział wśród oburzenia wiernych, a podobno i straszliwego przekleństwa ministra. Nazajutrz całe miasto mówiło o mojém okropném szoking, robiąc dodatki, które rozumie się przeszły w śmieszne dziwolągi, a nawet zmieniły się w straszliwe historye. Dzienniki presbiterjańskie napadły na władze wojskowe, na kościół anglikański, podburzając ludność przeciwko nam. Cała sprawa przybrała groźne rozmiary;—dla jéj przerwania i uspokojenia umysłów, wsadzono mnie za rozkazem dziennym jenerała dywizyi, na pięć dni aresztu. Prezbiterjanie i ich organa tryumfowały; a mnie koledzy pułku po wysiedzeniu kary, wyprawili bankiet, nazwany wedle stylu purytańskiego: orgją czerwonych filistyńczyków, na któréj mieliśmy pić zdrowie Belzebuba i jego połowicy smołą...

Nareszcie zapomniano i o tym ważnym wypadku w dziejach kościoła, jak się o wszystkiém zapomina, a ja, po dwóch miesiącach miałem znowu rozkaz prowadzić oddział do kościoła.

Czy pamiętasz Peters tę niedzielę, ośm lat temu, w Edynburgu? zawołał kapitan, wchodząc do bocznéj sali publikhauzu.

— Jes Kapten—odpowiedział salutując, krótko ostrzyżony, z czerwonym nosem Peters.

— Co się tak garbisz do stu kartaczy? Baczność!

Peters wyprostował się jak struna.

— Ser czterdzieści pięć lat wieku, to nie żarty.

— A jak przyjdą do Londynu Prusacy—co?

— Pogadamy kapitanie,—bataljon mój, chociaż marynarzy słodkich wód (wolontarjuszów których Peters był kapitanem) dostoi. Na dwa tysiące strzałów—500 celnych na ostatniéj próbie!

— Odległość?

— Ośmset yardów.

— Winszuję, jak na rekrutów rezultat wyborny... W kościele pamiętasz, musieliśmy iść na bagnety z własnych pięści....

Peters stanął w pozycyi atakującego boksera.

— Kapitanie, wtedy prawdziwie było gorąco, mieliśmy zaledwie 120 ludzi, a atakujących przeszło dwa tysiące...

— Słodkich wód, dodał kapitan.

— Odleżałem dwa tygodnie szepnął Peters.

— A ja piętnaście dni.

— Bo też cały atak wymierzono na kapitana.

— Szarfa, mundur, epolety, w drobne kawałki.

— Trzymaliśmy się dzielnie, ani jeden nie dał się wyrwać z czworoboku.

— Wszyscy żołnierze z krymskiéj kampanii.

— Tak jest ani jednego rekruta.

— Lecz czegóż my tu stoimy? Peters, baczność! za dwadzieścia minut obiad dla nas dwóch, a teraz wisky (1) i przekąska.

— Jes Kapten—zawołał Peters, wprowadzając nas do swego saloniku.

— A zatem wyprawa do kościoła skończyła się bójką? rozciekawiony nawiązuję powtórnie rozmowę.

— I jaką jeszcze! Wyobraź sobie, ten sam minister już czekał aby mnie upokorzyć i ukarać; całe kazanie wymierzone było przeciwko czerwonym filistyńczykom i miało trwać do czwartéj, po południu.

— A więc?!

— O wpół do trzeciéj byłem już zirytowany do ostateczności; ludzie moi zmęczeni, głodni, patrzą na mnie prosząc o litość; nareszcie brakło mi cierpliwości, zrywam się, komenderuję i wychodzę. Ksiądz ciska przekleństwa, a wściekłość prezbiteryanów wybucha wulkanem. Ledwieśmy zdołali dojść do drzwi gdy nas powitał grad pocisków,—w przedsionku rozbito szeregi w puch i w tém to miejscu poszarpano mi mundur. „Do mnie żołnierze z pod Inkermanu!“ zawołałem, dostawszy się na plac.

Peters stanął przy mnie pierwszy, ciężko pracując; inni torowali sobie drogę straszliwémi wysileniami. Zbici w falangę, cofamy się krok za krokiem; krzyk purytanów przywołuje nowe masy chciwe

---

(1) Wódka irlandzka.

walki za wiarę; zdusili by nas i rozdeptali, gdyby nie pomoc z koszar (1).

— I cóż daléj?

— Co daléj? musiałem się podać do dymisyi, sprzedałem stopień, założyłem biznes (2) w Londynie i nareszcie trzeba się ożenić.

— Z prezbiterjanką?

— Co?!

Pani Peters przerwała rozmowę, przynosząc obiad.

Kapitan na przywitanie wyciął gospodyni parę wojskowych komplementów. Znajomość to dawna, jeszcze z pułku, gdy pani Peters była panną Figg,—Judytą Figg, jedynaczką właścicieli publikhauzu, obok koszar, białą z niebieskiemi oczami jasną blondynką, dzięki któréj, kapitan zdobywał od pani Figg matki kredyt, wprawdzie na wysokie procenta, zawsze jednak z gotowością mu udzielany. Pani Peters z rozrzewnieniem wspomina czasy swego panieństwa, a mianowicie chwilę, gdy zobaczyła w ową fatalną niedzielę zemdlonego kapitana, niesionego przez żołnierzy. Wtedy Judyta Figg płakała nad kapitanem, a śmiała się, widząc sierżanta Peters podobnego do monstrum, z rozbitą, opuchniętą twarzą i podsiniałemi oczami.

Peters obrażony szyderstwem, postanowił się zemścić, i w tym celu poślubił Judytę, a nie doznawszy losu Holofernesa, rozdaje w swoim zakładzie piwo i wisky licznym gościom, w towarzystwie żony. Judyta czasami nawet płacze, gdy się naprze nowéj sukni, lub wycieczki na kuntry (3). Na widok jéj łez, Peters czuje się pomszczonym i szczęśliwym; gdyż naocznie się przekonywa, że Judyta jest zdolna łzy wylewać nie tylko nad losem kapitana, ale także z żalu do Petersa, i to w sprawie, którą on jedném słowem może rozstrzygnąć i zwykle na korzyść płaczącéj rozstrzyga.

Po obiedzie, którego przyrządzenie jawnym było dowodem, że w sercu dawnéj Judyty Figg nie wygasła pamięć dla kapitana, przyniesiono nam kawę.

— Dziwne to jednak zjawisko, kapitanie,—zagadnąłem,—by w tak wysoko praktycznym i trzeźwym narodzie, mogła się dotąd utrzymać żarliwość religijna, posunięta do fanatyzmu.

— Przeciwnie, w mojem przekonaniu, odrzekł kapitan—handel, ryzyko, gra, zawsze chodzą w parze z potrzebą pewnego zaufa-

---

(1) Wypadek ten opowiedział mi kapitan O'Berien jako własną historyę!

(2) Bussiness wymawia się biznes znaczy interes, zajęcie; przedsiębierstwo.

(3) Contry—na prowincyą, na wieś.

nia w przeznaczenie, z wiarą w fatalizm, szczęście, błogosławieństwo, zresztą jak chcesz. Sprawiedliwie porównywają Anglią do starożytnéj Kartaginy; tu jak tam, handel i kramy, bogi z całego świata i kościoły. Kartagińczyk składał ofiary wszelkim bogom, aby mu pozwolili szczęśliwie odbyć podróż i dobrze oszukać, a Anglik robi także wszystko, aby nie mieć nic sobie do wyrzucenia. A żydzi, naród wyłącznie handlujący, czy nie sąż tak religijni, jak żaden inny?..

— Czyż religijność angielska opiéra się na głębokiéj wierze?

— To rzecz zupełnie inna! O wiarę nikt tu nie pyta, jako o sprawę czysto osobistego przekonania, a zresztą jest to każdego z wiernych tajemnicą. U nas idzie tylko o formę, nad którą czuwa jak słusznie powiedziała twoja purytanka, parlament, rząd, policya, a ja dodałbym jeszcze, biznes, czyli wzajemne stosunki zależności.

— W protestanckim kościele—forma?

— Nie idzie tu o rodzaj wyznania, i o rodzaj formy; w niedzielę wszyscy idą do kościoła, bo iść muszą, dla tego że nie mają nic lepszego do czynienia. Policya czuwa, aby nie było ani jednego sklepu otwartego, ani jednego biura, biznesu, galeryi, teatru... Cóż pozostaje, gdy wszystkie drogi zamknięte, prócz otwartych drzwi świątyń? Idą więc do kościoła; jedni ze zwyczaju, drudzy aby się pokazać, inni z powagi i dla honoru jaki czynią Bogu, a za nimi i ci którzy łudzą się nadzieją, że będą łaskawie dostrzeżeni przez zaszczycających Boga swemi odwiedzinami. Biznesiści z City nie spóźnią się na nabożeństwo, aby dobrze trzymano o ich prawości; handlarze, o ich rzetelności,—patronowie przychodzą, aby ich widzieli podwładni i wspólnicy,—podwładni aby się pokazać patronom, młode dziewczęta dla kochanków i narzeczonych, kochankowie dla swych przyjaciółek. Wolter postawił świątynię z napisem „Nieznanemu Bogu“: tego nieznanego Boga ja poznałem w Anglii; zmażę godło na budynku w Ferney, a napiszę w jego miejsce „Biznes“.

Całe społeczeństwo, związane ogniwami stosunków i zależności, tworzy łańcuch przeciągnięty przez kościół; rzecz więc jasna, że gdy przyjdzie niedziela, łańcuch w naturalnym porządku przesuwa się przez świątynię, od pierwszego do ostatniego ogniwa. Wprawdzie są liczne wyjątki stanowiące osobne grupy, lub jednostki zupełnie niezależne, i te stają się fermentem wywołującym opozycyą. Stronnictwo zachowawcze, uważając religją za tarczę dla swych praw, moralnych przywilejów i bogactw, nie żałuje ze swéj strony zabiegów i kosztów, na podtrzymanie i utrwalenie teraźniejszego stanu.

Ztąd powstają rozliczne stowarzyszenia religijne, protegowane i opłacane przez możnych, lub wytwarzane przez zagorzalców, ludzi ambitnych, a często i chciwych zysków biznesistów. We wszystkich stosunkach ludzkich zawsze jedne i te same występują siły, których motorem są jednakowe pobudki zgodne z naturą charakteru ludzkiego; gdziekolwiek spojrzysz, przekonasz się, że każdy z działających usiłuje wystąpić nie w swojéj roli: egoiści drapują się w poświęcenie, spekulanci w bezinteresowność.

— Ciekawe być muszą te zabiegi religijne wolnego kościoła.

— Istotnie—odrzekł kapitan. Przejdziemy się po ulicach, i przekonasz się o tém naocznie.

Propozycyą przyjąłem z radością. Peters na pożegnanie salutował, a pani Peters, dawna Judyta Figg, uroczo się uśmiechnęła. Kapitan rozkazem dziennym oświadczył, że od dziś za rok stawi się w domu Petersów w charakterze ojca chrzestnego. Biada, jeżeli nie zastanie istoty, chrztu potrzebującéj! Wtedy Peters osądzony, pójdzie na odwach... Peters śmiał się serdecznie, a pani Peters zarumieniona bawiła się czarnym fartuszkiem, jak to czyniła, będąc panną Judytą Figg, w chwili, gdy kapitan szeptał jéj w uszko gorące zaklęcia...

IV.

Zaledwie uszliśmy kilkadziesiąt kroków, gdy na mało zaludnionéj jeszcze ulicy, postrzegliśmy wysoką misses, od stóp do głowy czarno ubraną, idącą z pośpiechem. Mijając się z nami—podała mi zadrukowane dwie ćwiartki papiéru, dodając: „Niezapomnij o 6-éj.“

Na jednéj stronie karty, którą otrzymałem, było wydrukowane wielkiemi głoskami. „Bóg jest nieomylny“ na drugiéj zaś ogłoszenie, że w kościele metodystów, na oznaczonéj ulicy, będzie miał kazanie na powyższy temat, dżentlemen, sławny pryczer (1) w całéj dzielnicy; a nie mniéj sławny jego pomocnik, objaśni wyjątek z Biblii, podwójnie dużemi literami odtłoczony na papierze.

— Jakiż jest cel w rozdawaniu tych kart? zagadnąłem kapitana.

— Bardzo naturalny; aby ściągnąć jak największą liczbę ludzi do kościoła, zachęcić ich i zapisać na listę metodystów, a w końcu opodatkować na rzecz kościoła, kaznodziei, szkoły i zarządu.

---

(1) Preach (wymawia się pricz) kazać (mówić kazania) Preacher (priczer) Kaznodzieja.

Na małym placyku, utworzonym z przecięcia dwóch ulic, jakiś dżentelmen, młody człowiek z wystającemi kośćmi policzkowemi zajęty był układaniem, przy pomocy dwóch jeszcze dżentelmenów, cienkich listewek z drzewa, które przyniósł z sobą. Stanęliśmy, przypatrując się robocie. W parę minut z dobranych deszczułek powstało małe podwyższenie, dodano do niego poręcz na dwóch drążkach; wszystko to razem ześróbowano i chudy dżentelmen wstąpiwszy na to miniaturowe rusztowanie, ręce oparł o poręcz, a oczy podniósł w górę. W pozycyi téj, pozostawał aż do zebrania się kilkunastu osób około improwizowanéj ambonki. Wtedy zaczął opowiadać o śmierci Chrystusa dla naszego zbawienia.

„Czyby który z was przelał swoję krew i oddał życie za przyjaciela, matkę, żonę lub brata?“ wołał blady pryczer,—„nie, ani ja, ani wy, nie jesteście do tego zdolni, a Chrystus oddał za nas krew i życie, i w tém dowód, że jest Bogiem!.....“

Oburzony byłem na demoralizującą mowę młodego pryczerza; chcąc przekonać o boskości Chrystusa, odbierał nam to właśnie, co jedynie uświęca i uszlachetnia ludzkość, poświęcenie. Jeżeliby on nie oddał życia swego za nic i za nikogo, to przecież aż nadto mamy ludzi, którzy inaczéj pojmują i pojmowali przyjaźń, miłość a nawet poświęcenie swoje dla wiary.

— Chodźmy!—szepnął mi kapitan, gdyż po jednym jeszcze frazesie, byłbym wstanie wyboksować tego opryszka publicznéj moralności.

Uśmiechnięta miss, w popielatéj sukni, niebieskim szalu i kapeluszu tegoż koloru zatrzymuje nas skinieniem ręki; stajemy. Miss rzuca badawcze na nas spojrzenia, następnie z jednego pakiecika wyjmuje kartkę, a oddając ją kapitanowi, uśmiecha się szydersko. Z drugiego wysuwa zadrukowany papiér i wręcza mi, lekko spuszczając oczy, poczém kłania się z taką dystynkcyą i odrzuceniem głowy, że aż wstrzęsły się na jéj ramionach złote loki.

Treść kartki kapitana zawierała satyrę na padalczy ród męski, znany ród uwodzicieli, czyli wężów; ja zaś otrzymałem opowieść snu, jakim Miss nawiedzoną została przed dziesięciu laty. W tym to czasie Miss była narzeczoną, a sen przestrzegał ją, że jéj oblubieniec jest zdrajcą. Na téj podstawie Miss zerwała stosunki, a w przyszłości przekonała się, że gdyby tego nie uczyniła była pierwsza, przedstawiciel padalczego rodu gotów był sam zerwać..... Na końcu powieści znalazłem dodatek, jakoby sen, na pocieszenie przyrzekał jéj szczęście rodzinne, spokój i umiarkowany dobrobyt. Na samym dole kartki był dopisek że Miss posiada w banku 600 funtów i adres.

— Okaz ten, rzekł kapitan, należy do Irlandyi. Mnie dostały się przekleństwa, tobie nadzieje.... Miss musi być starszą na pensyi i oprócz utrzymania, posiada dochodu 20 szylingów (1) na tydzień, którym gotowa podzielić się z wężem, lub padalcem, jeżeli tylko przysięże przed stopniami ołtarza poprawę, a zatém dozgonną wierność.

— Przyznam się, że to zbyt oryginalny środek objawiania swych przekonań, snów i zamiarów.

— Nasz to rodzimy, odpowiedział kapitan, prawdziwie angielski sposób anonsów, wynaleziony w Albionie; on to dał pochop do zakładania matrymonjalnych dzienników i takichże kantorów.

Miss irlandzka oddaliła się od nas pośpiesznie na kilkanaście kroków; następnie zwolniła kroku, oglądając się dwa razy. Widocznie zostawiała nam czas do namysłu.

Nie namyśliwszy się niestety, zwróciliśmy naszą uwagę na nowego Spikera, stojącego po drugiéj stronie wielkiego publikhauzu. Ogorzała twarz, ręce spracowane, poczciwy wyraz i serdeczność przeświecająca z całéj postaci i ruchów—pociągnęły mnie i zatrzymały.

— Ti-teker, (2) szepnął mi kapitan,—gdyż ich uprzywilejowane miejsca są zazwyczaj obok szynków. Towarzystwo to jest liczne i bogate.

Zbliżyliśmy się o tyle, aby dobrze słyszéć mówiącego.

Uczciwy rzemieślnik, w rzewnych i naturalnych słowach, opowiadał ciężką dolę robotnika, gdy go namiętność pijaństwa zwycięży, a za nią wejdzie do domu nędza, upodlenie i choroba.

— „Każdy z nas, kochani słuchacze, może zarobić na tydzień od dwóch, do trzech funtów. Czyż to nie dosyć, aby żyć skromnie i wygodnie, mieć węgle na kominku, kawałek mięsa, szklankę herbaty i książkę lub gazetę? Czyż nie dosyć, aby z uskładanych oszczędności ubrać żonę jak misses, córki jak piękne miss, iść z niemi do parku, teatru, lub zrobić wycieczkę?“ Po tych słowach towarzyszka mówcy, uśmiechnęła się do nas serdecznie, a dwie ładne i rumiane miss,—spuściły oczy, bawiąc się parasolkami. Rodzina to mówcy przyprowadzona na świadectwo prawdzie słów propagandy.

— „Natomiast dziś, — kończył orator, — zostawiając choćby część zarobionych pieniędzy w szynku, jestżeś pewny, że za pół roku

---

(1) 20 szylingów stanowi 1-en funt czyli 25 franków, jeden zatém szyling stanowi 24 sou czyli 1-en frank i 4-y sou.

(2) Teataker — należący do towarzystwa wstrzemięźliwości, pijący tylko herbatę.

nie zostawisz połowy, a za rok całego zarobku? Jakież tego następstwa? Sam zdziczejesz jak zwierzę, obojętnie patrząc na żonę w łachmanach, i rad będziesz, gdy córka twoja z nędzy i zimna opuści dom, idąc na ulicę sprzedawać się, aby, z zarobionych haniebnie pieniędzy, rzucić ci jałmużnę, którą zaniesiesz do szynku.“

Podczas téj mowy członkowie towarzystwa Ti-tekerów rozdawali kartki zadrukowane statutem stowarzyszenia i adresami biór, dla chcących się zapisać. Jak zawsze w Anglii: wszystko praktycznie i krótko.

— Z kolei rzeczy, należy nam jeszcze odwiedzić,—zadecydował kapitan,—i tych którzy nie zarabiając trzech funtów na tydzień, nie mają ani przyzwoitego odzienia, ani na kupno miejsca w kościele, skutkiem czego drzwi świątyń wszelkich sekt i wyznań są dla nich zamknięte.

— Cóż w tym dniu porabia wasze towarzystwo, czyli arystokracya?

— Jeżeli w którym dniu mają zamiar nasze wysokie sfery obchodzić urodziny spleenu, powinny na tę uroczystość wybrać niedzielę. Wszystko co w powszedni dzień uważane jest za oznakę dobrego tonu i obowiązków towarzyskich, w niedzielę staje się „szoking“. W dniu tym jeździć nawet do kościoła szoking, gdyż do dobrego tonu należy, mieć własną kaplicę. Oddawać wizyty, szoking, grać na fortepianie—szoking, w karty—szoking, jeździć konno, lub na spacer szoking, iść do klubu, szoking.

— Cóż nie jest nareszcie szoking?

— Nudzić się to znaczy poświęcać się dla gminu, dla podtrzymania w nim wiary. Starsi drzemią w fotelach, a młodzież czyta zawzięcie. Bogate mieszczaństwo, rade naśladować arystokracyą, czyni to samo. Patrz w okno parteru tych dużych domów: oto Mister zagłębiony w myślach, Miss lub Misses z książką w ręku. Często się zdarza, że wiele dam, wiadomości swoje zawdzięcza samotnie przepędzonym niedzielom. Niedoczytana książka w dniu tym, kończy się nazajutrz, a czasami i przez cały tydzień. Tym sposobem wytwarza się rozciekawienie, budzące potrzebę wiedzy.

— A cóż to za chorągiew? zawołałem zdziwiony.

— Rozpoznamy i to godło powoli, ze spokojem, nie zdradzającym najmniejszego podziwu, jak tylko przystoi prawdziwym dżentelmenom, odrzekł uśmiechając się kapitan.

Nadchodzimy. Do przenośnéj ambony przymocowano wysoki drążek czerwony, z powiewającą u szczytu chorągwią dwukolorową. Na niebieskiéj części wydrukowane „Proroctwo Ezechiela,“ a na czerwonéj połowie „O rozszerzeniu Chrystianizmu,“ Łysy niewielki

człowiek, cienkim głosem opowiadał o wielkim wpływie misyi w Japonii i w Chinach.

— Nie ulega najmniejszéj wątpliwości,—objaśniał mię kapitan, że to pryczer najęty, i płacony przez „Christjan evidens sosajti“ (1). Zamożne to i uczone towarzystwo wysyła ulicznych mówców na place publiczne, a na dysputy z bezwyznaniowcami swoich teologów.

— Zkądże się rekrutują ich mówcy uliczni?

— Zwykle z rzemieślników, lub małych kramarzy, oczytanych w Biblii; dostają oni funta na tydzień, za kazanie w niedzielę po południu, a wieczorami, w dnie powszednie. Słabi mówcy, lecz lekki to chléb, przytém silna protekcya, czy to do bogatego ożenienia, czy téż o poparcie w interesach. Ha, na dole biznes, u góry bojaźń i ambicya, wyzyskują gorącą wiarę i gotowość ofiary.

W stępujemy na Scheredeach. Niskie domki, wąskie uliczki. Na trotoarach przed domami leżą mężczyzni w grubem obuwiu i kostjumach nieco zaniedbanych, w towarzystwie stojących dam, przystrojonych w perkalowe, czysto wyprane suknie; lecz za to włosy ich w poetycznym nieładzie. Rozmowa przeplatana humbugiem toczy się około kwestyi otwarcia szynków, na którą to chwilę oczekuje towarzystwo.

Nie ma jednak miejsca, do którego nie trafi zapał religijny i zamiłowanie do misyi. Z jednéj z uliczek wysuwa się miss zakwefiona woalem, podchodzi do leżącego robotnika, podając mu zadrukowany papiér.

— Dołóż do tego szylinga, odpowiedział spokojnie leżący na ziemi robotnik,—to przyjmę.

— Thank-you (2), odpowiedziała zawoalowana miss, głosem męczennicy, oddając tę samę kartę jednéj z kobiét.

— Precz stara żabo, burknęła pracownica.

— Thank-you, odpowiedziała poświęcająca się, kierując swoje kroki w chęci oddania tejże karty siedzącemu na progu, pożółkłemu na twarzy, zdaje się tragarzowi.

— Wiesz co—odezwał się tragarz,—dziecko moje słabe leży obok choréj matki. Kaszle, nieskarży się nawet, nie ma już sił, a mnie z żalu serce pęka;—uciekam, aby nie patrzéć. Przynieś buljonu, lub kup lekarstwo, to przyjmę.

— To nie mój biznes—odpowiada miss.

— W takim razie idź precz! zawołał tragarz.

Oburzeniu tragarza towarzyszyły, ciche ale wymowne dodatki.

---

(1) „Stowarzyszenie dowodów Chrześciańskich.“

(2) Tsęk-ju-dziękuję.

— Thank-jou odrzekła męczennica, idąc daléj, lecz wszędzie ta sama odprawa. Nie przyjęto ani jednego egzemplarza.

— Czy to wszystko,—rzekłem do kapitana, co się robi dla waszego ludu?

— O nie, objawy, które teraz widzisz, są tylko hypokryzyą, które lud przyjmuje, jak na to zasługują. W rzetelnym kierunku robi się bardzo wiele, zacząwszy od *Pibodi*-domów, a skończywszy na przymusowéj oświacie, któréj skutki okażą się po dojściu do pełnoletności dorastającego pokolenia. Zresztą o tém wszystkiém późniéj, gdyż czas już i na mnie.

— A ja—odpowiedziałem, uśmiechając się,—mam zamiar pójść jeszcze na jedno kazanie.

— Śpiesz się, śpiesz! weź omnibus, a życząc ci zbudowania, przypominam wtorek: pójdziemy do klubu.

— Do widzenia!—zawołałem, gdyż w téj chwili ujrzałem nadjeżdżający tramwaj. Wskoczyłem, nie zatrzymując go w biegu i za kwadrans znajdowałem się w okolicach moralnego królowania mojéj gospodyni wraz z jéj bratem.

(d. c. n.)

Sewer.

Szlachta w świetle własnych opinij.

STUDYUM HISTORYCZNE.

Sine ira et studio.

W grupach społecznych, zajmujących stanowisko naczelne, dawne organizacye państwowe zawsze znajdowały rzeczników, którzy, żeby istniejący porządek i własną pozycyą podtrzymać,—odnośne argumenty czerpali z teologii lub się na filozoficznych drogą spekulacyi zdobytych, opiérali zasadach. Z sumy jednych i drugich tj. z owych teologicznych, czy filozoficznych poglądów ułożyć można pewien całokształt, stanowiący socyologiczne wyznanie danéj grupy społecznéj. Miał swoję socyologią braman i kszatrya, wolą wszechmocnego Bramy tłumaczący kastowość; miał ją surowy spartyata, gnębiący helotów, ateński eupatryda, usprawiedliwiający instytucyą niewolnictwa; rzymski patrycyusz, chcący świat cały w sobie pochłonąć i średniowieczny wassal, natrząsający się z władzy, a sam dla poddanych władzca najsroższy. Naturalnie, rzecznicy owi w niezbędność istniejącego porządku i własnéj pozycyi wierzyli mocno, i nic nas upoważniać nie może do powątpiewania o szczerości poglądów bramana. Nad poszlakę, że mu kłamać kazał interes, wolimy pewnik, że z nałogu można się w najpotworniejszéj organizacyi rozkochać, że człowiekowi łatwiéj przychodzi dla staréj niedorzeczności najmisterniejsze usprawiedliwienie wymyślić, niż najprostszą lecz nową prawdę wygłosić lub w wygłoszoną uwierzyć.

I nasza przeszłość wykołysała eupatrydów rzeszę potężną; i nasi eupatrydzi, wyjątkową w narodzie zająwszy pozycyą,—lubili nad nią, a więc o sobie i o swoim do innych stanów stosunku, rozmyślać i pisać. O ich szczerości, podobnie jak o dobréj wierze bramanów nie wątpię. Nieobłudne, w literaturze czterech stuleci zakrzepłe oj-

ców naszych zwierzenia zbierałem pilnie i na podstawie takowych zamierzyłem szlachtę polską w świetle jéj własnych przedstawić opinij. Co rozumiała o sobie? czém usprawiedliwiała swoje wszechwładztwo, a poniżenie mieszczan i chłopów? Na te pytania ona sama odpowie.

I.

Starodawność i geneza szlachectwa.—Czem udowodniano jego dziedziczność?—Spadkowe przymioty ogólne szlachty i cechy szczególne domów niektórych.—Starość i czystość krwi jako warunki zacności.— Gradacye i trwałość szlachectwa.

W kwestyi starodawności i genezy szlachectwa najbieglejszy heraldyk Bartosz Paprocki, stanowczéj odpowiedzi udzielić nie umiał. Powołuje się na powagę rozmaitych pisarzy i przypuszcza wraz z nimi: albo szlachectwo wtenczas zakwitło, kiedy Noe Chama, że się z jego nieopatrznego leżenia naśmiewał, dotknął przekleństwem, albo téż dopiéro po zburzeniu wieży Babel wzięło początek. Tę drugą hipotezę Paprocki za wiarogodniejszą uważa i powstanie szlachty następującéj przypisuje przyczynie. Przy budowie wieży Babel moralne rozpasanie doszło do tego stopnia, że się ludzie sami sobą brzydzić poczęli. Tknęło niektórych sumienie i obrali z pośrodka siebie męża mądrego, któremu oddali zwierzchność, iżby władał wszystkiemi według swéj myśli, karał złe i nieposłuszne, a dobre i cnotliwe wywyższał. Ów mąż rozumny z mocy swéj władzy każdego, kto według jego woli życie prowadził, czynił nad innych znaczniejszym i zwał go *nobilis* szlachcicem (1). Lecz nie sama zasługa nadawała szlachectwo. Drudzy przychodzili do niego, powiada nasz pisarz, dla wielkich majętności, niektórzy przez tyraństwo, a inni za sprawą Boga, jak Dawid i Saul (2).

I w wyjaśnieniu genezy i w chronologii Paprocki jest chwiejnym. Z jednéj strony pochodzenia szlachectwa zdefinjować stanowczo nie umié; z drugiéj znów, na inném miejscu (3) za starymi historykami, twierdzi ogólnie, że stan szlachecki jest zdawna na świecie, a prawie zaraz po stworzeniu świata się począł. Noe z synami, kapadoccy i filistyńscy książęta, cesarze babilońscy i pierwsi królowie greccy, żydowscy sędziowie i rzymscy patrycyusze,—słowem wszy-

---

(1) Paprocki. Herby rycerstwa. Wyd. Turow. str. 48.
(2) Tamże, str. 49.
(3) Tamże, str. 49.

scy owi mądrzy a dzielni mężowie, którzy w starożytności władzą lub cnotą jaśnieli, szlachtą byli i herby nosili (1).

Rzecz dziwna, pisarze nasi pod pewnemi względami więcéj o obcém, niż o polskiém szlachectwie wiedzieli: gwoli pierwszemu na chronologiczną sadzili się ścisłość, gdy początków własnego hipotetycznie nawet nie potrafili z mroku tajemnic wydobyć. Paprocki, mówiąc o herbach kapadockich, filistyńskich, greckich i innych, o pochodzeniu własnych zaznacza tylko ogólnie: tedyć i przodki nasze dla poszukiwania sławy dobréj słowakami zwani, nie zaniechali używać tych godeł; w szerokich wrociech nieprzyjacielskich mieszkając, pragnęli śród innych narodów męztwem celować i zacność swoję potomstwu swojemu jako skarb najwyższy zostawili w spuściźnie (2). Zamiast oznaczenia czasu powstania, Paprocki podaje definicyę szlachectwa, zaznacza jednoznaczność jego z zacnością i męstwem i skwapliwie do dziedziczności cnót owych przechodzi.

Inni pisarze o pochodzeniu szlachty wiedzieli nie więcéj. Znajdowali ją za Popielów i Lechów; widzieli ją w epoce, poprzedzającéj organizacyą państwa polskiego; lecz czasu w przybliżeniu nawet oznaczyć nie mogli. W domysłach swoich ograniczali się na tém, że szlachectwo jest instytucyą odwieczną; że jest wynagrodzeniem za zacność i dzielność i że z ojców prawem dziedzictwa przechodzi na dzieci.

Dla czego szlachectwo ma być dziedziczném? Ku rozwiązaniu téj kwestyi ojcowie nasi wysilali swój rozum i zawsze w zjawiskach przyrody szczęśliwą znajdowali odpowiedź. Najdosadniéj ją może utalentowany Sęp Szarzyński przedstawił: „z zacnych się ludzi rodzą także zacni: mężna orlica gołębi nie rodzi, ani mdły zając z dużych lwów pochodzi“ (3). Na stadziech końskich i inszych zwierząt, powiada Górnicki (4), widziéć to łatwo, iż natura w rzecz każdą wsiała to ziarno, które własność a moc swoję podaje potomstwu i takiém ją czyni, jakiém jest samo. Jeżeli piękne ziarno, na rodzajną rzucone niwę, plon wydaje obfity, a ze szlachetnych zwierząt szlachetne powstaje potomstwo,—to również z naturą jest zgodném, iż dzielni dzielnych téż rodzą. *Fortes gignuntur a fortibus*, kruk nigdy nie zrodził łabędzia, nigdy kawka matką nie była drozdowi. Więc działo się mądrze, że u wszystkich narodów szlachectwo, przez cnoty ojców nabyte, przechodziło na synów; słusznem jest przeto i w Polsce, że

---

(1) Tamże, str. 50—57.
(2) Tamże. str. 57.
(3) Rytmy polskie. Wyd. Turow. str. 17.
(4) Dworzanin. Wyd. Turow. str. 24.

potomstwo sławę przodków dziedziczy. We krwi swojéj nosi nasiona dzieł wielkich, a mając przytomne w pamięci wzniosłe ojców przykłady, naśladuje ich cnoty i torem ich idzie (1). Jest to sprawiedliwe i mądre: mądre, bo zgodne z przyrodą rzeczy; sprawiedliwe, gdyż pamięć o czynach wraz z życiem ich twórców nie ginie. Na tém więc że od mężnych i dobrych pochodzą mężni i dobrzy, że srodzy orłowie słabego gołębia nie rodzą; na podstawie dziedziczności, podpatrzonéj w zwierzętach, w świecie roślinnym, i ptastwie filozoficznie twierdzono, iż ,,szlachectwo jestto zacność przodków i uczciwość przodujących, która na potomstwo spada prawem dziedzictwa" (2).

Szlachcic, rodząc się, otrzymywał już wspadku: roztropność, umiarkowanie, sprawiedliwość i męztwo (*prudentiam*, *temperantiam*, *fortitudinem et justitiam*), całe życie gorzał chęcią służenia ojczyznie, pragnął wiary swéj bronić i na wojnie sławy dobréj nabywać (3). Z urodzenia był słońcem, świecić też miał czynami jak słońce; szpetne chmury, które ćmią sławę, mężnie powinien promieniami cnót swoich rozpraszać. Z natury, powiada Leszczyński (4), wszelkie posiada talenty i cnoty,—w całym też świecie nic się kondycyi polskiego szlachcica równać nie może.

Nie dość jednak na przymiotach umysłu i serca: szlachcic i pod względem fizycznym wzór przedstawiał skończony,—doskonalsze niż plebejusz miał członki. Oko jego zdolne było rozleglejsze horyzonty ogarnąć; usta niezwyczajne głosiły rzeczy; miał ręce i nogi nie ku pełzaniu po ziemi i wykonywaniu robót powszednich, lecz ku kierownictwu losami świata. W *Wizerunku szlachcica polskiego* na początku XVII stulecia (w r. 1615) kanonik łowicki, Wacław Kunicki, ciekawą tę kwestyą z wielkim dowcipem wyświetlał.

Słonecznych cnót blaski ubarwiały cały naród szlachecki i każdéj stanu tego rodziny były własnością. Jednakże, oprócz ogólnych, każda rodzina szlachecka, czyli dom każdy, posiadał i znamiona szczególne, jemu tylko właściwe lub w nim tylko prawem dziedzictwa uwydatnione wyraźniéj. Abdankowie byli według Długosza i Paprockiego sprzętni i wielcy; Bogorye przystępni i ludzcy (*humani et tractabiles*); Gozdawici panom swym wierni (*genus dominis suis fidum*); Grzymalici uczciwi (*probi*), Jelitczykowie skromni i zamiłowani w myśliwstwie (*viri modesti, canum ac venationum studiosi*); Ossoryowie grzeczni i ludzcy (*civiles et humani*); Radwanowie mężni i możni;

---

(1) Krasińskiego Polska, przekład Budzińskiego, str. 62 i 63.

(2) Wolan. O wolności rzeczypospolitéj. Wyd. Turow. 25 i 26.

(3) Starowolski. Prawy rycerz. Wyd. Turow. str. 9 i 11.

(4) Głos wolny. Wyd. Turow. str. 58.

Zabawowie— sensaci. Cechy to były dodatnie. W niektórych domach spostrzegłeś ujemne, zawsze przecież szlachetne i samemu tylko właściwe rycerstwu. Zaznaczyć bowiem wypada, że stan ten przywary miał inne niż mieszczanie i chłopi: jako z przyrody krwi swojéj do wielkich przeznaczon czynów, wad pospólstwa posiadać nie mógł. Tak np. chociaż i szlachta wierzyła w czary, nie było przecież wypadku, żeby kto szlachciankę za czarownicę poczytał; nie sądzono, aby śród rzeszy przezacnéj gnieździć się mogły czyny tak sprośne (1). Chłopska to rzecz siła jeść; szlachecka—pić więcéj, powiada Trzyprztycki (2).

Obok więc owych, pewne domy cechujących znamion szczególnych, dodatnich, znajdziemy i szlacheckie przywary, które przecież ozdobę raczéj stanowią, niż plamę. Czyż mogła Doliwczykom uwłaczać hojność i do kielicha pochopność (*viri ad potationem et largitionem proclivi*); Leszczycom prostoduszności trochę i skąpstwa (*partim simplices partim avari*)? Mógłże kto zarzut poważny postawić, że Łodziowie byli ambitni i do prywaty skłonni (*in ambitionem proni et rerum privatarum studiosi*): Półkozice babiarze i skryci (*vafri in venerem et simulationem proclivi*); Rawicze okrutni i zuchwali, niektórzy nawet lekceważący wiarę (*audaces et crudeles, nonnulli etiam contemptores religionis*), a Zadorowie skłonni do gniewu (*in furorem proclivi*)? W pijaństwie, hojności, ambicyi, babiarstwie, zuchwalstwie, okrucieństwie lub gniewie, dopatrzysz siły rycerskiéj i wspaniały znajdziesz animusz, obcy plebejuszowi, spodlonemu czarami i zgnuśniałemu z obżarstwa.

Z powyższego wynika, że na zacność szlachecką, o któréj ks. Stojkowski powiedział (3), że wedle opinii medyków wraz ze krwią rodziców przechodzi w ciało dziecinne, składała się suma przymiotów dość skomplikowana i znaczna. Żeby zaś zacność owa była rzetelną, żeby szlachcic stał „między inszymi stany, jako drzewo cedrowe, które osobliwszą zieloność i wonność z siebie wydawa,“ dwóch jeszcze kardynalnych wymagano warunków: w żyłach jego krążyć musiała krew stara i czysta.

Starodawność pochodzenia dziwny miała urok dla ojców. Że za defekt uważano, gdy rodzina o odległych przodkach nic rzeknąć nie mogła (4), zapuszczano się przeto w czasy zamierzchłe, zawiązków rodzinnych szukano w legendach i mitach. Dumą wezbrane

---

(1) Moraczewski. Polska w złotym wieku. Poznań, 1851 str. 157.

(2) Co nowego albo dwór 1650.

(3) Walecznik w bramie starożytnych Grzymałow. Poznań b. r.

(4) Starowolski. Reformacya obyczajów. Wyd. Turow. str. 12.

miał serce, kto licząc przodków szeregi, zbłąkał się w mroku czasów pierwotnych, dotarł do arki lub się z greckim spotkał herojem. Szczęśliwi byli Zabawowie, że herb ich Długosz w dziejach Chrobrego napotkał; Jastrzębcowie i Lisowie, że się na przodków, w jedenastym żyjących wieku, powołać mogli; szczycili się Różanowie, Korabowie, Zarembowie i Rogale, że o nich w trzynastym wieku pisał kronikarz. Ku dogodzeniu próżności Paprocki w odleglejsze bo w przedchrześciańskie puszczał się czasy: to znowu, dla wiarogodności, przywileje klasztorne cytując, wywodził szlachtę z Niemiec Francyi i Anglii. Na Mazowszu krew rzymskiego patrycyusza płynęła w żyłach 20.000 Romanów (1), liczni w arce Noego lub przy owéj wieży Babel znachodzili praojców. Z lubością około poszukiwania przodków wkraczano na obczyznę lub w mroki; w miarę wzrastającéj odległości przestrzeni i czasu, bohatérowie legendy większych nabierali wymiarów; nabierali mocy karyatyd, na których się świat oparł; stawali się dziwem mitycznem.

Dom, który się z dawnych przodków nie wiódł poczciwie, Paprocki (2), futrowanym nazywa; według świadectwa Starowolskiego (3) ogólném było mniemaniem, jako chwalebniejsza jest urodzić się, niż stać się szlachcicem. Nowokreowany szlachcic, nie mając w żyłach krwi staréj, i w opinii i w obliczu prawa niżéj stawał, niż klejnotnik odwieczny. Jeżeli konstytucyą sejmową od tak zwanego scartabellatu uwolnionym nie został tj. jeżeli go prawo z innymi obywatelami nie porównało odrazu, szlachcic nowy, zwany świerczałką, w prawnukach dopiéro do dostojeństw dochodził. Żyły trzech pokoleń krew jego musiała obiegać, nim przez starość w szlachectwie nabyła zacności.

Żeby szlachcic był „między stany inszemi jako drzewo cedrowe, które osobliwszą zieloność i wonność z siebie wydawa“,—płynąć w nim musiała krew czysta. Mieszańcem, prawi Orzechowski (4). Polska się brzydzi; chce mieć szlachtę szczerą, nie zaś mięszaną, ani napojoną krwią rzemieślniczą albo targową. Te szlachetnymi i urodzonymi zowiemy, których rodzicowie obadwa zniewoleni rzemiosłem ani handlem nie byli nigdy, ale zawżdy rzemieślniki i kupce sądzili i onym, cnotą wszelką sami zdobnymi będąc, rozkazy da-

---

(1) Święcickiego opis Mazowsza w moim przekładzie (*Kwartalnik Kłosów*. II, str. 113).

(2) Herby, str. 377.

(3) Polonia. W zbiorze Mizlera I. 457.

(4) Policya. Kraków, 1859 str. 67.

wali. Zalecano szlachcicom, iżby, mówiąc słowami Reja (1) szukali żonki staniku sobie równego, stającym na kobiercu z plebejką przebaczano niełatwo. Prawnie *uxor sequitur conditionem mariti*; szlachcic żonę, pochodzącą z pospólstwa, uzacniał;—na potomkach jednak ciążyła skaza takiego małżeństwa. Idący po kądzieli z matki i babki plebejskiéj do prelatur duchowych dostępu nie mieli, kawalerowie zakonu maltańskiego z herbów szesnastu, kanoniczki z ośmiu szlachectwo wywieść musiały. Na piersiach obywatela order Ś. Stanisława nie zawisł, aż wywód szlachectwa czterema herbami z matki uczynił. Wszakże sejm z r. 1780 dla tego między innemi projekt do prawa, przez Zamojskiego przedstawiony, odrzucił, że w nim o prawnych skutkach małżeństwa chłopa ze szlachcianką stał przepis (2). Pod koniec XVIII wieku przestrzegał jeszcze Ostrowski (3), iż wielką krzywdę czynią potomstwu, którzy w związkach małżeńskich na równość stanów niebaczą.

Więc dopiéro szlachectwo, jednocząc w sobie krew zacną, starą i czystą była to jakaś moc dziwna, niby gniazdo cnoty, sławy, poczciwości i każdéj powagi, wedle słów Reja (4).

Jednoczący w sobie owe warunki i od mieszańców i od świerczałków, jak to wskazałem, odróżniani byli przez opinią i prawo; równi byli rzetelnie tylko szlachcice o krwi staréj i czystéj. Orzeczenie Orzechowskiego (5), że wszelki szlachcic równym był każdemu innemu „wolnością, prawem, herbem, królem i gardłem“,—da się zastosować tylko do klejnotników, pochodzących z rodzin odwiecznych i nieskażonych przymieszką krwi lichéj. Tacy tylko czy to senatorowie, czy słudzy, jako w równéj mierze szlachcice dobrzy, bez względu na bogactwo i na pozycyą społeczną, w oczach opinii i prawa traktowani byli na równi i wzajemnie zwali się bracią. Równość przeto pomiędzy szlachtą była dość względną. Usiłowania magnatów aby ogrom szlachecki podzielić na klasy wedle bogactwa i pozycyi społecznéj, o opór masy, która równość powszechną uważała za źrenicę i pochodnię wolności,—rozbijały się zawsze, jednakże pewna gradacya teoretycznie nawet istniała, tylko że za podstawę takowéj nie pieniądz i nie zaszczyty, lecz stopień starości i czystości krwi służył.

---

(1) Żywot poczciwego człowieka. Wyd. Turow. str. 66.
(2) Zbiór praw sądowych I. XVII. § 10.
(3) Prawo cywilne. Warszawa 1787. 22.
(4) Żywot poczciwego człowieka. Str. 109.
(5) Żywot i śmierć Tarnowskiego. Sanok. 1855 str. 55.

Dom szlachecki cały ogrom cnót skali przeróżnéj piastował dziedzicznie, a nie tracił ich nigdy. Szlachectwo, jako stan psycho-fizyologiczny, trwałe było i wieczne. Faktycznie nawet, na drodze prawodawczéj, zacność krwi przedawnieniu nie ulegała żadnemu; rzeczpospolita infamii ojca nigdy nie rozciągała na dzieci. Chwilowe nawet zniżenie się do stanu miejskiego, rzucenie się do rzemiosła lub handlu nie pozbawiało prerogatyw ani tego, który się od zajęć szlacheckich wyłączał, ani jego potomków,—zawieszało je tylko czasowo. Tak było na Litwie bez przerwy, a w Koronie dopiéro w r. 1633 surowe zapadło prawo, według którego dzieci, podczas zajęć mieszczańskich zrodzone, szlachectwo traciły.

II.

Szlachecka socyologia.—Wyobrażenia o mieszczaństwie i chłopach, o rzemiosłach, handlu i roli.—Wartość szlachcica i plebejusza wyrażona w pieniądzach.—Stopniowe wyosobnianie się szlachty z narodu i jéj wyjątkowa w państwie pozycya.

Przez wysokość swéj cnoty szlachcic herbem czyli piątnem jest naznaczony od Boga, a jako cedr libański wyrasta nad inne drzewa głuche a proste, tak stan rycerski, zawsze śród innych wdzięczny i znaczny, nigdy nieporuszony od wiatrów, wiecznie będzie osobliwie zieleniéć i wonieć (1).

Przyrównanie szlachty do cedrów libańskich, a pospólstwa do drzew głuchych i prostych, konstatowało rzeczywisty stosunek rycerstwa do mieszczan i chłopów i nie było słowem, rzuconém na wiatry. U pisarzy naszych porównanie takie spotyka się często; jakiéj zaś barwy motywa nadziewało na siebie? warto bliżéj rozpatrzyć. Wejrzenie na argumenty, usprawiedliwiające pozycyą cedrów i stanowisko drzew prostych, wprowadza nas w sferę rycerskiéj socyologii, która podobnie jak i owa analiza natury szlachectwa w zjawiskach przyrody i w psychologii szukać będzie podstaw dla siebie.

Postanowił Pan Bóg na ziemi porządek królów, szlachty, mieszczan i chłopów. Z tych gromad stało się jedno ciało koronne, prawem i przywilejami, jakoby żyłami wnętrznemi spojone ku życiu dobremu (2). A jako w człowieku przyrodzenie jedne członki ważniej-

(1) Rej. Żywot poczciwego człowieka, str. 108.
(2) Orzechowski. Policya, str. 49.

sze robi nad drugie tak i w ciele koronném króla wywyższyło nad szlachtę, szlachcica nad mieszczan i chłopów. Król jest jako głowa, z któréj rząd na wszystko ciało pochodzi; stan szlachecki to piersi, bo i w pokoju wolnym głosem, który początek ma w piersiach i w boju mężném sercem, które także natura w piersi wsadziła,—zastawia się za całość ojczyzny. Nogami w tém ciele kmiotkowie, rzemieślnicy i kupcy, ci bowiem, pełzając przy ziemi, pracą swoją rzeczypospolitę pożywiają tylko, dźwigają i zdobią (1). Szlachta więc podpora to przednia, ramię i piersi najpotężniejsze na zachowanie państw (2), ona i broni i rządu przestrzega w ojczyźnie.

Chociaż, wytargnąwszy pospólstwo, wszystką gromadę polską byś stargał, jednakże i bez niego rzeczpospolita jeszcze stać może i prędko nie zginie. Oracze bowiem, rzemieślnicy i kupcy przypadłymi, a nie wnętrznymi, są członkami polskiéj korony (2). Jak ten, który się w sławnych a wielkich rzeczach kocha i ćwiczy nie może być myśli małéj i niskiéj,—tak ten znowu, co się wdawa w rzeczy wzgardzone i małe, onemi się pęta i na nich przestawa,—nie może być myśli wspaniałéj i dzielnéj. Szlachta więc tylko, wielkiemi rzeczmi się bawiąc członkiem jest przednim; oracz, rzemieślnik i kupiec, ludzie błahego i nikczemnego obchodu, istotnemi częściami korony nie mogą być (3). To tylko nogi w ciele koronném, to tylko sługi ku zachowaniu i życiu onego (4).

Potrzebny jest w państwie taki stan ludzi, który, zaniechawszy wszystkiego, co krzesze zyski,—z temi tylko zajęciami się pora i w tych tylko się ćwiczy, które dostojność i pożytek krajowi przynoszą (5). Wszystek stan szlachecki osiadł na prawdzie i wierze, dzielnością swoją i sercem wielkiém odtrąca wraże napaści; gardł swych nie ważąc, pobudzony jedynie poczciwą sławą, na nieprzyjaciela w każdéj potrzebie uderza. Że między cnotą a groszem wielki swar jest i wielka niezgoda, ponieważ prawda z kupią pospołu nie mieszka,—przeto pomiędzy pracą rycerską i umiejętnością sprawowania rzeczypospolitéj, z zajęciami, zysk mającemi na celu, sojuszu nie masz (6). Rzemiosła sprośne są i smrodliwe; żadnego zacnemu człowiekowi przystojnego nie masz rzemiosła (7). Kupiectwo, mitręgą ży-

---

(1) Dębiński. Różne mowy publiczne. Częstochowa, 1727, str. 47.

(2) Orzechowski. Policya, str. 144, 149.

(3) Tamże, str. 150.

(4) Tamże, str. 57.

(5) Wolan. O wolności rzeczypospolitéj, str. 34.

(6) Orzechowski. Policya, str. 58.

(7) Tamże, str. 60.

wiąc, zapominać musi o prawdzie i wierze i dla tego prawo polskie szlachcicowi obchodu miejskiego zabrania. Szlachcic siadł wszystek na prawdzie, która, pieniężnemi obchody się brzydząc, nie może stać pospołu z rzemiosłem i handlem (1).

Pospólstwo, zaniedbując sprawy publiczne, prywatnych celów i prywatnéj tylko szuka korzyści; zmiennéj i niepewnéj będąc wierności, to na jedną, to na drugą stronę łatwo się daje naginać (2). Gdyby urzędy ludziom plugawym były zlecone, albo gdyby sprawa wojenna włożoną była na ludzie podłe i lekkie,—czyż przy sterowaniu takich żeglowanie rzeczypospolitéj byłoby pewném (3)? Wszakże rzeczpospolita rzymska, pani całego świata, zawichrzeniami trybunów wstrząśniona, wraz z wolnością straciła wszystko (4). Szczęśliwa przeto jest Polska, że na stanie szlacheckim, jako na słupie wybornym stanęła, a owym, którzy grosz groszem gonią, łokciem mierzą, kwartą szynkują, rzemiosła robią albo pługiem są zniewoleni u drugich,—takie miejsca zostawiła w królestwie, jakie w domu gospodarza miewają słudzy (5).

Ku przyczynieniu dostojności i pożytku krajowi przez zachowanie w sobie cnót wielkich, szlachcic, stroniąc od rzemiosła, handlu i roli,—obracać się powinien w téj sferze, która czystego charakteru nie kazi, szczytnych pragnień nie gasi, szlachetnych zapałów nie studzi i nie wstrzymuje polotu myśli wspaniałéj. Sfera owa ogarnia całą arenę państwową, a na niéj najwłaściwszém dla szlachcica zajęciem jest działalność publiczna i oręż. Ponieważ miasta są gniazdem niecnoty i kłamstwa, najstosowniejszém przeto dla szlachcica siedliskiem jest wioska. Nie powinien jednakże zbytecznie trudzić się pługiem; jak bowiem rzemiosło i grzeszne kupiectwo mieszczaństwu, tak rola gburom jedynie przystoi (6). Uprawę ziemi zdawszy na chłopstwo, na dostatki nie bacząc, szlachcic rycerstwem tylko ma się zabawiać, bo nie bogactwo, lecz męztwo jest tarczą państw; bo wolności i swobód przodkowie nie złotem, ani inszymi postępki, ale krwią i dzielnością zdobyli, o pany i ojczyznę ręką swą czyniąc (7). Przed laty, mówi Kochanowski (8), w Polsce żaden nie był

---

(1) Tamże, str. 58.
(2) Krasińskiego Polska, str. 44.
(3) Wolan. O wolności rzeczypospolitéj, str. 34.
(4) Krasińskiego Polska, str. 44.
(5) Orzechowski, Policya, str. 66.
(6) Starowolski. Reformacya, str. 177.
(7) Krótkie rzeczy potrzebnych zebranie, uczynione r. 1587. Wyd. Turow. str. 12.
(8) Satyr albo dziki mąż.

w pieniądze bogaty, kmieca to rzecz na onczas patrzéć roléj była; bez złota jednak, jedynie męztwem swojem wielkie państwa brali Polacy. Były w Prusach bogate miasta i zamki budowne, drogi porządne i mosty, czego nie dokonać bez znacznych pieniędzy, byli tam i gospodarze tędzy, a przecież Polacy ziemię tą wzięli (1).

Więc fachem szlachcica działalność publiczna i oręż; skoro zaś do rzemiosła lub handlu się zniżył, kierownicy opinii piętnowali go hańbą; pod wpływem opinii władza prawodawcza odpowiednie wydawała przepisy i dotykała go karą. Statut warteński (z r. 1423) zabraniał kmieciom rycerzowi przyganiać (*nobilitatem increpare*) tj. zarzucać mu gminność, ale pozwalał to robić przeciwko szlachcicom, którzy łotrują lub piwo szynkują w mieście (2). Proceder miejski statut warteński zrównał z łotrowstwem! Prawo z r. 1633 oddających się rzemiosłu i handlom pozbawiało szlachectwa wraz z dziećmi, konstytucya z r. 1677 ponownie zohydza, którzy jak się wyraża, monopolje, szynki, handle i *opificia mechanica* traktują.

I nietylko zajęciami plebejskiemi się hańbić, ale i obcować z pospólstwem niewolno. Uchwały łąkoszyńskie (z r. 1424 lub 1426) zastrzegły, że jeżeli szlachcic, w mieście czy na wsi z kmiećmi się bawiąc, krwawe lub sine odniesie rany,—nie ma prawa zanosić skargi jako szlachcic, lecz jako kmieć; napastnik zaś za zrobioną mu ranę nie drożéj jak za chłopską zapłaci (3). W r. 1453 statut księcia mazowieckiego Bolesława w podobnych okolicznościach zabrania nawet dopuszczać skargi do sądu (4), a ekscepta mazowieckie, które do upadku rzeczypospolitéj obowiązywały Mazowsze, zachowały sobie ten przepis, iżby szlachcicowi ani w karczmie przebywać, ani piwa zapijać z kmieciem, ani z nim w jednym rzędzie siedziéć nie było wolno (5).

Jeżeli szlachcicowi ubliżały miejskie i wiejskie zajęcia, jeżelić plebejusz, jak paryas, sam pełen niesławy towarzystwem swojém klejnotnikowi uwłaczał i piętnował go hańbą, to naturalnie, że i skala kary za krzywdę, jaką szlachcic dotknął plebeja, lub też odwrotnie, stosować się musiała do zacności strony jednéj i drugiéj. Wspomniałem wyżéj, że szlachcic doskonalsze, niż plebejusz, miał człon-

---

(1) Tamże.

(2) Bandtkie. *Jus polonicum*. p. 214 §. XXII.

(3) Helcel. Star pr. pol. pomniki, I 293 §. X.

(4) Bandtkie. *Jus polonicum* p. 445.

(5) *Vol. leg.* II. 945.

ki; że każdy z członków niepospolite wypełniał funkcye, a był zasilany krwią zacną. Nie dziw, że palec szlachetny taką miał wartość, jak połowa głowy na ladajakim osadzona kadłubie; że wedle statutu wielkopolskiego z r. 1347 zabójca szlachcica płaci grzywien 30, za nos, nogę i rękę 15, za palec 3 grzywny; zabójca zaś kmiecia płaci 6 grzywien, za ranę półtory. Według statutu Bolesława mazowieckiego z r. 1448 szlachcic za znieważenie plebejki kopę grzywien opłacał, gdy chłop (uchowaj Boże! pokrzykuje ów statut) za taką samą obelgę, wyrządzoną szlachciance, karze gardła podlegał. W późniejszych czasach do kary pieniężnéj za zabójstwo człowieka dodano więzienie; w r. 1581 za króla Stefana zapadło, aby nieszlachcic za zabójstwo karany był śmiercią; szlachcic zaś za czyn takiż, popełniony na chłopie, najprzód grzywien 10, późniéj 30, a od r. 1631 sto płacił. Gdy w Prusach królewskich bez względu na pochodzenie zabójca (według statutu z r. 1538) karany był śmiercią, gdy w Litwie już trzeci statut (z r. 1588) klejnotnego zabójcę chłopa karał na gardle, w koronie stare prawo wciąż kwitło. Na Batorego, że za morderstwo mieszczki krakowskiéj ściąć kazał szlachcica (1), sarkano; dopiéro w r. 1768 statut litewski zastosowanie znalazł w ziemiach koronnych.

W miarę, jak się rozrastało koło rycerskie i uczuwało dostateczną moc w sobie, potężniała pogarda jego ku mieszczaństwu i chłopstwu; w przywileju swoim zamykało się coraz zazdrośniéj, coraz bardziéj utrudniało do siebie przystęp. Początkowo nadawanie szlachectwa należało to do monarchy, to do szlachty, na sejmiku zebranéj. Wspominają dzieje o szlachcie z sołtysów i kmieci, kreowanéj przez króla; wspominają i o zwyczaju, że dość było przez dwunastu obywateli być wprowadzonym w koło rycerskie, by zostać szlachcicem; każdy nawet klejnotny osobnik, skoro tylko plebejusza do swego herbu przygarnął, bratem swoim w obywatelstwie go czynił (2). Opinia publiczna sarkać na to poczęła. Paprocki (3) strofuje pana, który człowieka „bez żadnéj wolności uszlachca, do herbów przodków swoich poczciwie nabytych przyjmuje i nimi go z potomstwem jego niegodném udaruje i broni.“ Pod wpływem opinii prawo z r. 1578 uszlachcanie cudzoziemców i krajowców oddało sejmowi. Gdy pomimo tego wedle utrwalonego zwyczaju wciąż nobilitowano na sejmikach za pomocą przysposobienia, udzielania swojego herbu lub

(1) Kronika Zelnera u Grabowskiego: *Groby królów pol.* Kraków, 1835, str. 2.
(2) Lelewel. Polska. Dzieje i rzeczy jéj III, 446.
(3) Herby str. 49.

przez nadanie ziemskiéj własności, opinia znowuż zaczęła sarkać. Lada wyrwa, bean lub sprośny korydon, molestuje Witkowski (1), skarbów nabywszy, przychodzi do herbu; teraz i osieł zwie się lampartem, a koczkodan z małpą chcą się lwu równać. Ten, co skórmi furmanił, łojem handlował, pieprze szynkował, zagon ziemi kupiwszy, śróbuje się w wolność szlachecką. Z powodu wyrzekań na przyrost „klepanéj szlachty“ i na mieszanie się stanów „w kłąb jeden,“ dla zapobieżenia temu na przyszłość konstytucya z r. 1663 wykraczających przeciwko prawu z r. 1578 pozbawiła szlachectwa. Od tego czasu, kto plebejusza przyjął do herbu, za krewnego go uznał i świadczył za jego szlachectwem, za takowy występek sam obywatelstwo utracał.

Wdzieranie się do szeregu rzeszy klejnotnéj za tak ciężką poczytywano zbrodnię, że prawo z XVI stulecia (2) zabójcę mniemanego szlachcica od wszelkiéj odpowiedzialności uwalnia, owszem pozywającego o taki uczynek poddaje karze. Udający się za szlachcica plebejusz musiał wieżę odsiadać; jeżeli był posesyonatem, konfiskowano mu dobra, jako posiadane nieprawnie; gdyby zaś prawdziwemu rycerzowi zuchwale zarzucił gminność, w koronie karze śmierci podlegał, a w Litwie po odwołaniu potwarzy, smagany u pręgierza, z miasta wyświecany zostawał. Separatyzm szlachecki wciąż rośnie; potęguje się jeszcze i wtenczas, kiedy wiatry zachodnie niejedno już na ziemi naszéj nowe zasiały ziarno i kiedy omszałym kolosem szlacheckim chwiać poczęły poważnie. Konstytucya z r. 1768 kwestyą nobilitacyi podnosi do znaczenia tak zwanych materyi *status*, umieszcza ją w rzędzie praw kardynalnych i dla przyznania szlachectwa sejmowéj jednomyślności wymaga.

W miarę faktycznego wyczyniania się szlachty z reszty narodu kształciły się jéj wyobrażenia o sobie, mieszczaństwie i chłopstwie i o własnym do tych stanów stosunku; w miarę rozwijania się owych poglądów wyosobnianie z masy stawało się coraz bardziéj subtelném i coraz bardziéj charakter przybiérało stanowczy. Pozycya, jaką szlachcic w państwie sobie wywalczył, przypuszczam, że z początku zaniepokoić musiała sumienia; lecz im rozum z pomocą pospieszył, erudycyi ze starożytnych pisarzy zaczerpnął i filozofią stworzył szlachecką. Ukołysała ona wnętrzny niepokój, owszem wykazała dowodnie, że jak jest, jest dobrze, mądrze i słusznie; że zawsze tak będzie i być powinno. Rozum szlachecki szczęśliwe odkrył kryteryum

---

(1) Pobudka w Maciejowskiego *Polsce*. II, 196.

(2) *Vol. leg.* II, 606.

i z niego bardzo dowcipnie cały wysnuł systemat. Ojciec był zacnym, bo za zasługę otrzymał szlachectwo; kos długodzioby długodziobe wysiaduje pisklęta, ztąd wniosek logiczny, że i ów ojciec sam zacnym będąc, czyli szlachcicem, na zasadzie prawa przyrody stwierdzonego przez kosa, zacnego ma syna. Gatunek kosa nigdy dzioba długiego nie straci, i syn zacności, odziedziczonéj po przodkach, nie straci nigdy. Każde wino jest niezłe, lecz najlepsze odwieczne i czyste; i zacność każda jest dobrą, lecz najlepsza niemieszana i stara. Kosowi dziób długi daje prawo tępić marne, niedługodziobe owady; szlachcic, zacnym będąc, ma prawo panować lichym i poniewierać podłymi. Na podstawie zjawisk fizycznych umysł szlachecki prawa moralne i socyologią stanową, przyznać to trzeba, zbudował misternie. W przyrodzie podpatrzona dziedziczność stała się drożdżami, na których urosła bułka szlacheckiéj wolności; starość i czystość krwi stały się nićmi złotemi, na które brylantowe paciorki swobód nizano. W każdym przywileju szlacheckim, w każdém prawie, dotyczącém interesów stanowych, widać te drożdże i koniec jednéj z tych nici.

Zgodnie z prawami przyrody coraz jaśniéj gorzała pochodnia szlachectwa i coraz głębiéj pospólstwo, w żyłach którego plugawy płyn krążył, do społecznych spychano ciemnic. Na obalinach praw mieszczan i chłopów i na gruzach powagi królewskiéj, wzniósł szlachcic budowę całowładności swojéj; dla siebie samego otwarł wszystkie upusty swobód i zaufany w swych siłach, wziął na się brzemię losów całego państwa. Jemu tylko mieć wolno ziemską posiadłość; on sam tylko ma prawo do wszelkich w rzeczypospolitéj urzędów; bez poprzedniego wyroku nie można go więzić, pozbawiać dostojeństw, nagród i konfiskować dóbr ziemskich; z domu jego, jako z *asylum*, bez dochodzenia prawnego i pozwolenia dziedzica nie wolno aresztować przestępcy. Majętność szlachecka od podatków, od leż i stanowisk żołnierskich jest wolną; nie płaci ceł, używa soli za cenę niższą, niż mieszczanie i chłopi; on tylko szlachetne swe członki jedwabiem, kosztownemi futrami, safianem okrywa i klejnotami je zdobi. Ma głos wolny na sejmikach, sejmach, na wszelkich zjazdach publicznych i przy obiorze monarchy; sam królem mógł zostać. Za zdanie, dotyczące spraw państwa, gdziebykolwiek takowe wygłosił, przez nikogo prześladowanym, ani do sądu pociąganym być nie mógł; z zasady, że wolności nie przystoi mieć *linguam post labra revinctam*, gwałcący swobodę słowa jako ciemiężyciel, potwarca i burzyciel spokojności publicznéj odpowiadał grzywnami i wieżą. Te tylko płaci podatki, które sam na siebie nałożył; tych tylko praw słucha, które sam uchwalił na sejmie; przez obieralnych

urzędników sprawy swoje sam sądzi. Króla się nie bał i wedle zasady „nic na nas bez nas," sferę działalności jego określił ściśle. „Królu! wykrzykuje Orzechowski (1), nie każ mi przeciwko prawu, bom ci winien jedno podymne, wojnę, a tytuł na pozwie; nie karz mnie, ani sądź o cześć, ani o gardło moje, jedno z radą koronną; bez zezwolenia mojego nie ustanawiaj na mnie ani poboru, ani statutu, bo cokolwiek przeciwko temu uczynisz, *id irritum est et inane.*"

W obec takiego stanu słusznie szlachcic powiadał: „jam większy, niż szlachcic, bom nietylko *elector regis*, alem i *reparator legis*; pierwéj niż króla obieram, stanowię prawa" (2), słusznie też całą potęgą piersi mógł wołać: nie masz szlachty pod słońcem nad syny koronne! o! święta Polsko nasza, o wielebna wolności gardł i statków naszych!

III.

Opozycya przeciwko wyobrażeniom szlacheckim w zwrocie do przemysłu i handlu i teoretyczna w literaturze. — Przyczyny szlacheckiego konserwatyzmu.

Idealne wyobrażenia szlachty o sobie, mieszczaństwie i chłopach i o własnym do tych stanów stosunku, urabiały się jednocześnie ze wzrostem jéj swobód, a w XVI wieku były już w pełnym rozkwicie. U spodu rzeszy szlacheckiéj kwitły one przez przeciąg czterech stuleci; wżarłszy się głęboko w jéj mózgi, przetrwały niejedną socyalną wichurę i wytrzymały niejedną burzę na niebie myśli. Gdy jednak i dzisiaj jeszcze na popielisku strawionego pożarem budynku uszczknąć można tu i owdzie tego rodzaju kwiatek, w szesnastym już wieku przeciwko szlacheckiemu systematowi i szlacheckim poglądom wystąpiono do walki. Spostrzegamy opozycyą czynną faktycznie, usiłującą w pewnym zakresie zmodyfikować istniejące stosunki i opozycyą teoretyczną, która, wyzywając poglądy utarte, pragnęła zaszczepić inne.

Opozycya faktyczna była następstwem stosunków ekonomicznych, w których z powodu odzyskania Prus zachodnich, przewrót zaszedł olbrzymi. Od pokoju toruńskiego z r. 1466 rozwarte zostały dla Polski handlowe upusty Baltyku; wodne arterye najludniejsze

(1) Dyalog. Wyd. Turow. str. 60.
(2) Votum godne czytania w Nowakowskiego Źródlach. Berlin. 1841. I, 375.

i najzamożniejsze prowincye złączyły z morzem, otworzyły nowe źródła bogactwa i ruch ekonomiczny obudziły w kraju niezwykły. Powiada Krasiński (1), że z Luzytanii, Francyi, Flandryi, Anglii, Szkocyi, Holandyi, Szwecyi, Norwegii, Irlandyi, Danii i Niemiec przyjeżdżali kupcy zabierać zboże, drzewo na budowę okrętów, popioły, wosk, skóry zwierzęce, len, konopie i wełnę. Według Opalińskiego 60.000 wołów, liczne stada nierogacizny, baranów i koni do różnych krajów wyprowadzano corocznie; po płody nasze od 200 do 300 wielkich i mniejszych okrętów zawijało jednocześnie do Gdańska(2). W łatwym a korzystnym zbycie produktów przemysł rolniczy niepospolite znajdował poparcie, niepospolite również właścicielom ziemskim zapewniał zyski i do pracy zachęcał. Do mozołów około roli silną szlachta znajdowała podnietę tém bardziéj, że wolną była od ceł za wyprowadzane gospodarcze produkty, i że stosunki państwowe zwrotowi powyższemu tamy nie kładły, owszem sprzyjały. Przekonywać się poczęto coraz dowodniéj, o czém i Bielski przy opisie wojen pruskich za Kazimierza Jagiellończyka wspomina nieraz, że pospolite ruszenia pożytku przynoszą niewiele. Odkładano je przeto na wydarzenia walniejsze, a wzamian za to używano zaciężnych. Właściciele ziemscy, w rzemiośle wojennem znalazłszy folgę, zyskali możność oddania się pracom domowym i sposobność do obszerniejszego rozwinięcia zatrudnień rolnych. Więc oto wbrew teoretycznym poglądom, że jak grzeszne kupiectwo—mieszczaństwu, tak rola gburom jedynie przystoi,—klejnotna rzesza, zapomniawszy, że jéj fachem działalność publiczna i oręż, w przemysłową wpada gorączkę i gromadzi pieniądze. Gdy filozofia głosiła, że „między cnotą a groszem wielki swar jest i wielka niezgoda;“ szlachcic przekuwał, wedle Kochanowskiego, granaty ojcowskie na pługi i rożny, w przyłbicach owies mierzył lub hodował w nich kwoczki.

Jednocześnie wywołała w szlachcie opozycyą i reforma rolnicza, która w związku z rozwarciem handlowych upustów Baltyku, w XV stuleciu poczęta, rozwijana przez wiek XVI, w początkach XVII dokonaną została stanowczo. Skutkiem połączenia z koroną obszarów Litwy i Rusi formują się olbrzymie ziemskie majątki i wykształca się wielka uprawa folwarczna, która w łatwym a korzystnym zbycie produktów, znajduje poparcie i wielkich posiadaczy do niesłychanych prowadzi bogactw. Wszakże, wedle świadectwa Opalińskiego, niektórzy po 1.000 lekko uzbrojonéj jazdy, tyleż piechoty

---

(1) Polska str. 92.

(2) Tamże str. 92.

i po trzy do czterech tysięcy kozactwa o własnym koszcie wysyłali na wojnę. W Wielkopolsce w jednym majątku hodowano 30.000 owiec; niektórzy tyle posiadłości rozrzuconych mieli po kraju, że połączone dwudziesto i trzydziestomilowy ogarnęłyby obszar (1). Śród olbrzymich majątków i w obec korzyści wielkiéj uprawy folwarcznéj, położenie małych własności stało się bardzo krytycznem. Zagrażała im łatwość skupna, jaką wielcy właściciele mieli zawsze i mają; zagrażała im także w zwyczaju będąca podzielność, rozdrabniająca majętności na kęsy. Synowie po śmierci ojca dzielili wioskę na części, wnukowie i dalsi na mikroskopijne cząsteczki, które z natury swojéj prędzéj czy późniéj w wielkiéj własności musiały utonąć i utrzymywały się chyba tam tylko, gdzie, jak np. na Mazowszu, nie było magnatów. Wprawdzie i wielkie własności ziemskie z wyjątkiem ordynacyi, podlegały podziałom; ale skutkiem podpory ze starostw i tenut, skutkiem zresztą własnego ogromu, w razie nawet liczniejszego koła potomków, rozdrabniania zbytecznie bać się nie mogły. Skoro przeto wielka uprawa w XVI wieku nietylko nad małą stanowczą zyskała przewagę, ale nawet przekroczyła stosunek normalny, drobni posiadacze, ze stanowisk swoich wyparci, na inném polu szukać musieli ratunku. I znaleźli go w rzemiosłach a handlu. Ostatni szczególniéj dla zrujnowanego ziemianina ku utrzymaniu egzystencyi stanowił środek wyborny. Ruchliwy umysł szlachecki, przywykły do nieustannéj czynności w sferze interesów państwowych, w gwarze życia miejskiego odpowiedni znajdował upust; zresztą, szlachcic, wolnym będąc od cła za towary sprowadzane na własny użytek, przywiléj taki na całą sumę swoich czynności rozszerzyć mógł łatwo, przez co wszelką konkurencyą z przed siebie usuwał, owszem dla mieszczanina stawał się groźnym. Więc się porwali drobniejsi szlachcice do handlu, osiadali po miastach, przyłbice zamieniali na szalki, miecze na nożyce i łokcie. W taki sposób w opozycyi przeciwko wyobrażeniom szlacheckim stanęli razem: znaczni szlachcice i mali. Tamci na wielką skalę rozwijają przemysł rolniczy i surowe produkty odstawiają do Gdańska; ci znowu drobne handle prowadzą i uprawiają rzemiosła.

Teoretycy z wielką boleścią konstatowali zwrót taki i nieszczędzili wyrzutów. Zaprawdę, wykrzykuje poeta (2), nie masz dzisiaj w Polsce jedno rataje a kupcy. Największe misterstwo, kto z wołami do Brzegu, a z żytem wié drogę do Gdańska. Skowali ojcowskie

---

(1) Stawiski. Poszukiwania do hist. rolnictwa. Warszawa 1858, str. 44, 45.

(2) Kochanowski. Satyr albo dziki mąż.

granaty na pługi i rożny kuchenne; w przyłbicach kwoczki hodują lub owies w nich mierzą. Rotmistrz z toczoną maczugą fuka na chłopy u pługa, mieniąc, iż gospodarstwo Polskę zbogaci. Mamy w Polsce, skarży się Starowolski (1), tylko szynkarzy, pieniaczy a przekupniów... Wszystka zabawa szlachecka jest teraz około roli i gospodarstwa u jednych, około handlu u drugich.. Wszyscy prawie, co zamożniejsi, kupczą wołmi, końmi, winem, miodem, gorzałkami, pieprzem, śledziami, rybami, wieprzami, słodami, zbożem wszelakiem, rozdając je w miasteczkach i na wsiach poddanym swoim i piwa ze dworu i gorzałki na szynk dawając. Cokolwiek jeno poddany ma w domu na przedaj, to sobie do dworu przynosić każą i za ladaco, na poły darmo nabywszy, potém w mieściech gdzie jarmarczki ludniejsze drożéj przedają, albo téż *extra regnum* wysyłają przez sługi. Duchowni i świeccy, lamentuje znów Starowolski gdzieindziéj(2), szynkują, handlują, na lichwy dają, kupczą różnemi rzeczami, wioski, kamienice, folwarki, ogrody łapią i te takim sposobem sprzedają, aby się znowu do nich wracały.

Nie znam pisarza, któryby zwrót szlachty do przemysłu i handlu powagą swą poparł; przeciwnie, kto tylko ujął za pióro, z dążnością ku przekuwaniu przyłbic rycerskich na lemiesz i wagę występował do walki, argumentami godząc różnemi. Przypominali jedni ów pewnik, że kupiectwo bezcześci i kala; drudzy, że dla onego śród szlachty kierunku niebezpieczeństwo zagraża państwu. Z powodu kupiectwa, argumentuje Starowolski (3), stan szlachecki nic nie łoży dla obrony ojczyzny. Nie sprawi sobie wojennego rynsztunku, ani fortece jakiéj około domu nie stawi, a przeto kiedy się ze złośliwym sąsiadem powadzi, nie jest w stanie się bronić; kiedy nieprzyjaciel wtargnie do kraju, nie ma się kędy zawrzeć z żoną i dziećmi i nie ma czém się odstrzelać. Nic ich nie obchodzi, powiada Bielski (4), że Smoleńsk wzięto, że Szląsko odpadło oddawna, że Ruś plądrują Tatarzy! Wolą do Gdańska szafować, kopać lasy zarosłe, nabywać wsie stare, żony stroić, pić, skakać i huczéć. Trzecim argumentem było zwrócenie uwagi, że przez konkurencyą ze szlachtą mieszczanie podlegają bankructwu; czwartym, że szlachta, ceł od produktów własnego gospodarstwa i od towarów na własny sprowadzanych użytek nie płacąc wcale, czyni uszczerbek skarbowi. Naskupowawszy zbo-

(1) Reformacya, str. 172.

(2) Lament utrapionéj matki ojczyzny. Wyd. Turow. str. 12.

(3) Reformacya, str. 174.

(4) Sen.

ża, wołów, koni albo towarów jakich, powiada Starowolski (1), udają i przysięgają, iż te rzeczy w domu się im zrodziły; drudzy pod tymże płaszczykiem za podarunkiem wolno od ceł wyprowadzają z towary wielu kupieckich ludzi cudzoziemskich i swoich. W interesie przeto obrony i skarbu, dla ocalenia mieszczaństwa i czci szlacheckiéj żądano, aby senator, kupczący czémkolwiek lub na swoje imię przeprowadzający towary, utracał godność; szlachcic zaś lub też urzędnik ziemski żeby był odsądzony od swobód (2). Nacisk opinii był silny, konstytucya z roku 1633 uczyniła jéj zadość, chociaż tylko w połowie, pozbawiała bowiem szlachectwa, którzy „osiadłszy w mieście, handlami się bawiąc i szynkami miejskiemi, *magistratus* miejskie odprawują." Druga za to część téjże konstytucyi była bardzo surową, gdyż „potomstwo podczas takowych zabaw spłodzone, z miasta wyszedłszy, kiedyby *jura nobilitatis* chciało sobie przywłaszczyć i dóbr ziemskich nabywać, ze stanu szlacheckiego poczytane być nie ma i posiadłości jego prawem kaduka każdy obywatel może dla się uprosić" (3). Groźna konstytucya zapadła, a szlachta nie ostygła w pochopie do handlu. „Ponieważ, mówi uchwała sejmowa z r. 1677, wiele szlachty *noviter* kreowanéj nietylko we Lwowie ale i po innych miastach *abutuntur praerogativa nobilitatis*, monopolie, szynki, handle i *opificia mechanica* traktując; przeto..." prawo z r. 1633 zostaje wznowionéem. Wedle pisemka z końca XVIII wieku „była to zapewne intryga osób możnych przeciwko zasilającéj się przemysłem miejskim ubogiéj szlachcie, któréj niepodległość widokom arystokracyi dogadzać nie mogła" (4).

Jak stosunki ekonomiczne wywołały protest faktyczny, tak znowu nieustanne sprzeczności pomiędzy idealnemi wyobrażeniami o szlachcie a jéj czynami, stworzyły opozycyą teoretyczną, którąby niebezpieczniejszą była od piérwszéj, gdyby silniéj uderzyła na powagę ogólnie przyjętych zasad, uświęcających istniejący porządek. Bielski powiada (5), że po wojnie pruskiéj nastały wielkie roskosze i zbytki: „nic innego nie robili mężczyźni, jedno włosy sobie trefili, a czosali, które długie nosili;" większa część szlachty, wspomina Modrzewski (6), opacznemi dumami jest zarażona: niecierpliwą bę-

---

(1) Reformacya, str. 175.
(2) Reformacya, str. 176.
(3) *Vol. leg.* III, 805.
(4) Roczniki gosp. krajowego z r. 1862, II. 363.
(5) Kronika. Wyd. Gałęzow. V. 165.
(6) O poprawie Rzeczypospolitéj. Wyd. Turow. str. 102.

dąc na pracę, długie nocy trawi na kostkach i kuflu. Może być Polska, pisze Starowolski (1), przyrównana do karmnika, w którym wieprze i inne tuczą zwierzęta. Ktoby przejechał świat wszystek, nie znajdzie ludzi, którzyby jedli więcéj i pili i tak wielkie starania o brzuch czynili, jako Polacy. W obec takiego usposobienia szlachciców, dowcipną teoryą dziedziczności codzienna rzeczywistość narażała na nieustanne potykanie się o rozmaite kontrasty. Zamiast spadkowéj roztropności, umiarkowania, sprawiedliwości i męztwa, spostrzegano wyniosłą dumę, rozpustę, swawolę i zdzierstwo; zamiast aureoli idealnego rycerza zauważano skazy i plamy, nieodstępne cienie realnego człowieka. Wolność szlachecka, mówiono, znaczy to samo, co *licentia*, a wolny szlachcic, co *inobediens Deo, regi et legi.* Cztéry są, powiada Radawiecki (2), herby szlacheckie: *ambitio, libido, contemptus legum et rapina.*

Z zasobem spostrzeżonych owych sprzeczności lepsze głowy podniosły protest przeciwko dziedzicznemu szlachectwu i w miejsce krwi zacnéj, staréj i czystéj, jako podwalinę praw obywatelskich wskazywały osobistą zasługę. Jędrzéj Frycz Modrzewski najdosadniéj pod tym względem wystąpił, a argumentował w sposób następny.

Prawdziwe szlachectwo nie tak dalece na zacności przodków albo na starożytności herbów ma leżéć, jako na godności a na cnotliwych postępkach. Wielkość przodków nie czyni ze mnie szlachcica, bo któż nie baczy, iż żaden nie jest tąż osobą, którą był przodek? Gdy się częstokroć rodzą synowie różni od ojców, gdy źli z dobrych, a ze złych dobrzy się mnożą; skoro cnota ani przyrodzoném rozmnażaniem, ani żadnym spadkiem do potomków przechodzić nie może; nie jest więc słusznem, aby się szlachcic rodził z szlachcica. Niewięcéj tobie pomoże zacność rodu, i starożytność domu, jeśli do tego nie przyłożysz cnoty i zacnych uczynków, co ślepemu światło słoneczne, głuchemu dźwięk wdzięczny lub pług żeglującemu po morzu (3),. „Tedyć głupia to rzecz chlubić się tém, żeś miał ojca dobrego, gdyś sam zły, a sprosnością swoją szpecisz rodzaju piękność“ (4).

Czemże jest według Modrzewskiego szlachectwo: „Cóż wżdy innego jest? sam pyta i odpowiada: los rodzenia a ludzkie mniema-

---

(1) Reformacya, str. 71.
(2) Prawy szlachcic w kazaniu. Kraków, 1632 str. 16.
(3) O poprawie Rzeczypospolitéj. Wyd. Turow. str. 99, 100, 102.
(4) Tamże, str. 138.

nie?" (1). Zapatrywanie swoje wykładał Modrzewski nie w moralizatorskich, lecz w celach politycznych, bo porzeć chciał na niém podział obywatelstwa na rycerstwo i szlachtę; „Nie jedna jest rzecz, powiada (2), urodzić się szlachcicem a być rycerzem; ma być ustanowiona różność między rycerzem a między szlachcicem i nie ma być tytuł rycerstwa przywłaszczan tym, którzy go nigdy nie zasłużyli." Lecz jakąż rolę w państwie wyznacza tym grupom? Nigdzie o tém nie wyrzekł; zdaje się przecież, że ze szlachectwa czysto tytularną robi pozycyą, że ramy obywatelstwa rozszerza dla nowych, osobistą zasługą podniesionych żywiołów i im zapewnia stanowisko naczelne.

Innego pisarza, któryby tak radykalnie przeciwko szlacheckim wyobrażeniom wystąpił, i któryby faktyczną szlachetczyznę przez wprowadzenie nowéj zasady społecznéj obalał, nie znamy. Moralizatorów widzimy wielu, lecz w ich płaczliwym lamencie owa głęboka celowość Jędrzeja Frycza zupełnie niknie. Powierzchownie patrząc na rzeczy, na zasadzie zdań luźno wyrwanych, mogłoby się wydawać, że Rej, Orzechowski, Starowolski, Klonowicz, Opaliński i tylu innych, kaznodzieje nawet mniejszego pokroju, np. ks. Radawiecki, podobnież zabójczo, jak Modrzewski występowali przeciwko szlachectwu; bliższe jednak wejrzenie ułudę ową rozwiewa.

Zacność rodu, piękna uroda, wspaniała postawa i herby są to, głosi Rej (3), jagody na głogu, które choć pięknie czerwienią, żadnego nie masz w nich smaku. Godnego krajowi człowieka, prawi Orzechowski (4) czyni dzielność, a nie ród, lub okopciałe herby. Jako gdy piwo kwaśnieje, wiechy mądrzy zmiatają, tak téż i ty legarcie, zrzuć herb, gdy się szlachectwo twoje złotrzyło; nie chlub się zacnością swych przodków, bo im oni byli cnotliwsi, tém znaczniejsza twoja niecnota (5). Gdy się szlachectwem chlubimy, nie swojém dobrém ale cudzém, nie swoją ale cudzą ozdobą się zdobim i chlubim, która, jako pożyczana suknia, rychléj nam sromotę, niżli poczciwość uczyni, jeśli sami własnéj ozdoby i poczciwości szukać nie będziem (6). Jako złéj szkapie nic to zacności nie przydaje, że się

---

(1) Tamże, str. 138.
(2) Tamże. Wyd. z r. 1770, str. 304.
(3) Żywot poczciwego człowieka, str. 110.
(4) Dyalog, str. 80.
(5) Orzechowski. Żywot i śmierć Tarnowskiego, str. 49.
(6) Starowolski, Reformacya, str. 31.

w murowanéj stajni wylęgła, gdzie dobre stado stawało, i nic jéj rząd złocisty i czaprak haftowany nie pomoże, jeśli żadnéj cnoty w sobie z przyrodzenia nie ma, tak tobie zacność rodu, starodawność domu i herby nic same pomódz nie mogą (1).

Przeceniać tych głosów i na równi z opozycyą Modrzewskiego stawiać nie można, bo do negacyi dziedziczności nie wiodą, owszem z poglądami tychże pisarzów, podtrzymującymi obywatelstwo, na urodzeniu oparte, są w sprzeczności wyraźnéj. Wszakże Rej, Orzechowski, Starowolski najdosadniéj propagują wyłączność dziedzicznego szlachectwa; wszakże to oni najgłębiéj, o spadkowéj prawiąc zacności, toną w zachwytach. W sarkazmach tych mężów czuć boleść, że rzesza klejnotna w czynach swoich nie dorasta do wysokości wyobrażeń, jakie o niéj powzięli; widać tam dążność ku ujęciu praktycznego życia szlachciców w idealne ramy własnych poglądów; lecz walki z dziedzicznością i obywatelstwem, na urodzeniu opartém, żaden z tych pisarzów nie podjął.

W ogóle teoretyczna opozycya przeciwko wyobrażeniom szlacheckim słabą była niezmiernie. Słyszymy nawoływania do zgody z zasadą, lecz z wyjątkiem Modrzewskiego, nie widzimy, by przeciwko owéj zasadzie występowano do walki. Ten serwilizm względem utartych teoryj równie uwydatnia się dobrze i w poglądach na chłopstwo.

„A nie wiem, pisze Modrzewski (2), jeśli nie tak głowami kmiecemi, jako kostkami grać chcieli, którzy ją na dziesięć oszacowali grzywien, gdy zaś kmiecia, któryby zabił szlachcica, postanowili karać na gardle.“ W Polsce, wykrzykuje Orzechowski (3), świnie są droższe, niż ludzie. Pospolity człowiek, głosi Modrzewski (4), nad miarę jest uciemiężon niewolstwem, a szlachta aż nazbyt buja w swobodach. Szemrzą na nas, powiada Orzechowski (5), mieszczanie i chłopi, bo się z nimi, jako z niewolniki a pogany obchodzim... praw innym stanom nie dzierżym, a na swój młyn wszystką wodę wiedziemy (6).

---

(1) Tamże, str. 31.
(2) O poprawie rzeczypospolitéj, str. 107.
(3) Żywot i śmierć Tarnowskiego, str. 55.
(4) O poprawie rzeczypospolitéj, str. 174.
(5) Ziemianin albo rozmowa ojca z synem r. 1565. Kraków, 1859, str. 11.
(6) Tamże, str. 23.

Złote to słowa, skargi wspaniałe; szkoda tylko, że barwy filantropijne noszą na sobie; że ich źródłem dobre serce, nie rozum. Ostatni ku poprawieniu losu wieśniaka stargałby cały filozoficzny system, na którym szlachta gruntowała panujący układ społeczny; serce potrafiło jęknąć szlachetnie i, nie negując niewolstwa, błagało tylko o ulgę, zależną ją czyniąc od kaprysnych uczuć rycerskich.

Wyobrażeń szlacheckich piorun krytyczny poważnie nie zmącił, a morał płaczliwy niebezpiecznym dla nich być nie mógł i nie był. Wszakże, pomimo filantropijnych pokrzyków, owo chłopskie niewolstwo wciąż rosło, aż rozmiary przybrało potworne; wszakże pomimo sarkań na dysharmonią pomiędzy zasadą a czynem, szlachta ani z pozycyi, ani z teoretycznych wyobrażeń o sobie w przeciągu trzech wieków ustępstw nie czyni żadnych. Zawsze mniemała, że nieporuszona od wiatrów, wiecznie osobliwie zielenić będzie i wonieć; w sobie, widziała „chwalebnych dzieł morze;“ na grobach swoich, „z piramidalnych ciosów niewywrotne kolosy.“

*

*　　*

Dla czego raz urobione wyobrażenia szlacheckie przez przeciąg trzech wieków kwitły niezmiennie?

Szlachta jednoczyła w swych ręku dwie władze: pozytywną, bo faktycznie rządziła państwem i teoretyczną, bo sama, inteligencyą stanowiąc, wytwarzała opinią i sama téj opinii odpowiedni nadawała kierunek. Dzierżąc władzę pozytywną, marzyła o tém, żeby jéj z rąk swoich nie puścić; wytwarzając opinią, taki jéj naturalnie nadawała kierunek, żeby przy jéj pomocy istniejący porządek utrzymać i żeby na raz zajętém stanowisku samę siebie utrwalić. Dla okazania przeto, że do zajmowanéj pozycyi rzetelne ma prawo, na cześć własną musiała palić kadzidła: dziedziczności i innych wyobrażeń, na których się istniejący porządek opierał, krytykować nie mogła, boćby w razie przeciwnym sama pod swojemi stopami kopała przepaść. Więc nie dziw, że szlachta, nie podlegając krytyce ubocznéj, na własnéj opinii, jako na dobrze wytresowanym rumaku, zawsze na stare wjeżdżała tory; że raz urobione wyobrażenia szlacheckie przez przeciąg trzech wieków kwitły niezmiennie. Szlachta nasza zachowawczą była z téj racyi, dla któréj konserwatywnym był braman, eupatryda, spartyata, rzymski patrycyusz wreszcie. I mędrcy Platona, doszedłszy do władzy, tak samo jak nasi szlachcice przed swemi

ideami biliby czołem, i dzisiaj człek każdy tych zasad, przy pomocy których zajął pozycyą, lub przy pomocy których konserwuje się na niéj, dzierży się trwale. Wprawdzie pewną liczbę inteligentnych jednostek dostarczał stan miejski... czemuż one nie wystąpiły do walki? Bo, uszlachcane zazwyczaj, do godności doszedłszy, solidaryzowały się zaraz ze szlachtą. I w ich ręku opozycyjny piorun zastygał i one na cześć cedrów libańskich śpiewały hymny pochwalne i paliły kadzidła.

Wiek XVIII dopiéro szlachecką budową wstrząsnął do gruntu i na zgliszczach starych dogmatów nową zatknął chorągiew; nasze dopiéro stulecie w socyologią szlachecką śmiertelny rzuciło pocisk i demokratyczne na gmachu społecznym zawiesiło sztandary. Gdy pod wpływem filozofii zachodniéj dogmat o dziedziczności starą powagę utracił; gdy i nad Polską to nieśmiertelne zagrzmiało słowo: ludzie się rodzą wolnymi i równe prawa mają, naród najwyższym jest panem,—chwiać się poczęły omszałe cedry, aż z osobliwą zielonością swoją a wonią, ku drzewom głuchym i prostym dumne swe czoła zginać muszą wstydliwie.

Władysław Smoleński.

Wolność nauczania we Francyi

w obec uroszczeń państwa i kościoła.

I.

Wolność nauczania we Francyi przechodziła koleje rozmaite, nigdy jednak narażoną nie była na cięższe od dzisiejszych próby. Złożyły się na to wypadki wyjątkowe, natury wszelakiéj, których mianownik wspólny wyraża się tem, że w miarę rozwijania się swobód indywidualnych i korporacyjnych, społeczność traciła wiarę w osiągnięcie celów, ku którym od r. 1789 zdawał się zmierzać geniusz tego narodu, promienny, jasny jako słońce, lubo jako ono, raz po raz w mgłach i chmurach tonący.

Cóż to były za cele? I czy przewodnią ich gwiazdą co innego być miało niż sama ta wolność, dziś zaprzeczona w najprzedniejszym zakresie swych objawów, w wychowaniu narodowém?

Na starych monetach francuzkich z końca wieku XVIII, powtórzonych w r. 1849 i za dni naszych, znaleźćbyśmy mogli obrazową odpowiedź na to pytanie. Znak ich cechowy przedstawia męża o jowiszowém obliczu, okrytego szatą łazarzową, który obejmuje i ku sobie nachyla dwie mitologiczne postacie żeńskie. Owóż, jedna tylko z tych postaci, nie zaś obie, wyobraża wolność. Druga jest równością.

Tkwi w tym symbolu republikańskim tajemnica dzisiejszych zajść. Przeświadczył się naród szeregiem prób ciężkich, że nie tak blizką jest zgoda wolności z równością, jak sobie marzy niekiedy ludzkość w zapale uczuć braterstwa. Na polu przynajmniéj ustawodawczych urządzeń szkolnych, nie dopisała w téj mierze ideałom rzeczywistość.

W r. 1833 ministeryum wyszłe z rewolucyi lipcowéj przeprowadza ustawę o wolności wychowania *elementarnego*. Kto z niéj korzysta? Przedewszystkiém duchowieństwo katolickie. W słabym stopniu korzystają municypia i stowarzyszenia świeckie.

W r. 1850 druga Rzeczpospolita, na schyłku swego istnienia uchwala wolność wychowania *średniego*. Któż nazajutrz na dziesiątki liczy swe zakłady licealne? Duchowieństwo katolickie. Inicyatywa innych ciał i zgromadzeń objawiła się słabo, zgłuszona niebawem wypadkami politycznemi, charakteru bynajmniéj nie liberalnego.

W r. 1875 trzecia Rzeczpospolita zaprowadza nareszcie wolność wychowania *wyższego*. Któż w roku już następnym mierzy się liczbą swoich fakultetów z fakultetami rządowemi? Duchowieństwo katolickie, ono jedno. Społeczność świecka roztrząsa podziśdzień swoje projekta.

Duchowieństwo, wszędzie, zawsze duchowieństwo, silne, zamożne, uczone, staranne.

Mądrze robi, powiedzą. Zapewne, tem nawet może mądrzéj, według pojęć uświęcających gołą zasadę walki o byt, że kiedy w ten sposób klerykalizm bierze jedną ręką co jéj daje rzeczpospolita, drugą wspiera jednocześnie wszelkie zamachy i przedsięwzięcia dążące do obalenia i zgnębienia zasady, z któréj dobrodziejstw skorzystał. Zdawałoby się że rzeczpospolita, po to tylko powstaje ze swych ruin, by miecz na siebie wyostrzyć i podać swym wrogom.

Jestże to wolność? Prawdopodobnie.

Jestże to równość? jestże to braterstwo? wątpię.

Ilekroć stronnictwo postępowe dostawało się do władzy, wołano: jesteście rządem, reprezentujecie interesa państwa, powinniście dbać o całość spraw narodu, być bezstronnymi, wspaniałomyślnymi, sprawiedliwymi dla wszystkich. I tak się działo istotnie, dopóki w cieniu ogólników tych pięknych, abstrakcyjnie prawdziwych, reakcya nie skupiła sił dostatecznych, by zwalić lekki dach owéj wszechstronności, owéj wszechsprawiedliwości, i czemś daleko cięższém go zastąpić. Wtedy znajdowali się publicyści i prawnicy, co modyfikując znaną Bastiata definicyą państwa, powiadali: „Fikcyą rząd pojęty jako gatunek parasola dla wszystkich bez wyjątku. Rządem jest, jak słusznie zauważył Proudhon, sekta, partya, jednostka, która chwilowo na szczycie gmachu państwowego zasiadła, i ztamtąd przetwarza pojęcia i instytucye na obraz swój i podobieństwo.“

Obecny rząd republikański we Francyi zmiarkował nareszcie, że nadszedł i dla niego czas wypłat...

Jestże to równość? jestże to braterstwo? Może, w swoim rodzaju.

Jestże to wolność? Nie przypuszczam.

Dla czego zaś stronnictwo republikańskie odwet swój rozpoczęło nie od ataku na front przeciwnika, na konkordat, na budżet duchowieństwa, na wyjątkowe jego przywileje, lecz krętym i niebezpiecznym podjazdem, na najwyższe a powszechne dobro narodu, którém jest niezaprzeczenie światło wolne, dla wszystkich dostępne, jako woda lub powietrze? To się tłómaczy zapewne taktyką stronnictw, potrzebami chwili, oportunizmem... nie wiem czem zresztą. Tego my nie jesteśmy w stanie sobie wytłómaczyć nawet obroną zagrożonéj równości lub zgwałconego braterstwa. I dla tego nie jesteśmy tu bezwarunkowo za obecnemi rozporządzeniami rządu francuzkiego.

Minął czas na ważenie doktryn i wybór zasad. Orzekły dzieje: Nie ma nic nad wolność, nie ma nic bez wolności.

Jéj pojęcie, myśl ludzka już dziś posunąć może we wszystkich zakresach urządzeń społecznych po najdalsze krańce, do bezwzględnéj prawie pełni, gdy tymczasem równość, braterstwo, każda inna im pokrewna zasada, widokom takim nie jest w stanie odpowiedziéć, bez przypuszczenia katastrof bez końca. Wolność niesie z sobą lekarstwo na własne nawet zboczenia, usterki i zbytkowne wylewy; pod zastrzeżeniem porządku goi ona, balsamem wzajemności, rany nawet własne, gdy tymczasem bliźnie jéj normy bytu, braterstwo, równość, przez to już tylko, że wzajemność nakazują, że do niéj obowiązują, zniewolone są prowadzić ludzkość alternatywą tyranii i anarchii do zmęczenia, i przez zmęczenie do zastoju, zamiast wieść ją, jako wolność, szeregiem prób i doświadczeń światłych, do postępu. Instytucye i ustawy nacechowane prawdziwym liberalizmem, są dla ludzi serca i rozsądku z tego także jeszcze względu drogie i miłe, że wolność jest dzieckiem naszych obyczajów, natchnień, pragnień, które przyrodzoną koleją rzeczy każdy z nas przywykł brać za jedno z wymaganiami i nadziejami przyszłości. A równość? a braterstwo? stare to jak przeszłość przykazania i jak przeszłość pełne opłakanych rozczarowań.

Być może, że swobodom ludzkim, przeznaczono przejść cykl nie mniéj bolesnych zawodów. Tymczasem jednak, publicysta coby wolności niedowierzał, stałby się ślepym, nie mógłby się oryentować w plątaninie prawno-politycznych kwestyj, z jakich się składa życie tegoczesne ludów. Więc, przynajmniéj, nie chciejmyż być ślepymi...:

II.

We Francyi, w dziedzinie wychowania publicznego, przed stu niespełna laty wolność zakwitła w całéj swéj okazałości i mocy. „Od

r. 1788 do 1796," mówi E. Laboulaye (1), „trzy główne zagadnienia jéj dotyczące, zostały zbadane i jednomyślnie rozstrzygnięte przez najznakomitszych onego czasu myślicieli: 1) Czy wolność nauczania jest prawem obywateli? 2) Czy ma być powszechne wychowanie narodowe? 3) W razie affirmatywy co do drugiego punktu, czy nadzór nad wychowaniem narodowém ma być powierzony rządowi, władzy centralnéj w państwie? konstytuanta, zgromadzenie narodowe, konwencya rozwiązały dwa piérwsze pytania twierdząco, trzecie przecząco.

Przebieżmy pokrótce okres ten w pomysły bogaty.

W Konstytuancie wydział zajmujący się układem organicznych ustaw kraju, wybrał na sprawozdawcę projektów naprawy oświecenia narodowego, Talleyrand-Perigord'a. Sprawozdanie jego ogłoszone drukiem w r. 1791 stanowi w zakresie wychowania publicznego cenny dokument. Jest to przekaz wieku XVIII równie dla nas ciekawy jak d'Alamberta *Przedmowa do Encyklopedyi* z zakresu filozofii. Oto niektóre z zasadniczych jego założeń. Wychowanie powinno istniéć dla wszystkich. Niezaprzeczona ta prawda wiąże się bezpośrednio z drugą. Ponieważ dobrodziejstwa oświaty dostępne być mają każdemu, ztąd wniosek konieczny, że każdy téż ma prawo starać się o szerzenie światła. Tutaj jako i gdzieindziéj, największa suma dobra społecznego, wydobywa się ze współudziału i współzawodnictwa sił i zasobów indywidualnych. Wszelki przywiléj jest z istoty swéj wstrętnym; przywiléj w rzeczy wychowania byłby ohydniejszym jeszcze i niedorzeczniejszym... Streszcza tedy sprawozdawca swój wywód w następujący artykuł dekretu: „Każdy obywatel mieć będzie prawo, w granicach ustaw powszechnych o edukacyi narodowéj, zakładania instytucyj wychowaczych. Przed otwarciem szkoły, założyciel jéj obowiązany zawiadomić o tém municypalność i ogłosić swój regulamin." Nic więcéj. Projekt ustaw powszechnych obejmuje w raporcie Talleyrand-Perigorda organizacyą trzech stopni szkół, aż do wojewodzkich czyli departamentowych, odpowiadających dzisiejszym fakultetom. Zwierzchność szkolna departamentu jest najwyższym szczeblem hierarchicznym. Nad nią są tylko komisarze jeneralni wychowania publicznego, mianowani przez króla, odpowiedzialni przed reprezentacyą narodu, z odpowiednią liczbą zastępców, inspektorów jeneralnych. Doskonaleniem metod wychowawczych zajmuje się najwyższa rada szkolna Francyi, Instytut oświecenia publicznego, izba obradująca, instytucya najzupełniéj nie-

---

(1) *La Libérté de l'Enseignement*, Paryż 1880.

zależna, tworząca czwartą autonomiczną potęgę w państwie, obok władz ustawodawczéj, wykonawczéj i sądowéj.

Szereg rozpraw znalezionych w papiérach Mirabeau i ogłoszonych drukiem w r. 1791 przez Cabanisa, ma najzupełniéj te same podstawy i wnioski, co i u Talleyrand-Perigord'a; jednaka téż w nich dbałość o niezależność władz wychowawczych i o udział jednostki w sprawach oświaty powszechnéj.

Czém w konstytuancie Talleyrand-Perigord tém Condorcet w Zgromadzeniu ustawodawczém. Jego projekt organizacyi ogólnéj wychowania publicznego, czytany Zgromadzeniu 20 i 21 Kwietnia 1792, a przedrukowany z rozkazu Konwencyi Narodowéj w r. 1793, oparł oświatę krajową na bardzo szerokich podstawach swobody i niepodległości. Poprzedników swych sprawozdawca nie wymienia, widocznémjest jednak, że ich czytał, że się zastanawiał nad nimi. Daje się to zauważyć z przebiegu jego rozumowań, z głównego zarysu ustawodawczych jego planów, zaostrzonych wszędzie obawą, iżby ani państwo, ani kościół nie wtrącały się w sprawy wychowawcze. Zgadza się on, że w kraju, obok szkół wolnych istniéć powinny zakłady narodowe, publiczne, za wzór tamtym służyć powołane, lecz od zarządu tych szkół publicznych stanowczo usuwa władzę wykonawczą, państwową. Wychowanie narodowe ma miéć, według niego własne organa, własny ustrój, własne swoje odrębne zadania i czynności. Instytut oświecenia publicznego, w przekonaniu jego, posiadać musi swobodę, niezależność, rzekłbym nietykalność majestatu. „Wolność i niepodległość edukacyi narodowéj, powiada Condorcet, są niejako wrodzonemi prawami rodu ludzkiego. Ponieważ człowiek jest istotą doskonalącą się, ponieważ z drugiéj strony, nabywanie prawd nowych jest dla niego środkiem rozwijania téj zdolności, będącéj źródłem szczęścia i chwały, jakaż przeto siła powiedziéć mu ma prawo: to powinieneś badać, tego się uczyć, a tamto jest ci wzbronionémi? Ponieważ prawda tylko pożyteczną, ponieważ błąd tylko szkodliwy, jakaż potęga byłaby zdolną wytknąć zawczasu, kędy szukać prawdy i gdzie się strzedz błędu?... Gdyby trzeba było przykładów na okazanie niebezpieczeństw grożących oświacie, zniewolonéj do słuchania powag zewnętrznych, wskazalibyśmy na ludy starożytne, na Indyan, na Egipcyan, których umysł człowieczy poczynił w czasach niepamiętnych zdobycze wspaniałe, a które jednak popadły w grubą ciemnotę i upodlenie, gdy kasty religijne pochwyciły w swe dłonie przywiléj nauczania ludzi. Przytoczylibyśmy Chiny, co nas na tyle wieków wyprzedziły na drodze rozwoju sztuk, nauk i wynalazków, a gdzie mandarynizm państwowy na miejscu osadził postęp wszelki, uczyniwszy wychowanie publiczne jedną

ze swych gałęzi administracyjnych. Strzeżmy się pójść tym gościńcem! Myśl ludzka nie może się ani na chwilę zatrzymać. W ślady każdego jéj zastoju idzie wraz zacofanie, któremu już granic nie ma. Nie wskazujemy myśli punktów, za któremi miałoby coś dla niéj być tajemnicą lub wykroczeniem, bo za temi kresami zastrzeżeń idzie tuż ciemność i niewola... Konstytucya francuzka z niezależności uczyniła nawet dla nas obowiązek ścisły, konieczny. Żadna powaga publiczna, wedle jéj przepisów, nie ma mocy przeszkadzania szerzeniu się pojęć nowych, sprzyjających lub niesprzyjających chwilowo ponującemu porządkowi interesów, lub przekonań. Sama ustawa, na któréj spoczywa u nas rzecz publiczna, mieć chciała ażeby żaden system ustroju społecznego nie był skazanym nie wieczne pokłony podziwu lub przesądu; przeciwnie, zachęciła ona rozum do ciągłego zastanawiania się nad sposobami coraz większego doskonalenia trybów narodowego bytu i rozwoju..."

Condorcet, równie jak Mirabeau, nie doczekał się owocu swych przedłożeń i wniosków. Nastąpiła wkrótce reakcya jakóbińska, uosobiona w Robespierze, Dantonie, St. Juscie, St. Fargeau, która zarówno dziedzinę wychowania publicznego jak inne zakresy działalności społecznéj, usiłowała zasypać piaskami swych pankratycznych rojeń. Dla nauki pokoleń następnych nie wiele po niéj, co prawda, z téj daty zostało. Jedna chyba cudacka definicya Dantona, że „dzieci należą do państwa, nie zaś do rodziców," definicya, którą komunizm piątego dziesiątka naszego stulecia, przetkawszy trzy po trzy teoryami Mably'ego poda do zastosowania i praktyki... czasom naszym.

Uwolniona na chwilę od doktrynerskiego absolutyzmu jakóbinów, konwencya wraca, w dziale spraw wychowawczych, do projektów Tayleranda, Mirabeau i Condorceta. Z tych projektów, przerobionych w osobném opracowaniu prawnika Daunou, sprawozdawcy tak zwanéj komisyi jedenastu i komitetu ocalenia publicznego, powstaje ustawa szkolna 3 brumaira roku IV Rzpltéj, organizująca szkółki ludowe, średnie, specyalne i departamentowe, z Instytutem na czele, złożonym ze 144 członków, reprezentujących wszystkie gałęzie wiedzy ówczesnéj.

Ideą jéj zasadniczą: wolność nauczania, formalnie już zresztą opisana artykułem 300 konstytucyi roku III.

Obok szkół wolnych, jako ich podnieta i wzór, szkoły narodowe, posiadające własną swą administracyą, niezależną od władzy wykonawczéj. Przy czém: rząd od spraw wychowania wykluczony, wykluczone téż duchowieństwo.

Wielki zatarg chwili obecnéj między państwem a kościołem o edukacyą narodową, na wiek cały blizko jakoby przewidziany, a zażegnanie onego wskazane w sposób oczywisty, prosty, szkoda tylko, że na dziś spóźniony... Nie było sądzono ustawie 3 brumaire'a okrzepnąć w życiu, przejść piérwszą nawet ogniową próbę doświadczenia. Zaczerpnięta, co do zasad, ze sfery wysokich filozoficznych pewników, zbyt wiele licząca na doskonałość oderwanego myślenia, zbyt mało oglądająca się na środki i zasoby istniejące, przeżyła ona swoich twórców zaledwo lat kilka. W czasach mniéj gorączkowych, w społeczeństwie mniéj zapalném i chwiejném, w temperaturze umiarkowańszéj, gdyby umiarkowanie umiało się zdobywać na rzeczy oryginalne, zasiew ten potężny byłby się zapewne przyjął i rósł powoli, stopniowo. Stało się inaczéj, i historya w téj ustawie Daunou, na którą pracowały najrozmaitsze głowy, najzacniejsze chęci wieku XVIII zapisała jedną utopią więcéj. Utopią, bo przecież na karb kilkuletniego trwania ustawy śród wojen zewnętrznych i domowych, śród zamętu pojęć z których się wyłaniał przedświt nowéj cywilizacyi, niepodobna policzyć straszliwego rozprzężenia, w jakie we Francyi popadło wychowanie publiczne nazajutrz po upadku konwencyi.

Miasta większe, Paryż szczególniéj, skorzystały wprawdzie z szeroko rozwartych wrót wolności. Założyły po parę szkół municypalnych, które się stały zarodkiem dzisiejszéj ich organizacyi wychowawczéj, niezależnéj od rządu, usuniętéj z pod wpływu duchowieństwa. Ale wieś, zaniepokojona nagłym odpływem opieki zwierzchniéj, nieprzyzwyczajona do liczenia na siły własne, popadła w anarchią zupełną, bo ustawa Daunou obok wolności nauczania, przyznanéj wszystkim bez wyjątku obywatelom, przepisywała naukę obowiązkową, bezpłatną i *świecką*, usuwając tém od zajęć bakalarskich stan duchowny, w którego posiadaniu znajdował się dotąd cały gmach edukacyi krajowéj, przedrewolucyjnéj.

Lud, wiążący każdą świeżą klęskę, jakiekolwiek byłyby jéj początki, z najbliższą zmianą dawnych porządków, nie zaniedbał wykryć także i tym razem rzetelnego źródła rozstroju urządzeń swych szkolnych. Źródło to kryło się, oczywiście, w ostatnich rozporządzeniach dotyczących wychowania publicznego. Za mało w nich się znajdowało dwu rzeczy, których dawniéj było zanadto: władzy silnéj i pobożności, przedewszystkiém pobożności.

Godném jest atoli uwagi, że te swoje pragnienia i żale gminy francuzkie sformułowały nie piérwéj aż dopiéro po powrocie z wygnania szlachty i księży w r. 1802, za Napoleona.

Wtedy dopiéro Portalis, mówca rządowy, odważył się wykryć Ciału prawodawczemu istotny klęsk powód.

„Posłuchajmy,“ woła nagle na posiedzeniu dnia 10 Germinale roku X Rzpltéj, „posłuchajmy głosu wszystkich prawych obywateli, którzy na zgromadzeniach departamentowych wypowiedzieli sąd swój o wypadkach, spełniających się od lat dziesięciu przed ich oczyma. Czas jest wielki, mówią oni, ażeby w obec faktów zamilkły teorye. Nie ma nauki bez edukacyi, nie ma edukacyi bez religii i moralności. Nawoływania nauczających stały się wołaniem na puszczy, albowiem nierozważnie ogłoszono ludowi, że w szkołach nigdy o religii mówić nie trzeba. Nie istnieje już żadne zgoła kształcenie. Religiją należy wziąć za fundament edukacyi. Dzieci oddane są niebezpiecznemu próżniactwu, włóczęgostwo zapanowało śród nich najokropniejsze. Są bez najmniejszego pojęcia o bóstwie, są bez wyobrażenia o tém, co złe co dobre. Ztąd poszły obyczaje dzikie i barbarzyńskie; ztąd okrucieństwa tłumów (1). Cała Francya przywołuje dziś religiją na pomoc moralności i społeczeństwu...“

Nie pozostał obojętnym na takie rozpaczliwe wołania, pacyfikator Francyi, wówczas już piérwszy konsul pochylonéj ku przewaleniu się Rzeczypospolitéj. O nic mu lepszego teraz chodzić nie mogło, dążył on właśnie do restauracyi porządków skazanych i potępionych. „Francya,“ mówi Laboulaye, „po tylu latach rozprzężenia potrzebowała rządu silnego. Do tego zmierzał Napoleon. Skwapliwie podjął on dawną centralizacyą wychowania publicznego, usunąwszy z niéj, rozumie się, wszystkie przywileje szczegółowe, które ją niegdyś ograniczały, i tém samém czyniły mniéj twardą, mniéj ciężką. Monarchią zastąpił despotyzm.“

Taić jednak nie można, że do przebudowań i odbudowań napoleońskich weszło coś także i z robót rewolucyjnych. Ów wielki niepodległy Instytut wychowania narodowego, połamany w kawałki, dał masę gruzów. Przy gruzach, został też nienaruszonym zewnętrzny plan gmachu, wystawionego przez Condorceta. Na tych to gruzach, wedle tego to planu, wznosi się za piérwszego cesarza wszechwładny monopol nauczania, nazwany *l'Univérsité de France.* Monopol skupiony w rękach rządu, z posadami dla duchowieństwa. Jest to, więc jak widzimy, ten sam Instytut edukacyi narodowéj, o którym marzył Condorcet, wywrócony tylko na nice: państwo i kościół zajęły w niem wszystkie miejsca, wolność zaś szkolna ztamtąd usuniętą została. Duchowieństwo zasiadło w nim jako pomocnik rzą-

(1) Szybko wychowała dzieci na okrutników sześcioletnia ustawa Condorceta!

du, jako inspektor jeneralny przy komisarzu głównym. Zgodziło się na rolę mniejszego spólnika przy podziale dostojeństw i swobód wychowawczych. Część lwia nie jemu się dostała. Lwią tę część przecież weźmie sobie duchowieństwo za drugiéj z kolei, za prawdziwéj tym razem Restauracyi. Początek walki i ciąganiny bez końca między rządem a duchowieństwem utrwalą się na téj drodze... Duchowieństwo sporo ustąpi ze swego przywileju po r. 1830, kiedy budzący się z długiego letargu liberalizm, zdobędzie się na pierwsze kroki w organizacyi wychowania elementarnego z r. 1833 i 1836. Ale ile właśnie kościół straci w nadszarpniętym monopolu rządowym, tyleż co najmniéj pozyska, na ogólném polu powszechnéj edukacyi narodu, przez zakładanie na swoję rękę szkółek wolnych, prywatnych. Po zaprowadzeniu w r. 1850 swobody szkół średnich, wpływ duchowieństwa w organizacyi rządowéj znowu na chwilę słabnie, ale wnet, po dniach grudniowych, po zamachu napoleońskim, szerzy się i podnosi szybko na wysokość przed tém nieznaną, a zarazem z drugiéj strony udział kościoła w sprawach wychowania krajowego w ogólności, rozwija się daléj bez przerwy łożyskiem swobód partykularnych, i podwójnym tym trybem, rządowym i prywatnym, rośnie aż do kulminacyjnego punktu, którego osiągnięcie ułatwia ustawa o wolności nauczania wyższego, uchwalona za trzeciéj Rzeczypospolitéj w dniu 15 Lipca 1875.

Tu naraz, następuje przesilenie i zwrot w kierunku przeciwnym. Rzeczpospolita ustalona nareszcie po ciężkiéj walce o byt, zaczyna się cofać przed następstwami wolności, piętrzącemi się stale w coraz groźniejszą potęgę kościoła. Wyrazem tego cofnięcia się stały się głośne za dni naszych prawa Ferry.

Położenie, przyznać to trzeba, w niezwykłém przedstawiło się świetle, śród namiętności rozognionych ostatniém pokuszeniem się reakcyi, znaném w historyi naszego czasu pod nazwą „niedokonanego zamachu 16 Maja.“ Lecz czy wyjście z téj sytuacyi istotnie jedno tylko było: przez nowy, ulegalizowany zamach na swobody społeczne narodu, który posiadł nareszcie pełnię swych swobód politycznych?

O powrocie, w dziedzinie wychowania publicznego, do przestarzałego pomysłu Condorceta, usuwającego ze szkoły obu pretendentów, mowy teraz być już nie mogło. Wypadki od tego czasu zasiały po drodze legion cały przeszkód. Cóżby zyskała rzeczpospolita, gdyby, dobiwszy się do władzy, zapragnęła obecnie wypchnąć ze szkół rządowych „siebie samę“ bodaj nawet pospołu z duchowieństwem? jak to Condorcet niegdyś doradzał? Zostałaby cieniem osamotnionym w obec możnego przeciwnika, który „instytut“ wła-

snego wychowania, wzniósł na fundamencie wolności tak w górę wysoko, że przy nim maleć począł nawet napoleoński *l'Université de France...*

Atoli, nie byłoż innych środków? Wypadałoż koniecznie uderzyć na alarm w sofizmat: że nie wszystko jest wolnością co do wolności prowadzi? a zaparcie się wolności w ogóle, ażaliż nieodbicie wypadło uwidomić drogą negacyi swobód wychowawczych?

Zauważyć musimy, że od daty dekretów konwencyi i marzeń Condorceta, zaciemniło się we Francyi do niepoznania samo nawet pojęcie wolności republikańskiéj, sama jéj istota.

Wymawiając imię rzeczypospolitéj francuskiéj, często zapominamy, że w niém zbiegły się tradycye trzech epok odmiennych r. 1791, 1848, 1870, tradycye bynajmniéj z sobą niezgodne. Pierwsza rzeczpospolita, zrodzona z czystego pojęcia wolności, jak się ono sformułowało w umysłach Żyrondystów, prędko przeszła pod panowanie bojujących i zazdrosnych o swą władzę Jakóbinów. Los zdarzył, że zasada federacyi tak wysoko podniesiona w r. 1791, posłużyła też za hasło obłąkanym przywódzcom komuny w r. 1871, a w tych konwulsyjnych drganiach ostatniéj katastrofy, któż rozpozna formy wolności, z których ona przed 80 laty, tak uroczo rozkwitać miała wśród radosnych po całéj Francyi śpiewów, kiedy naród cały: szlachta, duchowieństwo, żywiół miejski, lud, wojsko, korporacye, stany bratały się federacyjnie w jedność nowych swych przeznaczeń. Po latach ośmdziesięciu w tę samę formę nalała się treść ohydna, tak do szczerozłotéj czaszy, pełnéj orzeźwiającego i wzmacniającego napoju, kropel goryczy i trucizny nawet, dolać może stargany zawodami życia mizantrop, napój zatruty wylać trzeba, ale czasza niemniéj złotą pozostanie. Równie złotą została wolność Żyrondystów, odśrodkowa, uznająca swe granice w liniach naturalnego wzrostu wszelkich organizmów; nie zmierzająca zgoła do sztucznego ich chowu. Była to wolność żywa, rozwijająca się, i szanująca wszelkie życie, objaw swój każdy; wypleniająca, jako rozum i logika, pasorzyty tylko same; wolność towarzyska, społeczna, grupująca, postępowym szeregiem swobód lokalnych idąca od jednostki przez rodzinę, gminę, powiat, prowincyą, do narodu; nie zaś pędem szalonym po jakóbińsku, pod sznur równo, nawiązująca swe ogniwa elementarne odrazu na wysokość abstrakcyjnego pojęcia o państwie.

Rzeczpospolita francuzka przychodziła na świat w imię wolności Żyrondyńskiéj, organicznéj. Drugą już wolnością sztuczną, jakóbińską, walczyła ona przez trzy pokolenia, i walczy, dotychczas. Nie żyła dotąd ani jedną ani drugą, żyć bowiem piérwszą, przy walce, było niepodobna; żyć drugą, nie można zgoła. Wolność bo-

wiem walcząca zaledwo tyle ma podobieństwa do prawdziwéj, do żywotnéj, do powszedniéj, ile krew wytoczona, do tętniącéj w żyłach.

W jakóbinizmie tedy zmężniała Rzeczpospolita tegoczesna. Moralność jéj, doktryny, systemata, ustawy, prawo jéj i sprawiedliwość jéj, jakóbińskie są. Więc i wolność jéj jakóbińska, to jest wojująca. Połysk ma ona stali bladéj. W ciągłych zapasach, to u siebie to na kresach, z dawnym porządkiem spraw, przybrała ona spraw tych postać niemal, oręż i przyłbicę. Dogmatyczną się stała jako nauka kościelna, absolutną jako dekret karlowingski. Po staremu wydziela ją państwo jednostkom i korporacyom, a nie ona, konstytucyjnie zagwarantowana, reguluje stosunki prawne między państwem a jednostką i korporacyą. Wydzielanie zaś to odbywało się zawsze i odbywa podziśdzień, przynajmniéj w intencyi Rzeczypospolitéj wojującéj, w stosunku odwrotnym do potęgi osób mających być udarowanemi. Indywiduum dostaje jéj niekiedy miarę przepełnioną po sam wierzch swawoli... O gminie, o municypium wolném, nie wspominajmy nawet po r. 1871. O wolności ziemskiéj, prowincyonalnéj, narodowościowéj, wspominać nie wolno już było w parę lat po r. 1789.

Jakóbinizm zniwelował, zcentralizował Francyą. Centralizm uczynił ją silną, pewną siebie, obrotną. Z życiem atoli społeczném dokazał dziwnych, rzekłbym niemal kuglarskich rzeczy. Francya, dzięki jemu stała się w zakresie stosunków prawno-politycznych, prawno-socyalnych, podobną do ogromnéj gładkiéj deski, opartéj rządowym swym środkiem o jeden kamień, oczywiście że nie węgielny, władzy silnéj, niepodzielnéj. Dość tu umieć stanąć na krańcu deski i utrzymać się widomie cokolwiek dłużéj, a wszystka wolność społeczna zbieży ci zaraz z powierzchni do stóp i obróci się... w bonapartyzm, może w gambettyzm... Wtedy stojący na krańcu śmiało iść może na środek państwowy.

Smutne to, kto wié jednak czy nie konieczne, w każdym razie, brać musimy pod rozwagę to co jest, co zostało, nie to co zginęło...

III.

Szkoły prywatne we Francyi pozyskały tedy ostateczny i najwyższy wyraz swéj niepodległości prawnéj w ustawie z dnia 15 Lipca 1875, zaprowadzającéj wolność nauczania wyższego, czyli prościéj, upoważniającéj osoby pojedyncze i moralne, indywidua i stowarzyszenia, do zakładania fakultetów i wszechnic wolnych. Trzecia

Rzeczpospolita uwieńczyła ustawą tą dzieło poprzedniczek swoich. Uwieńczyła je godnie i rozumnie. Rozpatrując rzecz bez względu na warunki w jakich ustawa powstała (uchwaliła ją większość parlamentu, złożona z prawicy monarchicznéj przy współudziale starych konstytucionistów lewego środka, pielęgnujących w umiarkowany sposób zasadę żyrondyńską); usuwając zarazem wzgląd na realne, praktyczne następstwa prawa (korzyść jaką z ustawy 15 Lipca wyciągnęli nieprzyjaciele Rzeczypospolitéj), trudno zaiste nieprzyznać aktowi temu wysokiéj moralnéj wartości. Zapewnił on z całkowitą bezinteresownością, bez uciążliwych zastrzeżeń, bez nawiasów dwuznacznych, trzy niezbędne dla istnienia szkół wyższych prywatnych prerogatywy. Orzekłszy minimalną ilość katedr, kursów i wpisów rzeczywistych, od szkół takich wymaganą, dał im nazwę nie chowającą światła pod kerzec, nazwę fakultetów; trzy fakultety skupione tą drogą w jednéj miejscowości pod wspólny zarząd, utworzą uniwersytet. Wybór w nich metod, programów, systemów, bezwarunkowo, bezwzględnie swobodny. Nareszcie, przyznawszy odpowiednią nazwę właściwéj nauce, ustawa z dnia 15 Lipca roku 1875, uposażyła obie darem ostatecznym: pozwoliła na sankcyonowanie wiedzy zdobytéj, dyplomem. Pieczęć do tych dyplomów przykładać miało państwo, ale egzamina na takowe wychowańcy szkół wolnych obowiązani byli składać przed komisyami mięszanemi, utworzonemi w części z profesorów szkół prywatnych, w części z profesorów fakultetów rządowych powołanych przez ministra oświaty krajowéj.

Są to prerogatywy dostateczne, a zarazem niezbędne, zwłaszcza ostatnia. Jako uniwersytet wolny jest koniecznem dopełnieniem wychowania wolnego na stopniach niższych, stopni tych niejako wyjściem swobodném na świat, tak samo dyplom naukowy koniecznem dopełnieniem wykształcenia wyższego, jego powiedziałbym paszportem na drogę życia. Bez zagwarantowanego szkole prywatnéj egzaminu, bez godziwéj, skontrolowanéj niepodległości onego, nie ma szkoły wolnéj.

Ustawa 15 Lipca, rzadkim trafem prawodawczym zrobiła tyle ile potrzeba, ni mniéj ni więcéj. Doścignęła w ważnym, najważniejszym zakresie oświecenia publicznego, prawie doskonałości, wypowiedziała w sprawie instytucyi prywatnych ostatnie, najlepsze słowo wolności prawnéj.

Niestety, nie długiém echem słowo to brzmiało.

Stronnictwo republikańskie, umocowawszy się raz u steru władzy, uderzyło najpierw właśnie na ten ostatni najwyższy wyraz wolności nauczania: na niezależne, kontroli społecznéj podległe egza-

mina. Uniwersytety wolne, w moc prawa Ferry uchwalonego w Marcu 1880, utraciły w pierwszém tém starciu się z republikanizmem nietylko imię ale i dostojeństwo. Cofnięto im nazwę uniwersytetów, cofnięto ich profesorom prawo udziału w komisyach egzaminacyjnych mięszanych. Z trzech głównych prerogatyw wolnego wyższego nauczania, zostawiono im jedynie swobodę doboru metod i programatów.

Pięcioletnie niespełna trwanie ustawy z 15 Lipca 1875, wydało się republikanom terminem dostatecznie długim, dla przeświadczenia się ostatecznego, że z ustępstw państwa, zapewniających społeczeństwu wolność edukacyi, skorzysta przedewszystkiém, wyłącznie nawet może, duchowieństwo, nieprzyjazne powiadają republikanie swobodom powszechnym. Rzeczpospolita, świecka z pochodzenia i ze składowych swych czynników, dobijała się swobód tych trudem wiekowym, olbrzymim i dobijała się ich od tych właśnie, przeciw i wbrew tym, co niegdyś nic wspólnego z wolnością mieć nie chcieli. Czyliż więc republikanie teraz pozwolą by swoboda wychowania publicznego uznaną została na rzecz duchowieństwa, z uszczerbkiem państwa, właśnie w chwili kiedy państwo republikańskiém się stało? Co więcéj, podstawą zamożności i wpływu kościoła na ogólny bieg spraw krajowych, był i jest po dziś dzień, przywiléj korporacyjny, nabyty w czasach, kiedy stosunki społeczne regulowały się bynajmniéj nie na zasadzie wolności, z tego przywileju urosła możność duchowieństwa korzystania dziś z liberalizmu stronnictw postępowych szerzéj, głębiéj i szybciéj niżby to podobném było dla jakiéjkolwiek doraźnéj kombinacyi sił świeckich;—korporacye duchowne istniały i rozwijały się w moc szczególnych, wyjątkowych postanowień lub zwyczajów, uświęconych tradycyą lab konkordatem. Społeczność świecka żadnych tego rodzaju prerogatyw dotąd nie znała. Prawo stowarzyszeń wolnych podziśdzień jest literą martwą; nie weszło w życie. Z wyjątkiem municypiów, których swobody są również niezbyt staréj daty, korporacye naukowe świeckie, są dopiéro w zawiązku. Byłożby dziś roztropném, w obec tego upośledzenia, w obec téj niemocy społeczności świeckiéj, uposażać nową jeszcze wolnością stary przywiléj stronnictwa klerykalnego?

Tak powiadali republikanie przyklaskujący prawu Ferry, które, ograniczało lub znosiło gwarancye wolności nauczania wyższego, zapisane w ustawie z d. 15 Lipca 1875.

Z toku atoli powyższego rozumowania jak i z saméj istoty rzeczy wynika, że zamach republikanów w wypadku obecnym chybia najzupełniéj celu. Jeśli prawdą jest, że z nowych swobód ducho-

wieństwo korzysta skutecznie i z wielkiém powodzeniem, w moc starego swego przywileju, to nie widzimy najmniejszéj logiki w działaniu, które niweczy dobrą i zbawienną zasadę powszechną, dla tego wyłącznie, że istnieje pewna pozostałość przeszłości, zupełnie odmiennéj natury, co tę zasadę pasorzytnie wyzyskać jest zdolną. Zamiast uderzać na wolność nadużywaną, czyliż nie słuszniéj byłoby uderzyć wprost i otwarcie na przywiléj nadużywający? Tymczasem cóż czyni ustawa Ferry? kogo dotyka, komu wypowiada wojnę? Wolność jest jako przestronna dolina na któréj się pasą trzody, śpiewa ptastwo, modli się pustelnik, rwie kwiaty dziewczę, zbiera zioła aptekarz, a światła i kolorów szuka artysta. Przywiléj podobnym być może do wilka, który się ku trzodzie skrada. W kogóż, w co wymierzyły prawa Ferry, chcące dosięgnąć wilka? Wymierzyły w samo życie doliny, w światło, w kwiaty, w zioła, w ptastwo, w zieleń. Zaiste, zbytek to, wykwint przezorności zatruwać powietrze swobody dla tego, żeby się obronić od niebezpiecznego przeciwnika.

Ustawa Ferry postąpiła sobie w tym razie, że mniéj sielankowy przykład weźmiemy, jak gdyby kto chciał postąpić z pięknym aparatem prof. Pawła Berta. Znakomity ten fizyolog, wynalazł, jak wiadomo, wyborny sposób leczenia chorób piersiowych. Polega takowy na zamykaniu pacyenta do pewnego gatunku izby blaszanéj, w któréj, za pomocą mądrze przystosowanego przyrządu utleniającego lub odtleniającego, otrzymuje się pożądaną gęstość lub rzadkość ożywczego płynu, którym cierpiący, swobodnie w izbie umieszczony, oddychać może. Wspaniały ten wynalazek skusił p. Ferry, który duchowieństwo, a szczególniéj Jezuitów, uważa za suchotników wieku XIX. Dla nich to tedy zbudował swą obskurną kamerę ustaw, w któréj państwo dowolnie, aż do nieskończoności, rozcieńczać może powietrze swobody i światła. Cudowna, zaprawdę, kamera. Lecz po co do niéj zasadzać społeczność całą? duchownych pospołu ze świeckimi? chorych pospołu ze zdrowymi? jezuitów pospołu z wolnomyślnymi? Jest że w tém sens jaki?

Mówiąc bez przenośni, prawo Ferry skierowane przeciw samorządowi szkół prywatnych wyższych, dopuściło się, ze stanowiska powszechnych swobód narodu, najcięższego politycznego grzechu: dwuznaczności przeniewierczéj. Pod pretekstem, że wolność nauczania wyższego nie wydała w ciągu lat kilku owoców pożądanych, skazała ona na zwiędnięcie wszelkie zgoła nasiona liberalizmu, rozsiane *in potentia* w moralnéj atmosferze narodu,—nasiona które *in actu* dziesiątkami lat dopiéro wschodzą i wyrastają w żyznéj glebie pokoju i społecznego ładu.

Stowarzyszeniom duchownym, które faktycznie skorzystały z dobrodziejstw ustawy 15 Lipca, prawo Ferry, cofające lewicą co Rzeczypospolita nadała prawicą, wyrządziło dotkliwą krzywdę. Słusznie zauważył senator z prawicy, Buffet przy obradach nad prawem Ferry, że ustawa 15 Lipca była rodzajem umowy między państwem a społecznością. Państwo wezwało społeczność, jéj siły indywidualne i towarzyskie, do współudziału w ważnéj sprawie odrodzenia narodu, przez reformę wychowania publicznego. Powiedziało państwo, że za pewną sumę poświęceń i nakładów każda jednostka lub korporacya otrzyma pewną, ściśle określoną, sumę wpływu na kierunek edukacyi narodowéj, w formie szkół założonych i utrzymywanych własnym kosztem. Duchowieństwo uczyniło zadość warunkom w wezwaniu położonym i porobiło nakłady, dało grosz swój pracę i poświęcenie. Grosz ten, trud i ofiarę zabrała stowarzyszeniom duchownym ustawa Ferry. Zniweczyła zatém prawo nabyte. Ogłosiła za nieistniejące fakta legalnie spełnione. Zdarła metrykę pierwszych wolnych uniwersytetów we Francyi, powstałych z dobrowolnych ślubów państwa ze społecznością.

Zniosła nareszcie ustawa Ferry i uniemożebniła współzawodnictwo *dobrych* (jeśli już tak mieć chcemy koniecznie) szkół wyższych rządowych we Francyi, ze *złemi* wyższemi szkołami katolickiemi, a to z obawy potęgi i wpływu Jezuitów. Lecz wpływ ten i potęgę czemże podkopała? Jaki ich objaw stłumiła? Oto objaw stosunkowo najmniéj szkodliwy, najmniéj niebezpieczny. Prof. Paweł Bert, który będąc znakomitym fizyologiem, jest zarazem deputowanym i erudytą pierwszéj mocy, zawiązał był z tego powodu gruntowną polemikę z biskupem Freppelem, wydał książkę całą o zgubności doktryn jezuickich, przetrząsłszy w tym celu najciemniejsze zakątki archiwów katolickich. Dla wywleczenia na światło dzienne kilku mniéj więcéj skandalicznych sekretów konfesionału i zakrystyi, wypadło mu powoływać się na prace bardzo już zestarzałe, przytaczać autorów nie cieszących się bynajmniéj powodzeniem i rozgłosem wielkim. Wysiłek zbyteczny, trudy zmarnowane! Należało, zamiast wszystkich tych hałasów, pozwolić rozwinąć się ustawie z 15 Lipca. Jeżeli jezuici są tém w istocie, czém ich być mieni p. Paweł Bert, i jeśli, jak nas zapewnia biskup Freppel, całe duchowieństwo katolickie Francyi stało się dziś jezuickiém, czarna ich doktryna samaby wylazła z ciemnych kryjówek średniowiecznych na widok publiczny, na słońce prawdy, w formie wolnego nauczania, dostępnego kontroli każdéj, każdemu oku, każdemu pióru. Prawo Ferry uczyniło natomiast najzupełniéj tak, jakby czynił ogrodnik, zapędzający

z krzykiem i zapałem wielkim wylęgłe krety do nor ich zwyczajnych... Dziwne poszanowanie krecich legowisk!

Dzieło pobicia Jezuitów przez pobicie wolności nauczania we Francyi, nie zatrzymało się na tém.

Głośny był w swoim czasie artykuł 7 prawa Ferry o szkołach wyższych, opiewający, że nikt nie może być przypuszczonym do kierowania zakładem prywatnym wychowawczym, niższym, średnim lub wyższym, ani do nauczania w takich zakładach, kto należy do stowarzyszenia religijnego „nieupoważnionego;“ artykuł ten odrzuconym został w senacie, w początkach Marca 1880, skoalizowanemi siłami prawicy monarchicznéj i weteranów wolności umiarkowanéj jak Dufaure, Laboulaye, Simon. Porażka ta częściowa przedłożeń rządowych, spowodowała znane dekrety marcowe, na mocy których stowarzyszenie Jezusowe wywołane ma być z kraju, zakłady zaś naukowe innych stowarzyszeń duchownych nieupoważnionych, zamknięte w terminach mniéj więcéj odległych.

Co się tycze zamknięcia zakładów naukowych, utrzymywanych w ogólności przez stowarzyszenia duchowne *nieupoważnione*, dekrety kwietniowe nastręczają jedno pytanie, zgodne najzupełniéj z zadaniem obecnego studyum, a mianowicie: czy upoważnienia, jakich dekrety wymagają od stowarzyszeń duchownych, obowiązujące byłyby zarówno dla stowarzyszeń świeckich, gdyby te zapragnęły korzystać z powszechnych ustaw kraju o wychowaniu narodowem? Instytucye, spółki, korporacye nieduchowne, exploatujące wiarę społeczną sposobami naukowemi, finansowemi, przemysłowemi, handlowemi, czy potrzebują udawać się do rządu, po legalną sankcyą swych pragnień szerzenia wiedzy według własnego rozumienia? Bynajmniéj, zastrzeżeń takich już dziś nie kładą ani powszechne ani szczegółowe ustawy kraju. Zkądże wyjątek dla duchowieństwa? Dla czego jemu jednemu nie byłoby wolno mieć stowarzyszeń „nieupoważnionych specialnie“ w widokach upoważnionego dla wszystkich korzystania z praw edukacyi wolnéj? Państwo, azaliż rzeczywiście się przeświadczyło, że duchowieństwo katolickie jest nieprzejednanym wrogiem cywilizacyi nowożytnéj, jéj celów i założeń świeckich, które Rzeczpospolitéj leżą na sercu? W takim wypadku rodzi się kwestya, dla czego państwo poświęca rok rocznie 50 milionów swego budżetu na utrzymanie tego wroga? Grzeczność i ofiarę tak ciężką, tak wyjątkową, jakże pogodzić z tak wyjątkową nieufnością? Któż nieprzyjaciela opłaca i drażni zarazem? Kto go wspiéra i lęka się jednocześnie? Jeśli zaś ograniczenie praw duchowieństwa w punkcie edukacyi narodowéj wypływać ma z zasady, że duchowieństwo, opłacane przez

państwo, jest z tego tytułu jego urzędnikiem, jego sługą, któremu nie wolno mieć innéj myśli, innéj nauki, innego światła i przekonania nad myśl, naukę, światło i przekonanie upoważnione, państwowe, urzędnicze, służebne; to na dekrety marcowe może stanąć zgoda, lecz warunkowa. Warunek polega na tém: czy państwo jest dziś wstanie złożyć przed sumieniem publiczności mocniejszą jakąś niż dotychczasowe gwarancye, że się z kolei nie targnie na budżet duchowieństwa, jak się dziś targnęło na jego swobody obywatelskie, budżetem ograniczone? Bo jeśli gwarancyi takiej mieć nie można, to zatarg przybiéra rozmiary przechodzące pospolitą naszą miarę pojęć o uczciwości ludzkiéj. Dziś państwo ścieśniło swobody cywilne duchowieństwa jako swego, przez siebie opłacanego urzędnika; jutro któż obroni urzędnika przed zamachem na żołd jego, na tę miskę soczewicy, daną mu za wzięte prawo pierworodztwa obywatelskiego! Powie zapewne wtedy państwo: ależ urzędnik wróci w takim razie do swoich swobód pospolitych. Bezwątpienia, lecz przed tém, na całkiem innéj podstawie, zamknięto mu jego instytucye wolne, skonfiskowano mu majętność, owoc, w połowie jego dawnego przywileju ale téż w połowie i owoc jego pracy.

Jednėm słowem rzecz streszczając trzecia Rzeczpospolita wypowiedziała wojnę kościołowi. O niezbędności téj walki ona sama jest oczywiście sędzią najlepszym. Salus populi suprema lex esto. Czego atoli w jéj imieniu nikt obronić nie zdoła, to że wybrała do boju grunt najniebezpieczniejszy, zdolny zamącić sumienie narodu, grunt swobód publicznych, który raz i na zawsze powinienby pozostać neutralnym, przez wszystkie stronnictwa szanowanym. Na gruncie tych swobód Rzeczpospolita wypatrzyła, w dodatku, punkt najmniéj do ataku przydatny: wolność myśli, wolność nauczania, godność i niezależność wiedzy. Uczyniła zaś to bez żadnéj widoméj potrzeby, skoro w swém ręku miała i ma broń i terren bezporównania dogodniejsze, a zasadom republikańskim nie uwłaczające oręż prawa, i terren wyjątkowego korporacyjnego przywileju opartego przeważnie na budżecie.

Ale wróćmy do dalszego przebiegu zaczętéj już, niestety, walki.

Czego w zupełności nie dopięła ustawa Ferry ścieśniająca prerogatywy szkół wyższych prywatnych, to w rozszerzonym rozmiarze podjęła ustawa Berta o wychowaniu niższém, któréj kilka artykułów luźnych o kwalifikacyach bakałarskich, znajduje się w chwili obecnéj (koniec Maja 1880) pod obradami Izby.

Jest to projekt reformy szkół początkowych kraju, złożony do laski marszałkowskiéj w dniu 6 Grudnia 1879 przez wydział eduka-

cyjny Izby (P. Bert, L. Blanc, Floquet, Locroy, Spuller etc.) Sprawozdawca Paweł Bert.

Elaborat ten ma swoję historyą. W końcu 1871 roku ówczesny minister oświaty Juliusz Simon, postawił w Zgromadzeniu Narodowém rozwinięty wniosek, wychodzący z założenia, że wychowanie elementarne powinno być przymusowém. Wkrótce deputowany Lacretelle dodał do obowiązkowści poprawkę stanowiącą, że szkółka początkowa będzie bezpłatną i świecką. Na tych trzech pewnikach radykalista Barodet osnuł opracowanie, które po długich z rządem dyskusyach, wydział izby zlał w 109 artykułów ustawy, ogłoszonéj drukiem wraz z raportem sprawozdawcy p. Berta.

Wydział uzasadnia nasamprzód pierwiastek obowiązkowości w wychowaniu elementarném. Z wyjątkiem Rosyi i Belgii, powiada, wszystkie państwa europejskie wprowadziły przepis ten do swoich kodeksów. Ustawa specyalna musi być w tym względzie zgodną z oddawna przyjętemi i uznanemi postanowieniami prawa cywilnego, na mocy których rodzice obowiązani są zapewnić swym dzieciom utrzymanie fizyczne, chléb materyalny. Nie byliżby im winni pokarmu duchowego? Jedno to pytanie rozstrzyga kwestyą. Przymus jest zatem ważny. Ważném téż jest bezpośrednie onego następstwo dopełniające—bezpłatność. Ilekroć ojciec rodziny nie w stanie wychować swe dzieci w domu, lub posłać je do szkółki prywatnéj swojego wyboru, przymus, wysłania ich do szkółki publicznéj, wtedy dopiéro staje się słusznym, kiedy szkółka publiczna jest całkowicie bezpłatną. Całkowicie, co znaczy, że będzie bezpłatną zarówno dla rodzin zamożnych jak i dla ubogich. Inaczéj, gdzież równość w obec prawa? I z jakiegoby tytułu ustawa upokarzać miała biednych przed bogatymi? Następstwem drugiém obowiązkowości musi być świeckość. Ponieważ zasada przymusu, pociągnie za sobą dla znacznéj większości ojców rodzin obowiązek posyłania dzieci do szkółki rządowéj, wynika ztąd dla państwa nieodbita potrzeba starania się nietylko o dostateczną ilość szkółek bezpłatnych, ale też i o to, ażeby w nich nie *wykładano nic takiego, coby w jakibądź sposób uwlaczało wolności sumienia bądź rodziców bądź dzieci.* Czyli że państwo ma prawo wykluczyć naukę religii z programatów szkolnych. Z czego znowu naturalnie wynika, że nauczaniem po szkołach publicznych, nie wolno będzie odtąd zajmować się osobom stanu duchownego.

Naukę religii ustawa proponuje zastąpić nauką moralności i towarzyskości. Tę zaś naukę moralności świeckiéj pojmuje w sposób następujący.

„O ile—powiada wydział—źródła i początki moralności są podziś dzień i na zawsze być może zostaną, przedmiotem sporu pomiędzy

uczonymi, nie mogącymi dojść, zarówno jak i teologowie, do porozumienia się w zawiłych tych zagadnieniach, o tyle w dziedzinie zasad głównych i ich zastosowań praktycznych, moralność należy do rzeczy najbardziéj jasnych i widomych dla każdego nieuprzedzonego umysłu, dla każdéj prawéj duszy. Obowiązki względem siebie samego i bliźnich, względem rodziny, społeczeństwa i ojczyzny; godność osobista, odpowiedzialność, solidarność, braterstwo i miłość prawdy, poszanowanie słuszności, wierność dobrowolnie danemu słowu, wdzięczność za doznane dobrodziejstwa, obrona słabszych, pogarda zemsty i zazdrości, wszystkie te i takie prawdy moralne wykładane być mogą bez pomocy mgieł metafizycznych lub błyskawic synajskich" (1).

Kończy nareszcie sprawozdawca wnioskiem, że usunięcie z programu nauki religii pociąga za sobą usunięcie ze szkoły kapłana, jako osoby powołanéj specyalnie i wyłącznie do służby u ołtarza, do wykładu z kazalnicy kościelnéj. Twierdzenie to, projekt ustawy streszcza w trzeci ustęp artykułu 29-o gdzie powiedziano, że bakałarzem szkółki publicznéj „nie może być osoba należąca do jakiegobądź zakonu, stowarzyszenia religijnego, lub téż mająca święcenie kapłańskie jakiegobądź wyznania." Zakaz rozciąga się na szkółki prywatne w mniéj ścieśnioném znaczeniu, artykuł bowiem 56 ustawy odsądza od godności bakałarskiéj jedynie duchowieństwo należące do korporacyj nieupoważnionych. Doniosłość zatém artykułu 56 równa się całkowicie doniosłości zwalonego w senacie artykułu 7-o praw Ferry, gdy tymczasem art. 29 daleko za sobą zostawia wszystko, co kiedykolwiek Juliusz Ferry wyrzec mógł w sprawie wychowania publicznego, zajmującéj go podobno bliżéj i specyalniéj dopiéro od czasu objęcia teki ministeryalnéj.

Taką jest, w punkcie wolnego nauczania, ustawa Bert-Barodet-Ferry.

W obronie zasady pokrzywdzonéj na osobach stanu duchownego, nie wiele zostało do powiedzenia. Odsądzając jedną kategoryą obywateli kraju od udolności, od praw i obowiązków nauczania publicznego, projekt ustawy odsądził ją od jednego z najwalniejszych atrybutów obywatelskości saméj. Ryczałtowa proskrypcya wewnętrzna, przypominająca najsmutniejsze czasy edyktów przeciw hugonotom, ma dziś znaczenie groźniejsze jeszcze niż dawniéj; o ile bowiem

---

(1) Rapport présenté à la Chambre des Deputés sur la loi de l'enseignement primaire (Proposition Barodet) par M. Paul Bert, membre de la Chambre, professeur à la faculté des sciences. Paris, 1880.

płytszą jest zwykle swawola większości zaślepionéj od kaprysu wszechwładztwa indywidualnego, o tyle téż szerszym jest swawoli téj skutek, a to o całą przewagę woli zbiorowéj nad wolą jednostkową. W razie obecnym takie wyjęcie z pod prawa pewnéj profesyi, pewnego rodzaju zajęć i powołań, jest jakoby złamaniem zasadniczéj podstawy społeczeństwa, rażącą jakoby poniewierką opieki konstytucyjnéj, któréj wartość istotna, w społeczeństwach nowożytnych na tém się przedewszystkiém zasadza, że ustawa nie wyróżnia szewca od krawca, filozofa od derwisza, księdza od malarza. Sprawiedliwość w kraju jest, albo jéj nie ma. Jeśli jest, to musi być zarówno dla mnie, który prawa Manu przenoszę nad dekalog Mojżeszowy, jak i dla tych, co ewangelią stawią wyżéj nad kodeks napoleoński. Nie upośledziło mię prawo w kwestyach wychowawczych za to jedynie żem małżeństwo pojął bez sakramentu, za cóżby upośledzać miało tych co sakrament swój pojęli bez małżeństwa?

W łagodniejszém nieco cieniu przedstawia się przepis ustawy, dotyczący zastąpienia wykładu religii wykładem moralności i towarzyskości. Najprzód, o ile instytucyom prywatnym wolno jest używać metod i programatów własnych, uznanych za najlepsze, o tyle ze swobody téj korzystać może także i państwo. Powtóre, zmiana projektowana przez wydział ma charakter postępowy. Moralność świecka, któréj nauczanie po szkołach ma być zaprowadzoném, posiada tę wyższość teoretyczną, że jest bardziéj ludzką. „Pomyślność narodu, powiada pewien filozof, polega na dokładném oznaczeniu jego prawdziwego środka ciężkości, i na oparciu na tym środku, jego spraw bieżących.“ Podobne określenie daćby można moralności indywidualnéj. Jest to oparcie powszednich zadań naszego życia na prawdziwym punkcie ciężkości jaźni naszéj, w takim razie oczywistą jest rzeczą, że punktu tego szukać należy w człowieku samym, nie zaś zewnątrz niego. Kto czyni inaczéj, kto środka ciężkości moralnéj człowieka wypatruje po za nim, wykoleja życie jego, równowagi je pozbawia. Jakkolwiek wysoko umieścilibyśmy środek moralnéj naszéj ciężkości, nie będzie on dla nas własnym naszym punktem oparcia się. Bez oparcia się zaś na samych sobie, życie całe brodzić gotowiśmy w nieprawościach, z głową ku górze wzniesioną, i twierdzić w szczerém lub udaném jasnowidzeniu, że w duszy mamy niebios błękitnych czystość. Mamy najczęściéj niestety, pustkę ich tylko i czczość nadpowietrzną.

W téj mierze ustawa Ferry-Bert zarzutowi nie ulega. Ulega mu atoli z innéj strony, zawsze ze strony wolności, która się w naszych czasach stała postępowości wszelkiéj nieomylnym prawie sprawdzianém. Postępowość bowiem nie jest jeszcze synonimem wolności.

Tyrania może być również pcstępową na pewien jakiś okres, dopóki przedłużona, nie zatrze w jednostkach owego samorządu myśli i godziwego czynu, który jest szczęścia i zacności ludzkiéj warunkiem najgłówniejszym.

Wyraźnie to pokazać można w danéj kwestyi.

Jakoż, moralność świecka, wzięta w znaczeniu formalnego ustawodawczego przepisu nauczania po szkołach, obraca się najzupełniej w tém samém kole możebności ucisku sumienia, co i obowiązkowa moralność religijna, potępiona przez ustawodawstwo p. Berta. Świecka bowiem czy religijna, praktyczna czy filozoficzna, moralność nie jest i być nie może bezkolorową, jak nie była nigdy i nigdy nie będzie bezwzględną. Wykład jéj, zwłaszcza dla młodocianego wieku, cokolwiekbyśmy czynili, jakkolwiekbyśmy ją uogólniali, pozostać musi zawsze konkretnym. W tym zakrésie potrzeby dziecka nie wiele się różnią od potrzeb ludzi dojrzałych. Dojrzali nie bez powodu pragnęliby dotrzéć do źródeł, do początków moralnéj w człowieku zasady. Nie bez racyi téż i dziecię łatwiéj i prędzéj chwyta obraz, przykład moralny niż chudą moralną preceptę, ilekroć rzeczowe pochodzenie téj ostatniéj jest przed niém ukryte. Jednym i drugim chodzi o ujęcie w kształt, o zobaczenie, o dotknięcie oczyma duszy, powiewnéj owéj niepochwytnéj mary, która nas prowadzić ma po drogach żywota *od tego co jest* ku temu co byćby powinno, od rzeczy istniejących, przeto moralnie obojętnych, do rzeczy dobrych, godziwych, zacnych, szlachetnych. I w tém to szkopuł wolności. Bo zkądże nauczyciel wiejski weźmie farby i wzory do odmalowania dzieciom świeckiéj téj moralności, któréj nauczanie policzyła mu ustawa do rzędu głównych jego obowiązków? Kapłan starozakonny czerpie je w Biblii, chrześciański w Ewangelii, muzułmański w koranie, Chińczycy w przypowieściach Konfuciusza, Hindusowie w żywocie Buddy. Bakałarz świecki na czemże się oprze? czyj żywot postawi za przykład? czyj hymn poda w modlitewnym śpiewie? I do kogo się uda po wskazówki? Do prawodawcy, do rządu. I nie może być inaczéj. Kto w ustawie powszechnéj posunął definicyą moralności, aż do wykluczenia z niéj sankcyi synajskiéj, ten zapewne dobrze wiedział o czém mówił i czego chciał. Ten obok artykułu ustawy o moralności nie synajskiéj i nie metafizycznéj, da niezawodnie inną jakąś onéj literę, da onéj elementarz obowiązkowy. Do tego to elementarza wskazanego najprawdopodobniéj w okólniku ministra oświaty, odwoła się bakałarz po konkretne znaczenie i rozumienie moralności świeckiéj.

Moralność zatém świecka wychodzi tym sposobem na moralność państwową, moralność zaś państwowa, wyjść musi koniecznie w pań-

stwie odpowiedzialności ministeryalnéj, na moralność ministeryalną, tak że ilekroć sternikiem nawy rządowéj zostanie profesor Naquet, tyle razy artykuł 3-ci ustawy Bert-Barodet-Ferry, poda nauczycielom sposobność, zwiedzenia z dziećmi cudownych krain altruizmu i bezbożności pogańskiéj; ilekroć zaś dowództwo téj nawy obejmie p. Lucian Brun tyle znów razy bakałarz poznajomi dzieci z edeńskiemi ogrodami monoteizmu hebrajskiego. W pierwszym czy w drugim wypadku, mowy o wolności sumienia być nie może, a gwarancye w tym względzie konstytucyjne stają się ułudą. Państwo pobiéra pieniądze na potrzeby publiczne od wszystkich bez wyjątku obywateli, zarówno od żydów jak od katolików, zarówno od wierzących jak od niedowiarków. Gminy i pojedyńczy członkowie państwa mogą być i są istotnie ubogimi bez różnicy wyznań; przymusowość edukacyi narodowéj, a z nią przymusowa nauka moralności świeckiéj—są tedy przymusem istotnym, nieuniknionym dla wszelkiéj niezamożności, czy ta wyznaje stary czy nowy testament, czy wierzy w Pawła Berta czy w świętego Pawła. Z jakiegoż konstytucyjnego powodu ustawa szkolna szanuje ubogą wolność mojego sumienia wtedy dopiéro, gdy się sumienie moje zgadza ze zwierzchnikiem powołanym do tłómaczenia jéj artykułu 3-o? Jest wolność dla mnie mahometanina, i dla mego przeciwnika kwakra, albo jéj nie ma wcale. Należę, przypuśćmy, do bractwa pojmującego moralność według Herberta Spencera. Nie jestem w możności, oddania dziecka do szkółki mojego wyznania, założonéj w Szkocyi. Poszlę więc chłopca, posłuszny ustawie o wychowaniu przymusowém, do szkółki gminnéj, kędy bakałarz naucza symbolów wiary według formuły Naqueta lub L. Bruna, bynajmniéj nie według wyrozumowanéj metody Spencera i Baina. Cóż tu w takim razie robi sumienie? i gdzie tu poszanowanie mojéj wolności, na które się powołuje, z którém się popisuje projekt ustawy Berta? To samo, z kolei, na stanowisku społeczném, co na stanowisku indywidualnym. Oto wybrano mię reprezentantem upośledzonéj w środki gminy izraelskiéj. Znam jéj obowiązki, ale znam téż i jéj prawa w społeczeństwie, solidarność narodowa spoczywałaby na bardzo kruchych podstawach, gdyby stosunki jéj parły wciąż w kierunku jedynie okréśleń co się to od mniejszego należy większym. Powiada państwo: należy kształcić i wychowywać dzieci. W jakim duchu? W duchu ortodoxyi katolickiéj, gdy ortodoxya gospodarzem w kraju; w duchu bezwyznaniowym, gdy bezwyznaniowość u steru. Lecz w pierwszym, czy w drugim razie, zkąd tu mowa o wolności sumienia? Z jakiego powodu uciskiem sumienia ma się jedynie zwać narzucony wykład doktryn katolickich gminom protestanckim, izraelickim, mahometańskim, nie zaś wykład bezwyznaniowości przepisany prawem po szko-

łach gmin katolickich, izraelickich, mahometańskich? Bezwyznaniowy przywiléj państwa i wyznaniowy przywiléj katolicki mają przynajmniéj tę jeszcze pociechę, że raz po raz, jeden drugiemu po kolei imponować mogą. Jakaż pociecha dla reszty wyznań, lub dla bezwyznaniowości nie państwowéj? Żadna.

Siatka to tedy sprzeczności, chaotyczny bój mar ciemnych i zawiłych, całe to ustawodawstwo ograniczeń, zastrzeżeń, ścieśnień w dziedzinie myśli, w dziedzinie ducha! Prawdą jest tylko ideał wolności i sprawiedliwości dla wszystkich bez wyjątku. I zwyciężeni i zwycięzcy, oczy sobie rozmyślnie zawiązują, na swoję przyszłość godzą, gdy o tém zapominają. Bowiem do końca walk na świecie jeszcze daleko. W zamieci dziejowéj, unoszącéj tegoczesne społeczeństwa w przyszłość niepewną, każdy z nas być może, dziś zwycięzcą jutro zwyciężonym. Nie leży więc w niczyim interesie zniesienie pasów neutralnych, rozjemczych. Mleczne drogi ideałów rozciągnięte na ziemi czy niebie, nie wadzą idącym prosto, zbawczemi są dla błądzących, drogami temi, pasami temi rozjemczemi i orientującemi: sprawiedliwość, wolność, wolność wiedzy i wiary dla wszystkich, nawet dla fanatyków i szaleńców. Sprawiedliwość w sądzie rządzie i czynie, nawet dla wrogów, nawet dla tych co są, byli i będą nie z nami, nawet, przeciwko sobie samym w danéj chwili.

Rzeczpospolita francuzka tryumfująca, ma dziś siły i możność bezpiecznego pochodu szerokim gościńcem tych zasad. Czemuż idzie inaczéj? Nie dobra to dla niéj wróżba.

„Stronnictwo broniące wolności i sprawiedliwości bądź co bądź, upaść może sto razy we krwi własnéj. Sto razy powstanie i zwycięży. Ale stronnictwo, żądające sprawiedliwości i wolności kiedy jest pognębionėm, odmawiające zaś wolności i sprawiedliwości przeciwnikom gdy się do władzy dostało, samo podnosi na siebie ręce—schodzi do grobu bez czci i nadziei“... (Proudhon),

(*Dok. nast.*)

I. J. Hodi.

SYLWEK CMENTARNIK.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ II.

I.

Było to okno małe, brudne, w dzień zapłakane mętną a nigdy nie wysychającą wilgocią, w nocy świecące mdłem światełkiem lampki, któréj długi, okopcony komin, widać było z za rzędów butelek, ustawionych za szybami, na drewnianych pułkach. W ciemne noce jesienne i zimowe, okno to było jedyném światłem migocącém pośród długiego zaułka, którego szlak czarny i wązki, gubił się kędyś daleko, w opuszczonych ruinach wspaniałego niegdyś gmachu.

Z obu stron okna tego, tkwiącego w zczerniałéj i pochyłéj ścianie, panowały ciemności bez dna zda się ni końca; naprzeciw, błędny promyk padał zeń na gnijący parkan, za którym czuć było szeroką pustkę; w dole, światełko jego odbijało się i drgało w leniwie ciekących wodach rynsztoka.

Wieczór był jeszcze nie późny lecz bardzo ciemny; na całéj długości zaułka panowała cisza prawie nieskazitelna, gdyż zrzadka tylko i słabo mącona, dochodzącemi tu i wnet milknącemi wybuchami oddalonego miejskiego gwaru. W tém tylko miejscu, kędy świeciło okno z rzędami butelek i wyglądającym z pośród nich okopconym kominem lampki, w powietrzu zgęszczoném od mgły deszczowéj i błotnistych wyziewów, ciężko i głucho toczył się szum przycichszony, z głębi jakby budynku w którego ścianie tkwiło okno, wychodzący, ale z dalekiéj jego głębi, z za niejednych drzwi zamkniętych, z dziedzińca oparkanionego, z za szyb okiennicami osłoniętych. Był to rozgwar jakiś nieokreślony, to przycichający, to wzdymający

się chwilami, a w którym nic, żadnego głosu wyraźnego, żadnego brzmienia z pochodzeniem zrozumiałém wyróżnić było niepodobna.

W dole za to, tuż pod oknem, z pośród szmerów wiatru i plusków rynsztoka, wyróżnić się dawał wyraźnie oddech piersi ludzkiéj, chwilami zaledwie dosłyszalny lecz chwilami sapiący i śpieszny tak, jakby się tam komuś na płacz zbierało. Niekiedy, odzywał się też tam szept urywany a coraz głośniejszy i jakby niecierpliwszy, przyciszone niby i trwożliwe a nadaremne przywoływanie kogoś. Potém, u dołu ściany, dał się słyszéć szelest poruszającego się jakiegoś ciała, pod dotknięciem jego plusnęła jakaś kałuża, i z grubéj ciemności, na mętne światło spływające z okna, wydobyło się coś małego, coś po mokrych kamieniach pełznącego, a mającego pozór czworonożnego zwierzątka. U samego brzegu rynsztoka to małe a w ciemności nieokreślone stworzenie znieruchomiało i wydało z siebie głos. Był to głos dziecinny, srebrny, wpółsmutny a wpółrozkapryszony, z niecierpliwością połączoną z utęsknieniem wołający ku mętnym szybom i ustawionym za niemi butelkom.

— Papciu! papciu! papciu!

Zarazem, światło pochodzące od lampki z długim, okopconym kominem, oświeciło drobną postać tą, która rękami przytrzymując się pochyłości rozdzielającéj ścianę z rynsztokiem, podnosiła ku oknu okrągłą, bladą twarz dziecinną, wydobywającą się z grubych zwojów mokréj chusty, a opłyniętą niby strugami złota, długiemi kędziorami złocistopłowych włosów. Włosy te i rysy małéj twarzy, domyśléć się pozwalały, że była to dziewczynka.

Po kilka razy jeszcze powtarzała wołanie swoje, aż umilkła znowu, i na mokrych kamieniach w skurczonéj postawie siedząc, a w okno zapełnione butelkami wlepiając źrenice, jak turkusy błękitne, szeptać zaczęła.

— Siedzi i siedzi! znów upije się i na drabinę polezie! Jeszcze kiedy spadnie, zabije się i umrze! Tak jak Tadzio!... Zmarł i— nié ma!

I z całéj siły drobnéj piersi swéj drgającéj płaczem, wołać zaczęła znowu.

— Papciu! papciu! papciu!

Całą odpowiedzią na rozpaczliwe to dziecinne wołanie był wciąż toczący się kędyś, we wnętrzu domostwa, głuchy szum i rozgwar...

Dziecko szepnęło.

— Ot pójdę... za rękę wezmę i do domu zaprowadzę... Co ma tam całą noc siedziéć jak ostatni pjanica jakiś!..

Zrobiła poruszenie takie jakby posunąć się chciała ku znajdującym się obok okna, wązkim i szczelnie zamkniętym drzwiczkom, lecz wzrok jéj upadł na najwyższe szyby okna i znieruchomiała znowu.

— Aha! zawołała z nagłym, promiennym uśmiechem; Ptaś! ptaś! śpiewuś! maleńki... mój!...

Przedmiotem w którym tkwiły rozpromienione oczy dziecka, była klatka wisząca nad rzędami butelek, za najwyższemi szybami okna. W klatce, na drewnianym pręciku, ze zjeżonemi żółtemi pióry siedział kanarek. Żółta nić płomienia wijąca się w okopconym kominie lampki świeciła mu prosto w oczy. Ptak usnąć nie mógł, a małe, czarne źrenice jego rozwarte były, nieruchome i smutne. Dziecko siedzące nad brzegiem rynsztoka, składając drobne wargi w zarys pieszczotliwy, wlepiało wzrok w ptaka, bezsennie dumającego za oknem szynkowni.

W téj chwili, zdaleka, z ulicy do której przytykał odległy koniec zaułka, dała się słyszéć muzyka katarynki. Arya uwięzionego w wieży Trubadura, która po niezliczone tysiące razy wydobywając się z piersi genialnych artystów, napełniała sobą rzęsiście oświetlone sale teatrów, i wstrząsała sercami wytwornych słuchaczy, tym razem drżące trele swe lała na błoto i rynsztoki pogrążone w grubych ciemnościach. Zbliżywszy się przecież ku zaułkowi, katarynka umilkła, natomiast rozległy się po kamieniach równe, silne, męzkie stąpania, aż nakoniec,. tuż przy oknie szynku, ale w cieniu jeszcze ozwał się dźwięczny, młody głos męzki.

— A ty Klarka znowu tutaj! w błocie siedzisz, jak żaba i na papkę swego czekasz! Ha! Klarka! czy to ty czy psiątko jakie?

— Ja! odpowiedziała dziewczynka i pytającym tonem dodała.

— Sylwek! czy co?

— Czy co? czy co? przedrzeźnił ją głos męzki, Cygan może, wilk, Niedźwiedź! Hu nu! Hu nu!

Wraz z tém naśladowaniem niedźwiedziego ryku czy wilczego wycia, ciężki przedmiot jakiś na ziemi stawiony stuknął o kamienie a dwoje ramion gibkich i silnych opasało dziecko i podniosło je z nad ziemi. Wtedy, w mętném oświetleniu spływającém z okna szynku, inny znowu ukazał się obraz. Składał go młody urodziwy chłopak, w bluzie przepasanéj rzemiennym pasem, w ramionach trzymający pięcioletnią dziewczynę, z któréj zsunęła się mokra chusta, a którą w zamian nawpół okryły długie, złociste włosy. Czoło i oczy jego ocienione były szerokiemi brzegami grzybowatego kapelusza, a usta cienkie i pąsowe z uśmiechem pochylały się ku czołu dziecka.

— Zanieść cię do domu, co? Kocię ty małe! a to tak jak wtedy, w rynsztok wpadniesz i skąpiesz się w błocie... No pójdziem! zaniosę cię do mamy!

Dziecko gniewnie rzuciło się w jego objęciu.

— Ja chcę papki... wołać zaczęła; papko tam! tak już dawno! papko biédny! papkę skrzywdzili! Ja chcę papki!

— Ale! przeciągle zaśmiał się chłopak w bluzie, papkę skrzywdzili! papko biédny! jak szpaczek powtarzasz co papko gada jak upije się. No nic mu się nie stanie. Przyjdzie do chaty pijany, wyśpi się i jutro upije się znowu. A ty jak będziesz tak nocami walać się w błocie, zachorujesz jeszcze i zamrzesz... tak jak Tadzio!

. Dziewczynka ramieniem otaczając szyję jego, przybrała postawę pełną zaniedbania i ufności. Drobny palec trzymała przy bledziutkich wargach, i zamyślonym wzrokiem na kanarka znowu patrzała.

— Sylwek! zaszczebiotała, o! widzisz! ptaś! biedny ptaś... śpiewuś milutki mój!

Wyrazy te wymawiając znikała stopniowo z mętnie oświetlonego tła i wraz z młodym mężczyzną który ją unosił, wsuwała się w cień. Drobne ramię z palcem wyciągniętym ku kanarkowi znikło ostatnie a w ciemności dał się słyszéć głos młodego mężczyzny.

— Aha! pięknie tam bawi się ptaś twój! Wczoraj Wincek mularczyk oczy mu chciał wyłupić a potém upoił bułką moczoną w wódce. Papko ptasia twego w zastaw za kruczek wódki oddał, wykupić go ani myśli... już chyba ja ci go kiedy wykupię, jak mi z okien dużo srebrnych groszy narzucają...

Tu ze stukiem zardzewiałych zawias i klekotaniem złamanéj klamki otworzyła się i wnet zamknęła furtka umieszczona w pochyłym parkanie. Sylwek niosąc wciąż Klarkę w objęciu, wszedł na dziedziniec długi i wązki, kształtem swym do jakiejś przepaścistéj szyi podobny, którego stronę jedną zajmowało długie niskie domostwo, drugą otaczały rozwalone płoty i budynki, a daleka głębia w ciemności nawet czerniała jakąś wysoką i u szczytu w różne kształty połamaną budową. Długie, nizkie domostwo było tém samém, którego front ku zaułkowi zwrócony, posiadał jedno tylko okno i jedne wązkie drzwiczki. Od strony zaułka miało ono pozór malutkiego domku, w istocie zaś było obszerną, próchniejącą ruderą, która jednym szeregiem okien zwracała się ku dziedzińcowi, drugim, ku wązkiemu i błotnistemu pasowi ziemi, wiecznie pustéj a otoczonéj parkanem z desek tak wysokim, że zarówno światłu dziennemu jak spojrzeniom ludzkim przystęp do okien tamującym. Okna rudery osłonięte były okiennicami, których szczeliny przepuszczały gdzie-

niegdzie wązkie strugi światła. Pomimo okiennic jednak, szum ów nieokreślony dający się słyszeć już w zaułku, stawał się ze strony dziedzińca głośniejszym i wyraźniejszym.

Młody wysmukły chłopak niosący w ramionach malutką dziewczynkę, minął okna długiéj rudery i zmierzał ku wysokiéj i połamanéj masie owéj, w głębi dziedzińca czerniejącéj. Jakkolwiek ruchy jego silne były i zgrabne, jakkolwiek miejscowość tę znać musiał wybornie, potknął się jednak parę razy o sterczące jakieś kupy kamieni czy śmiecia, a stopy jego co chwilę pluskały w kałużach stojących we wklęsłościach zepsutego bruku. Dosięgłszy nakoniec czarnéj wysokiéj budowy, wszedł do ciemnych sieni, których drzwi kołysząc się na jednéj tylko zawiasie, od chwili do chwili przeciągle jęczały. Omackiem dosięgnął innych drzwi, które też stały otworem, przez chwilę szedł wązkim korytarzem, śród zupełnéj pustki którego kroki jego rozlegały się monotonnie i donośnie, a który posiadał dwa otwory okienne, szyb pozbawione, aż nakoniec, wspiąwszy się po kilku wschodach, przeciągał ręką po chropawéj ścianie dopóty, aż znalazł znowu drzwi, które tak jak wszystkie poprzedzające zamkniętemi nie były.

— Alež u was dom, na wszystkie cztery wiatry otwarty! mruknął i dodał. No prawda! goły złodziejów nie boi się.

Zatrzymał się chwilę w owych drzwiach nad kilku wschodami otwartych i patrzał znowu w ciemność, z głębi któréj, z drugiego jakby pokoju, dochodził dźwięczny i przewlekły, pieszczony i zarazem cierpiący głos niewieści.

— Cała to moja przyjemność, kochana pani, całe to moje szczęście i cała moja pociecha w tém smutném życiu mojém! Co jabym nieszczęsna poczęła gdybym jeszcze tych moich kochanych książek nie miała, gdybym się niémi nie upijała, gdyby mię one w lepsze, promienniejsze światy nie unosiły. Nieuwierzysz jakiéj rozkoszy doznaję. gdy imaginacyą przynajmniéj, unoszę się w krainy miłości i zachwytów, w świat elegancyi, salonów, rycerzy, hrabiów i książąt!... w świat mój rodzinny... Wszak wiesz dobrze moja pani Lirska, że to jest świat mój rodzinny...— Tak, tak, ozwał się drugi głos kobiécy, ja tylko zawsze sobie myślę, skąd ty Helenko książki te dostajesz... to droga podobno rzecz...

— Zostało mi ich trochę, z dawnych, świetnych czasów moich! a przytém... przyznam ci się moja pani Placydo, że czasem od ust sobie odejmuję a wlokę się do miasta... tak wlokę się, bo ze zdrowiem mojém biegać nie podobna, a i chodzić nawet trudno... wlokę się więc, i kupuję... nie zjem, nie ubiorę się a kupuję...

— Ależ... zaczął drugi głos niewieści, ależ... dziatki twoje... dziatki!

W téj chwili, w drugim końcu ciemności, zabrzmiał głos męzki.

— Klarkę przyniosłem!

— Ach! Ach! rozległ się pełen przestrachu krzyk niewieści. Lecz głos męzki, na krzyk ten żadnéj nie zwracając uwagi, śmiało i szorstko nawet, mówił daléj.

— Niech pani świecę zapali i Klarkę weźmie. Tarza się to w błocie i pod rynnami, zmokła jak szczenię!

— O, pani Lirska, moja pani Lirska! zapal świecę! zmiłuj się zapal świecę! Ach! jakże się zlękłam! O, serce moje! serce! uderza jak młot!.. Pani Placydo, świecę! prędzéj, świecę! bo jeszcze zemdleję!..

— Kiedyż niewiem gdzie świeca i zapałki! z odcieniem niecierpliwości odpowiedział drugi głos kobiecy.

— Tam... tam... na komodzie, pod ścianą... aj! nogi moje, jak z drewna... ruszyć się nie mogę!..

Po krótko trwającym szeleście, sprawianym przez ręce szukające omackiem żądanych przedmiotów, błysnął płomyk zapałki a kobiéta w czarnéj sukni i białym czepku, z bladą łagodną twarzą i siwiejącemi włosami, zapaliła ogarek stearynowéj świecy, tkwiący w lichtarzu oblepionym grubą warstwą łoju i stearyny. Wtedy, można już było rozejrzéć się nieco po tém szczególném mieszkaniu, którego wszystkie drzwi stały otworem, a w którém pośród grubéj ciemności i mrożącego chłodu, wiejącego ze wschodów, korytarzy i sieni, pieszczony głos kobiécy mówił o elegancyi, salonach, rycerzach, hrabiach i książkach. Mieszkanie to składało się z dwóch pokojów wielkich i wysokich. Kiedyś, były to zapewne salony ludzi możnych lub prawdopodobniéj jeszcze sale fabryczne. Teraz ogromne, wysokie ściany nagie zupełnie, brudne, z opadającym tu i owdzie tynkiem, wyglądały ponuro i nudnie. Ponuremi téż i dziwnie smutnemi były ogromne okna, zaopatrzone w ramy i szyby, które w różnych czasach i okolicznościach wstawiać w nie musiano, bo posiadały wielkość i kształt rozmaity. Pierwszy od wejścia pokój był pustym zupełnie; w jednym tylko z kątów jego stał sztywny piecyk żelazny a w drugim leżało trochę połamanych gratów i parę posłań ze zmiętéj słomy, okrytéj zgrzebném płótnem. Drugi za to pokój posiadał znaczną ilość sprzętów; dwa łóżka z tak szczupłą że niewidzialną prawie pościelą, komodę okrytą kilkunastu podartemi książkami, szafkę z trochą talerzy i garnków, kilka stołków, zgrabne i nowe jeszcze łóżeczko dziecinne, szezlong nakoniec, strasznie brudnym i po-

dartym perkalem okryty, a na którym w znękanéj i mdlejącéj postawie, wpółleżała kobiéta średniego wieku, wysoka i chuda. Była ona nawet bardzo chudą, oczy miała głęboko zapadłe i kości na twarzy i szyi wystające. Pomimo jednak oznak tych wyniszczenia znać było że kiedyś piękną być musiała, a i teraz jeszcze powierzchowność jéj posiadała wdzięk pewien, delikatny i cierpiący. Włosy miała prześliczne, złociste i ogromne. Ubranie jéj składało się z ciemnéj sukni zniszczonéj, podartéj i różowego łachmanka zalotnie zarzuconego na chude ramiona.

. Kiedy niemłoda kobiéta, któréj powierzchowność posiadała skromny lecz dostatni pozór, zapaliła świecę, Sylwek postawił Klarkę na ziemi i trzymając ją za rękę postąpił naprzód. Nie wszedł jednak do drugiego pokoju, tylko zatrzymał się przed progiem, w cieniu. Kobiéta na szezlągu leżąca patrzała ku niemu przymrużonemi trochę oczami. Ochłonęła już z przestrachu jakim nabawiło ją niespodziane odezwanie się przybyłego i z dumném poruszeniem głowy, wymówiła. Niepotrzebnie fatygowałeś się, mój kochany! Klarka wróciłaby sama do domu, a już ci wiele razy mówiłam, żebyś nie zbliżał się do dzieci moich... nie jesteś dla nich towarzystwem stosownóm...

Za progiem przyległego, ciemnego pokoju rozległ się głośny, szyderski śmiech.

— A—le! zawołał Sylwek, niemam zbliżać się do dzieci Pani.. zbliżają się one do gorszych jeszcze jak ja... Misia widziałem dziś jak z ulicznikami koziołki na kupach śmieci wywracał, a Damek podobno ukradł coś wczoraj u majstrowéj i bardzo zbliżył się do batoga majstra... Ot jak! A co się tyczy Klarki, to już pani na to nic nie poradzisz! my z sobą w przyjaźni, od tego czasu kiedym to ją z szynku pianą wyniósł, do doktora poniósł, wyleczył i piernikami opchał tak że się znów rozchorowała...

Ostatnim wyrazom towarzyszył znowu śmiech wesoły, a Klarka która na łóżeczku swém usiadła, patrząc na stojącego w cieniu przyjaciela swego i trząsąc złotemi lokami, zanosiła się też od śmiechu.

— Jezus Marya! krzyknęła niemłoda kobiéta w czarnéj sukni, to maleństwo było już pijane!

— A tak pani, odpowiedział z cienia głos męzki, przyszła po ojca... do szynku., i spoili ją dla zabawy... ot, tak samo jak wczoraj kanarka! Bądźcie zdrowi! Dobranoc Klarko.

Głośny całus rzucony ręką w stronę dziecka rozległ się w ciemnym pokoju, i drzwi od wschodów, po długiém pracowitém stukaniu i trzęsieniu niémi wychodzącego, zamknęły się o tyle, że wilgotne powietrze korytarza i sieni wiać z nich przestało.

— Któż to był taki, Helenko! zapytała niemłoda kobiéta, na bladéj i łagodnéj twarzy któréj, malował się głęboki niesmak.

Helena przymknęła powieki swe ciemne, zmęczone i znękanym głosem wymówiła.

— A! katarynkarz jakiś! Podobno skoczkiem ulicznym był, potém mularczykiem a teraz z katarynką chodzi! Rozkochał się formalnie w Klarce i nieproszony, niedziękowany, wiecznie się nią opiekuje! Dziecko to ma dziwne szczęście do ludzi! nadzwyczaj do mnie podobna! Czy uważasz Placydo, że Klarka zupełnie moje ma rysy, moje włosy i oczy. Ja także... kiedyś... miałam szczęście do ludzi... Pamiętam, kiedy z moją matką pierwszy raz byłam na balu u Książąt...

— Moja Helenko, łagodnie przerwała jéj towarzyszka, co było to nie jest. Ale teraz, kiedy jesteście już tak biedni, powinnabyś lepiéj naglądać na dzieci...

Helena chudemi i bardzo białemi dłońmi głowę sobie objęła.

— Ach! ach! zawołała, głowa moja! biedna moja głowa! Tak mię zawsze głowa boli a nocami moja pani Placydo aż zanoszę się od kaszlu... W piersi jakbym szpilki miała czy żmije.

Przycisnęła dłoń do wklęsłéj istotnie i pod barwistym łachmankiem ciężko oddychającéj piersi.

Placyda Lirska patrzała na nią ze współczuciem.

— Niezdrowe życie prowadzisz, zaczęła, nigdy prawie z tego wilgotnego i zimnego mieszkania nie wychodzisz, źle jadasz a po całych nocach nie sypiasz i książki czytasz... Herkules by nie wytrzymał. Już wiele razy radziłam ci; zamiast z garkuchni brać obiady, zajmij się sama gospodarstwem, chodź do miasta, kupuj... gotuj... rozruszasz się... będziesz zdrowa...

Helena poruszyła ręką w sposób oznaczający najwyższe zniechęcenie.

— Nie umiem, szepnęła, i.., nie mogę! Nerwy moje takie wrażliwe... wzdrygam się na widok surowego mięsa.... Zresztą, nic mię nie obchodzi... czekam tylko téj chwili, w któréj cicho się robi koło mnie aby wziąść książkę i czytać... czytać.. czytać, aż do zapomnienia o wszystkiem, aż do upicia się. Noce są dla mnie najszczęśliwsze; bo wtedy wszyscy śpią i nikt mi nie przeszkadza. Tylko że nie zawsze mam świece... to też oszczędzam je jak mogę... dla tego i panią dziś przyjmowałam w ciemności, bo ot oprócz ogarka tego jedną już tylko świecę mam w komodzie, a kupić ich więcéj niéma teraz za co...

— Otóż to! otóż to! zaczęła Lirska, żebyś ty od czytania romansów tych odzwyczaiła się trochę... żebyś się trochę pojednała z życiem... choć ciężkiem ale...

Helena wyprostowała się. Rumieniec wytrysnął na chude jéj policzki, zapadłe oczy błysnęły.

— O! zawołała, dziwna rzecz! wszystkim wszystko wolno, tylko mnie nic! Ileż to kobiét w położeniu mojém, w moim wieku i z moją powierzchownością, poszłoby szukać dla siebie szczęścia... chociażby na drogach występku! Ja nie! ja zostałam wierną żoną... jakiego męża? Ja zagrzebałam się żywcem w nędzy i upokorzeniach! Ja umieram z tęsknoty i smutku, lecz z drogi cnoty nie zstępuję! A jednak, jest na świecie miłość i szczęście.. są na świecie dostatki, zabawy, i rozkosze... Jeżeli niemam ich nigdy posiadać w rzeczywistości, niechże je czasem mam choć w złudzeniu!..

Placyda nie odpowiedziala nic, po chwili dopiéro zcicha i nieśmiało zapytała.

— Cóż Hilary? często się teraz upija?

Helena uśmiechnęła się z goryczą.

— Jak czasem, odparła. Miewa on dnie upamiętania, w których pracuje... przepisuje papiery dla adwokatów i wszystkie zarobione pieniądze mnie oddaje... Przyznam ci się, że dnie te są dla mnie najcięższe... ciągle mieć kogoś tuż obok siebie... ani chwili samotności... przytém dokucza mi wtedy o te czytanie moje... wymawia wciąż że dziećmi się nie zajmuję, a taki ma niedelikatny sposób wyrażania się, że kiedy składa pióro i przestaje pisać, to mi nerwy aż drętwieją z trwogi aby do mnie nie przemówił... To téż najczęściéj bierze Klarkę na kolana i pieści ją godzinami całemi. Rok przeszło temu, w takim przystępie trzeźwości, oddał Damka na naukę do ślusarza... Prosiłam, błagałam aby tego nie czynił. Powtarzałam sto razy że przecież krewni moi odezwą się kiedyś, przypomną sobie o mnie a wtedy dzieci nasze wysoko pójdą.., Nie słuchał niczego, mnóstwo tylko grubijaństw mi nagadał i Damka do terminu oddał... Dziecko moje terminuje u ślusarza! O! ironio losu!

Lirska znowu wstrząsała głową.

— Już to, kochanko, zaczęła, takie znać teraz czasy... Mnie saméj było bardzo, bardzo przykro, kiedy kuzyn mój, Tytus Tarżyc, Morysia mego do garbarni na naukę oddawał... W rozum jego wierzę, za anielską jego dobroć dla mnie i dla dziecka mego, wdzięczną mu jestem z całéj duszy. Jednakowoż, przykro mi to jakoś było. Nieboszczyk, najdroższy mąż mój ze szlacheckiéj familii pochodził i zawsze przecież urzędnikiem był... moja matka Tarżycówna z domu... dziwném mi się więc wydawało aby Moryś garbarzem został, choć

Tytus nawet mówił i przyrzekał, że jeśli z chłopca zadowolonym będzie, kiedyś mu kapitalik na założenie własnéj fabryki da... Nie sprzeciwiałam się zacnemu krewnemu z łaski którego żyjemy, ale wolałabym żeby Moryś szkoły był skończył i czém inném został. Dziecko słabowite było, nauki mu nie szły jakoś, promocyi nie dostawał... Potém i w garbarni nie długo był. Nie na jego to siły robota... delikatny taki i swobodę lubi, zwyczajnie młody. Tytus rozgniewał się, pensyą mi płaci jak płacił, ale dla Morysia obojętny, prawie niechętny. Dziecko desperuje nad tém i z desperacyi... trochę szaleje. Ot i teraz, przyznam się tobie, moja Helenko, że przyszłam tu... przyszłam tu...

Zawahała się. Spuściła oczy. Głos jéj stawał się smutnym i drżącym.

— Przyszłam tu naturalnie dla tego naprzód aby ciebie odwiedzić a potém... powiedziano mi, że Moryś bywa czasem... na waszym dziedzińcu... w tém samém miejscu... gdzie mąż twój, bywa... Otóż, myślałam, że dowiem się jakimkolwiek sposobem czy to prawda, a nawet będę cię prosić abyś mi w tém dopomogła..

— Jakże ja Pani dopomódz mogę? moja pani Placydo, zapytała Helena, któréj omdlałe oczy co chwilę spoglądające ku leżącym na komodzie książkom, objawiały że od chwili, w któréj o saméj sobie mówić przestała, nudzić się i odejścia gościa niecierpliwie oczekiwać zaczęła.

— Myślałam... że poślesz tam kogo aby zobaczył..,

— Kogóż ja mogę posłać? lokajów przecież niémam...

— Jaka szkoda! jaka szkoda! mówiła do siebie kobiéta w białym czepku, żem o to tego katarynkarza nie poprosiła... chociaż to wstyd... ale cóż robić? wiedziałabym przynajmniéj co mam odpowiadać tym którzy plotki takie o mojém dziecku po świecie roznoszą!... Moja Helenko! pomóż mi... poślij kogo... sąsiada może jakiego albo sąsiadkę..·

— Ja z tutejszymi mieszkańcami żadnych stosunków niémam! z coraz widoczniejszém znudzeniem odparła Helena, żeby Damek albo Miś byli w domu, tobym ich posłała...

— Jakto! wykrzyknęła Placyda, synów swoich posłałabyś do... do...

Nie dokończyła. Nie mogła wymówić nazwy miejsca, do którego że syn jéj uczęszcza przypuszczała.

Helena wzruszyła ramionami.

— A cóż! oni do tego przywykli! Chodzą tam często do ojca i po ojca... Są to, moja pani Placydo, daleko mniéj dzieci moje jak Hilarego... po Hilarym poszły wszystkie... nawet Klarka... która dla

mnie obojętną jest zupełnie a za ojcem przepada. Od czasu kiedy mój najstarszy, mój śliczny Tadzio umarł, ja... uważam się za bezdzietną... Dla mnie w niczém i nigdzie pociechy niéma... Mnie nikt nie kocha... Ja tylko złudzeniami żyć muszę... We mnie...

Rozgadała się znowu o sobie i ożywiła się. Tym razem jednak, łagodna i współczująca towarzyszka jéj zdawała się jéj nie słuchać. Zapadła ona w głęboką i smutną zadumę.

— O mój Boże! rzekła po chwili zcicha i w zamyśleniu, co téż by najdroższy mój Wincenty powiedział, gdyby wstał z grobu... Najlepszy przyjaciel jego, Hilary Szarski, taki porządny i rozsądny człowiek, w... szynku... rodzone jego dziecko, śliczne takie, dobre, rozumne dziecko, może... Co się to na świecie z ludźmi dzieje! Przyjaciółmi i kolegami w jedném biórze byli... traf! wypędzili obu! za co? Boże wielki, bądź Ty sędzią naszym. Wzięli sobie tak do serca krzywdę swoję i biédę w którą popadli, że jeden gryzł się i zagryzł na śmierć, a drugi.... do dziś dnia w wódce szuka pociechy!.. O! Boże sprawiedliwy, bądź Ty Mścicielem naszym!...

Z kieszeni czarnéj sukni wydobyła chustkę, otarła nią zwilżone łzami oczy. Helena tymczasem, z pod poduszki wypchanéj sianem i oszytéj drylichem, która przyozdabiała i udogodniała brudny szezląg, wysunęła nieznacznie książkę i chudemi swemi białemi palcami podarte kartki jéj przewracać zaczęła.

W tém, z łoskotem, otworzyły się drzwi od wschodów i w pierwszym od wejścia, ciemnym pokoju, zatętniły dwie pary nóg, z których jedna obutą była, druga boso. W progu ukazało się dwóch chłopców. Starszy, obuty i w szaréj surducinie, wyglądał na lat trzynaście, młodszy, bosy i w ubraniu które było spencerkiem niby, niby podartą bluzą nie miał jeszcze dziesięciu. Stanęli w progu i zdyszanemi od szybkiego biegu głosami, zawołali jednocześnie.

— Ojciec jest?

Klarka, która w obłoconém ubraniu spała już na swém małém, zgrabném łóżeczku, obudziła się, rozczochraną główkę ku braciom zwróciła i żałośnym głosem zawołała.

— Niema papki! niéma! papko w szynku! Upije się i znów na drabinę...

Nie dokończyła, bo głowa jéj opadła znowu na brudny wałek jakiś, za poduszkę służący, a powieki z długiemi rzęsami zakryły senne źrenice.

Helena przyciskała dłoń do czoła.

— Cicho! cicho! jęczała, nie krzyczcie tylko, moi drodzy! Oj głowa moja... głowa! Takeście mię przelękli! Któż tak nagle i z ha-

łasem wpada do domu! Czyż nigdy nie zdołam wyuczyć was przyzwoitszéj maniery!

Najlżejszéj uwagi nie zwracając ani na jękliwą mowę matki, ani na obecność w mieszkaniu obcéj kobiéty, dwaj chłopcy wprost z progu, popychając się i uderzając wzajem łokciami, rzucili się ku szafce, z za popękanych szybek któréj widać było kilka talerzy i garnków. Otworzyli szafkę i ze stukiem przesuwać zaczęli naczynia, szukając czegoś w głębi garnków, za talerzami, na wszystkich pułkach, wszędzie.

— Niéma nic! zawołał starszy.

— Niéma nic! z rozpaczliwym ruchem ramion powtórzył młodszy.

— Otóż to! zaczął pierwszy, tak zawsze! człowiek przychodzi od pracy i kruszynki chléba w domu nie znajduje! Ucz się ślusarki, ucz i chyba majstrowe żelazo z głodu gryź!

Młodszy chłopiec obie dłonie zatopił w rozczochranych, tak samo jasnych i złocistych jak u Klarki, włosach.

— Tak zawsze! płaczliwie skarżyć się zaczął, kiedy ojca niema to i jedzenia niéma! Mama wszystko sama zjé, zjé albo książek sobie nakupuje a dla nas figa! Tomaszek Ambrożowéj szczęśliwszy, bo mu matka codzień *taki* kawałek chléba i kartofli da.. i Antka szczęśliwsza, bo zawsze *taki* cokolwiek wyżebrze...

Z piersi Heleny wyrwało się głębokie westchnienie.

— O! jak mię te dzieci męczą! Zabijają mię! a jakie niesprawiedliwe! Cóż ja dziś jadłam? Obiadu z garkuchni sprowadzić nie było za co!.. Hilary co miał to wziął z sobą... Bułkę jednę zjadłam i pół szklanki skwaśniałego mléka wypiłam... A one mi wymówki robią, że im wszystko zjadłam...

Kilka łez pociekło po chudych policzkach jéj, blade wargi jéj drżały, a oczy, z za łez, z chciwą niecierpliwością zaglądały pomiędzy kartki trzymanéj w ręku książki. Placyda, z pełną smutku twarzą, skinęła na chłopców aby przybliżyli się. Ani myśleli posłusznymi być jéj skinieniu; lecz gdy tylko sięgnęła do kieszeni, wnet ku niéj obaj poskoczyli. Kiedy stanęli przy stole, na którym dopalał się ogarek świecy, można było rozpoznać, że mieli twarze roztropne i ładne. Zrenice starszego posiadały szczególną ruchliwość, biegały wciąż i błyskały jakby nieustannym niepokojem, czy ciekawością, czy jeszcze pożądliwóścą jakąś poruszane. W wyrazie twarzy młodszego, panowało przeciwnie zadąsanie ponure. Ręce podnosił wciąż ku głowie i zatapiał w rozczochranych włosach, usta wydymał i w ziemię patrzał.

Placyda, wyjęła z małéj portmonetki srebrny pieniążek i podając go starszemu chłopcu, rzekła łagodnie.

— Idźcie do garkuchni i kupcie sobie za to wieczerzę!

Oczy obu chłopcu błysnęły i ożywiły się. Po twarzy starszego przeleciał jakiś chytry, skośny uśmieszek. Uczynili obaj poruszenie do ukłonu podobne i już odbiedz mieli, gdy Lirska wahającym się głosem wymówiła.

— Zaczekajcie moje dzieci, zaczekajcie jeszcze trochę!

Stanęli ale nogi drżały im od niecierpliwości.

— Moja Helenko! zcicha zaczęła kobiéta, ponieważ oni zwykle tam chodzą... to już może wszystko jedno... może poślesz Damcia żeby zobaczył że... że mego Morysia tam niéma...

Powolnym, pełnym znudzenia ruchem Helena zwróciła głowę w stronę dzieci.

— Damek! rzekła osłabionym głosem, idź do handlu... poproś ojca żeby wracał do domu i razém zobacz czy tam jest p. Maurycy Lirski... znasz go przecież? syn pani...

— Czemu go znać niémam! zaczął Damek, lecz Miś przerwał mu wykrzykiem.

— Jest, jest pewno! już ja go tam raz widział...

— Kłamiesz, moje dziecko, drżącym głosem zaczęła niemłoda kobiéta, bardzo to niepięknie kłamać... on tam nigdy do tego czasu nie był, ale dziś za interesem pójść miał, a ja chcę dowiedziéć się czy jeszcze jest i czy mię do domu odprowadzi! Damciu! tyś starszy... nie skłamiesz! idź, zobacz i wróć zaraz żeby mi powiedziéć!...

— Idę! krzyknął Damek.

— I ja idę! głośniéj jeszcze powtórzył Miś.

Wyrzucając nogami i chichocąc, wybiegli z pokoju.

— Powróć tylko zaraz i powiedz! rzuciła za nimi Placyda.

— Przylecę, przylecę i oznajmię, odrzucił jéj z za drzwi już Damek.

Kobiéty znowu zostały same. Helena milczała i patrzała w książkę. Placyda z oczami wlepionemi w ziemię i rękami silnie przyciśniętemi do piersi, kołysała się z lekka w obie strony. Bledszą była niż przed chwilą. Parę razy w zamyśleniu szepnęła.

— Ot do czego przyszło! do czego przyszło!...

A potém.

— Pewno nie! pewno nie! plotki!

Po chwili rozwarły się drzwi od wschodów i w ciemności głos Damka rozbrzmiał tak donośnie, jak gdyby wołał do kogoś niezmiernie oddalonego.

— Jest, jest! w bilard gra i bardzo perfumami pachnie!

Drzwi zamknęły się ze stukiem, Placyda zerwała się z krzesła i obie dłonie do schylonéj głowy podniosła.

— Co mnie teraz robić? szeptać zaczęła, co robić? Czy iść tam i prosić go... błagać... aby wyszedł... czy jutro dopiéro powiedziéć... czy udać że nie wiem! Oj dziecko moje, biedne dziecko! co Tytus powié jeżeli mu kto doniesie! co mój najdroższy Wincenty czuje jeśli z tamtego świata widzi...

Szepcąc tak, drżącemi dłońmi zbierała z kulawych stołków okrycie swe, kapturek, woalkę i inne części jesiennego ubrania.

Stanęła na środku pokoju; heroiczne jakieś postanowienie odmalowało się na wzburzonéj jéj twarzy.

— Pójdę, rzekła, pójdę i wyprowadzę go stamtąd... to co że szynk?... O, Boże mój! jak żyję nigdy noga moja... w takich miejscach...

Zalała się łzami i postąpiła ku drzwiom. Stanęła jednak znowu.

— Rozgniewa się... zaczęła, powié że szpieguję go, dręczę, życie mu zatruwam... Biedne dziecko! smutne życie ma! to prawda! lepiéj może jutro powiem... uklęknę przed nim... błagać będę... a teraz tylko przez okna zajrzę, choć przez szczeliny... może to jeszcze nieprawda!...

Wyszła, we wzburzeniu swém zapominając o pożegnaniu się z gospodynią domu. Lecz Helena bynajmniéj tego nie spostrzegła. Od chwili w któréj po odejściu dzieci w pokoju zrobiła się cisza, a Placyda mówić do niéj przestała, całą duszą utonęła w czytaniu. Nie słyszała ani wykrzyku Damka oznajmującego o bytności w szynku Morysia Lirskiego, nie widziała rozpaczy, wahań się i odejścia towarzyszki. Oderwała oczy od kart wtedy tylko, gdy dopalająca się już ze szczętem świeca, poczęła buchać z głębi załojonego lichtarza jaskrawym płomieniem, to znowu przygasać tak, że na karty książki spadała ciemność zupełna. Wtedy, wstała z szezląga i poszła ku komodzie stojącéj przy odległéj ścianie. Kibić jéj była wysmukła i zgrabna, ruchy nerwowe i nierówne. Odsunęła szufladę, wyjęła z niéj połowę stearynowéj świecy, którą śpiesząc się wciąż bardzo, jako tako wprawiła w lichtarz i postawiła na małym, brudnym i chwiejącym się stole. Potém, ułożyła się wygodnie na szezlągu, głowę wspierając na poduszce sianem wypchanéj i znowu czytać zaczęła.

Teraz, w wielkich, wysokich, nagich pokojach zapanowała cisza grobowa. Od czasu do czasu tylko wiatr lecący ze wschodów i korytarza postukiwał zlekka źle zamykającemi się drzwiami, a pod sufitem monotonnie brzęczała mucha, w pajęczynie uwięziona. Leżąca na szezlągu kobiéta, drżącemi palcami przewracała kartki ma-

łéj książeczki, będącéj 12-tym tomem jakiegoś nieskończenie długiego romansu, w którym tłumem wielkim roili się książęta i złoczyńcy, wielkie panie i upadłe kobiéty, salony i otchłanie, bohatérstwa i zbrodnie, szały, rozkosze i męki miłosne. Czytała, pochłaniała to wszystko całą pełnią zapadłéj swéj piersi, całą siłą mózgu zamkniętego w małéj, kształtnéj głowie, czytała wciąż a coraz prędzéj i łakomiéj. Zapadłe policzki jéj zarumieniły się, błękitne źrenice rozgorzały, bujne, jasne włosy rozsypały się po poduszce i szezlągu. Machinalnie, tak, jakby ją coś dławiło, zdarła z ramion swych różową chusteczkę i rozpięła u szyi kilka guzików stanika. Wtedy rozgorączkowana i bezładna powierzchowność, czyniła ją podobną do kobiéty pijanéj lub nierządnicy, wyprawującéj orgie w krainach wyobraźni.

II.

Z katarynką swą na plecach, Sylwek zaledwie przecisnąć się zdołał przez wązkie drzwiczki, które znajdowały się od strony zaułka, obok okna zastawionego z wewnątrz butelkami. Za drzwiczkami temi i za tém oknem był sklepik malutki, ściany którego znikały za rzędami ułożonych i ustawionych na pułkach cygar, papiérosów, pudełek różnego kształtu i różnéj wielkości, lecz które wszystkie posiadały pozór zwilgocony, stary i stęchły. W pobliżu jednéj ze ścian umieszczonym był stół, długością swą bufet naśladujący, a na nim oprócz gromady różnokształtnych butelek, zieleniały w glinianych misach kwaszone ogórki, leżały na powyszczerbianych talerzach najpośledniejszego gatunku śledzie, piętrzyły się bułki, obwarzanki, żółte pierniki i zczerniałe od pyłu i czerstwości séry. Za bufetem, przechadzał się żyd, do którego brodatéj twarzy przyrosły jakby czujna ostrożność i udaną powagą maskowana trwoga, i stały lub siedziały dwie niedorosłe dziewczyny żydowskie, z rozczochranemi włosami i zaspanym, apatycznym wzrokiem.

Sylwek, zdjął z pleców katarynkę, umieścił ją na stołku i skinieniem głowy witając gospodarza miejsca tego, zapytał.

— Potrzebny wam będę dziś czy nie?

— Albo ja wiem, obojętnie odpowiedział szynkarz, idźcie tam, to zobaczycie czy ochotnicy będą albo nie będą! Gości dość chwała Bogu... może i muzyka przyda się...

Sylwek postąpił ku znajdującym się w głębi sklepiku drzwiczkom niskim, węższym jeszcze od poprzedzających a których gór-

na połowa, z dwu szyb szklannych złożona, okryta była z przeciwnéj strony ciemną zasłoną.

Był tak wysoki, że schylić się musiał nieco aby przejść przez drzwiczki te, w głąb domostwa prowadzące. Gdy tylko otworzył je, buchnęły przez nie do sklepiku fale gwaru i kłęby dymu. Dymu tego pochodzącego od palonych, najpośledniejszych gatunków tytuniu, za drzwiczkami temi było tak wiele, że zrazu, znajdujące się pośród niego przedmioty i osoby, wydawać się mogły gromadą niewyraźnych widm. Po chwili jednak, oko przyzwyczajało się do gęstéj i cuchnącéj mgły téj i rozpoznać mogło izbę dość obszerną, z brudną podłogą i nizkim belkowanym sufitem, z okopconemi ścianami u których świeciły dwa zapłakane kinkiety. Pośrodku izby stał bilard, którego sukno, od starości i plam, z zielonego stało się brunatném, a dokoła którego stało i chodziło kilku ludzi najbardziéj do widm podobnych, bo mgła tytuniowa coraz nowemi kłębami dymu wzmagana, w miejscu tém najgęstszą była, tak gęstą, że aż z szarości przechodziła w żółtość. Za bilardem, można było rozpoznać drzwi na oścież otwarte, a za niemi jedną jeszcze izbę, niewielką, pustą zupełnie i oświetloną przez żółtą łojową świeczkę, palącą się w mosiężnym lichtarzyku, na beczce, z któréj rozchodził się i z dymem tytuniu łączył, zapach kwaszonéj kapusty. U ścian bilardowéj izby, pod zapłakaném światłem kinkietów, stało parę ławek i kilka stołków i stołów. Na jednéj z ławek tych, najbliżéj kinkietu więc lepiéj od innych oświetlonéj, siedział człowiek średniego wzrostu, barczysty choć chudy, z siwiejącemi, krótko przystrzyżonemi włosy, z twarzą dużą, bez zarostu, jednostajnie bladą a w okolicach oczu i ust nabrzękłą. Siedział on w postawie wielce zaniedbanéj, bo górna część ociężałego ciała jego leżała prawie na stole, który pokrytym był taką grubą warstwą rozlewanych nań wciąż i samoistnie wysychających płynów, że przedmiot każdy położony na nim przyklejał się do jego powierzchni. Ze wskazującym palcem w górę wzniesionym, z ogłupiałym uśmiechem na obrzękłych wargach, człowiek ten monotonnym i nakształt strumienia nieustannie ciekącym głosem prawił.

— Mówię wam, że źle jest na świecie! Ludzie ludźmi jak gałkami rzucają! Stanąłeś gdzieś, wrosłeś w ziemię, skopałeś ją własnemi rękami w pocie czoła, tak, tak, w pocie czoła, bo nie zawsze przecież człowiek hultajem był i pijakiem, ale kiedyś pracował porządnie i myślał sobie: tu stoję, tu żyję, tu pracuję, panie mój łaskawy, tu tedy i daléj żyć będę z familią moją! Aż to nie! Idź precz! mówią! Za co: precz? dla czego: precz? po co: precz? czy ja próżniak jestem? albo złodziéj? albo rozpustnik jaki? Broń Boże! Całe miasto świadkiem, jaki z Hilarego Szarskiego urzędnik był. Do bióra cho-

dził punk...tu...al...nie, czynność swoję znał, panie mój łaskawy, jak swoje własne sumienie, nikomu nic złego nie robił, broń Boże! Idź precz! za cóż precz? Dokąd precz? z familią! na bruk! bez grosza!... ot panie mój łaskawy i krzywda! i potoczyła się gałka po bruku... i zatoczyła się tu, ot, do Chaimka... Co robić? kwatery drogie... dzieciom jeść trzeba... i żonce... Chaimek pod bokiem a w piersiach rana, jak zalejesz ją to nie tak boli... Mówią: na wojnie strzelają i bagnetami kolą... straszno! ot nie tak straszno jak krzywdę w piersiach mieć... pali panie mój łaskawy, kole, boli... Co to krzywda! to zabójstwo panie, to trucizna, od tego ręce człowiekowi opadają a krew zamienia się w żółć... Patrzysz na siebie i nie wiesz: czy to ten sam człowiek co był, czy nie ten sam? Naturalnie że nie ten sam, bo to krzywda na dwóch nogach chodząca i do Pana Boga o pomstę wołająca... Pan Bóg wysoko, ale dla tego można do niego dojść, czemu nie? można... tylko trzeba się na siłach wzmódz... ot!

Drżącą, żółtą ręką ujął stojącą przed nim butelkę, napełnił wódką sporą cynową czarkę i wychylił ją do dna.

— Ot tak! zawołało przy bilardzie głosów kilka, Szarski już wzmógł się na siły, zaraz do Pana Boga po drabinie polezie!

Szarski pięścią w stół uderzył, szare źrenice jego zaiskrzyły się z pod obrzękłych powiek.

— Polazę! krzyknął, jak Pana Boga kocham! jeszcze tylko troszeczkę na siłach wzmogę się i polazę... raz nie dojdę, drugi raz nie dojdę, a dziesiąty raz dojdę, do samego nieba dojdę. Przed Pana Boga apelacyą zaniosę i poproszę żeby mnie jaką radę dali co do moich dzieci... Troje dzieci... Było czworo, teraz troje. Co ja im poradzę... czém ja je obdarzyć mogę... Serce chyba swoje wyjmę i powiem: jedźcie! Krew swoję wytoczę i powiem: pijcie!

Podniósł dłoń do oczu, wykrzywił usta i płakał.

— Aha! panie Szarski! prawdę mówisz! niéma sprawiedliwości na świecie! Krzywda na prawo, krzywda na lewo! wszędzie krzywda!

Słowa te wymówił nad samą głową rozpłakanego pijaka głos młodzieńczy, w którym wesoła żartobliwość mięszała się z goryczą. Szarski odjął dłoń od oczu.

— Prawda, panie Sylwestrze! prawda! ot rozumnym człowiekiem jesteś... a za pozwoleniem, te durnie, śmieją się tylko ze mnie... Z czego tu śmiać się? Z biédy ludzkiéj? ze wstydu ludzkiego? z krzywdy ciężkiéj? Ale zwyczajnie...

Tu zniżył głos i z tajemniczą poufałością szeptać zaczął.

— Czego od nich wymagać? ludzie prości, nieokrzesani, ciemni... to motłoch... Ja to co innego i... ty co innego... my tu pomiędzy nimi... panowie... cywilizacya...

Sylwek uśmiechnął się.

— Pan to wypadkiem tutaj, rzekł, przez tę niby krzywdę... ale ja... czém ja inny? Ulica moja matka a szynk moja szkoła... Czém ja inny?

Z sarkastycznego uśmiechu, który podniósł nieco zwierzchnią wargę jego, poznać można było, że pomimo przeciwnego twierdzenia, czuł się istotnie czemś „inném" niż byli ludzie ci, po których przesuwały się błyszczące jego oczy. Na jednym z ludzi tylko zatrzymał nagle wzrok i przypatrywać się mu zaczął ze szczególną uwagą, która wkrótce zmieniła się w zdziwienie a potém w radość.

Człowiekiem, któremu Sylwek przypatrywał się z tak różnemi uczuciami, był dwudziestoletni, wysmukły i zgrabny chłopak, powierzchowność którego wyróżniała się w sposób szczególny z pomiędzy otaczających go postaci. Cerę twarzy miał bardzo delikatną choć czerwonawą, złotawo rude, starannie utrefione, włosy i białe wypieszczone ręce. Ubiór jego był skromnym, takim jednak jaki noszą zwykle ludzie należący do wyższych sfer towarzyskich. Być może, iż w zamiarze udania się do miejsca tego, przywdział najmniéj wytworną i najmniéj nową swą odzież, a jednak pośród wyszarzanych surdutów, poplamionych bluz i bezkształtnych spencerów, które go otaczały, wyglądał na wystrojonego panicza. Cała powierzchowność jego, nie będąc brzydką, miała w sobie coś lalkowatego i wymuskanego. Od czasu do czasu, wydobywał z bocznéj kieszeni surduta cienką chusteczkę, od któréj rozchodził się tak silny zapach perfumy, że przez chwilę czuć go było nawet pośród zaduchy złożonéj z tytuniowego dymu, i ziejącego z przyległéj izby smrodu kapusty. Grał w bilard. Partenerem jego był młody wyrobnik mularski czy młynarski, w fartuchu ubielonym mąką czy wapnem, trzeźwy zupełnie i wyglądający na pracowitego chłopca, szukającego tu tylko chwili rozrywki. Widzów zaś spoglądających na zapasy graczy było kilku; z gwarem, ze śmiechami, paląc fajki na krótkich cybuszkach, pijąc wódkę i zagryzając ją kwaszonemi ogórkami, czynili oni nad grą i grającymi grubiańskie niekiedy, niekiedy zaś złośliwe uwagi. Złośliwość zwykłych gości miejsca tego, obudzaną była przez widok wymuskanego i perfumami pachnącego panicza. Był on tu widocznie intruzem, obudzającym podejrzliwą i złośliwą ciekawość. Jednak, badawcze i ciekawe spojrzenia a także rubaszne i krzykliwe naigrawania się, których był celem, nie zdawały się go wcale obchodzić. Czuł się znać o tyle wyższym nad otaczający go gmin, że nic z tego co odeń pochodziło obrazić go nie mogło. Przyszedł tu ażeby grać... Dla czego nie poszedł gdzieindziéj, w miejsce odpowiedniejsze przyzwyczajeniom i gustom swoim? była to jego ta-

jemnica. Przyszedł tu ażeby grać, być może dla tego także aby porozumiéć się z młodą dziewczyną, któréj ładna choć znużona twarz, świeciła z kąta izby bezczelnemi oczami. Spoglądał na nią od czasu do czasu i przesyłał ku niéj tajemnicze znaki porozumienia, lecz po krótkich roztargnieniach tych oddawał się znowu grze bilardowéj z zaciętością i hazardownością, zdradzającą namiętnego gracza. Dwie partye wygrał; wyrobnik w ubielonym fartuchu położył na brzegu bilardu małą monetę srebrną, a gdy widzowie objawiali mu swe współczucie, z wesołą niedbałością zawołał.

— Co tam! jutro zarobię znowu!

— Nie, odegraj się! zawołało głosów parę, odegraj się, Franek! Rewanż! Panicz przecież rewanż ci dać powinien! Alboż to ładnie paniczowi takiemu grosz biednego człowieka z szynku wynosić! Panicz tu wypadkiem! przegra ci jeszcze tyle, że garniec spirytusu nam postawisz...

— Rewanż! zawołał młody człowiek, którego Paniczem nazywano i niespokojnie oglądając się ku dziewczynie, którą obdartus jakiś, trzymający w ręku zatłuszczony banknot rublowy, do sklepiku prowadził, pochwycił znowu kij bilardowy. W tém, ciemna i zgrubiała lecz uderzająco kształtna ręka, silnie uderzyła go po ramieniu.

— Przecież, choć raz cię złapałem, bratku! zawołał tuż za plecami jego Sylwek. Młody człowiek drgnął i odwrócił się.

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w twarze.

— Pamiętasz? wymówił Sylwek, a wargi mu drżały i śmiechem i zarazem gniewem. Widać było, że pusta wesołość walczyła w nim z głuchą złością. Złość przemogła.

— Dawno już mam ja cię na oku, wiem nawet gdzie ze swoją mamunią mieszkasz i jak się nazywasz... tylko że nigdy jakoś pod rękę mi nie wpadłeś! Pamiętasz pierścionek mój ze szmaragdem... teraz już wiem jak się ten kamień nazywał i ile był wart! Tęgo okpiłeś mię wtedy... mądry z ciebie ptaszek!... ale teraz zapłać! Tu, w tym momencie, zapłać coś winien! oddaj coś skradł!

Obiema już teraz dłońmi trzymał Maurycego Lirskiego za ramiona, i trząsł nim jak słabą i cienką płonką. Maurycy bladł i czerwieniał naprzemian. Trwoga i gniew wstrząsały twarzą jego.

— Czego chcesz odemnie... puść... to nie ja... kto inny... ja nigdy cię nie widziałem... wyjąkał.

— Ale! krzyknął Sylwek, czy i wtedy także mnie nie widziałeś, kiedyś wujaszkowi swemu mówił, że mi za dużo pieniędzy daje! Kpię ja sobie z wujaszka twego, wielkiego pana i jego pieniędzy, ale ty... płać coś winien! To moja własność była! jabym sobie za to los może zrobił! Do szkoły bym się wkupił, i lepiéj z niéj skorzystał jak

ty, którego wujaszek edukował, edukował i wyedukował na to abyś tak jak i ja po szynkach chodził!...

Z wyjątkiem Szarskiego, który na nic nie zważając i nic nie słysząc, monotonnym i coraz tylko bełkotliwszym głosem prawił wciąż swoje, wszyscy goście szynkowi skupili się dokoła dwóch młodych ludzi. Zanosiło się na burdę, może nawet na coś więcéj. Ciekawość i tajemne zadowolenie malowały się na wszystkich prawie twarzach, wszelki bowiem spór, wszelka wrzawa, były w miejscu tem żywiołami rozrywki, podniety i zajęcia, tak jak dla miejsc i ludzi innych, są niemi teatralne przedstawienia, przemówienia publiczne lub wielkie zbiorowe sceny, w których rozgrywają się dramaty namiętności interesów ludzkich. Gradem ze wszech stron posypały się pytania, wykrzyki i śmiechy.

— Trzymajcie go, żeby nie uciekł! opowiem wszystko! zawołał Sylwek.

Ujęto Lirskiego za ramiona i łokcie tak że się poruszyć nie mógł i tylko od chwili do chwili syczał z bólu i strachu, Sylwek zaś, odskoczył w tył kroków kilka i opowiadać zaczął przygodę swą, która od lat dziecinnych cierniem tkwiła mu w sercu. Po chwili, opowiadanie to przybrało istotnie pozór teatralnego przedstawienia, opowiadający bowiem posiadał żywość i wrażliwość człowieka dzikiego, który nietylko wzruszeń swych i sposobów ich wyrażania opanowywać nie umié, ale nawet o jakiemkolwiek panowaniu nad sobą nie wié i nie pomyślał nigdy. Śniade policzki jego rozgorzały, czarne oczy zapaliły się ponuro i groźnie, dwa rzędy białych zębów błyskały co chwilę z pod czarnego puchu tylko co rodzącego się wąsa, rzucając mu na twarz całą, wyraz dzikiéj żądzy łupu czy zemsty. Odzież jego złożona z bluzy któréj materyał naśladował aksamit, z rzemiennego pasa, grubych butów sięgających do kolan i jaskrawo czerwonéj chustki około szyi okręconéj, uwydatniała wybornie gibkość jego ciała i ciemny a ognisty koloryt twarzy. Mówił prędko; mowę swą popierając mimiką i gestykulacyą, które pomimo żywości a nawet gwałtowności swéj, posiadały artystyczną plastykę i zgodę.

Audytoryum nie dosłuchało końca opowiadania, lecz zrozumiawszy zaledwie o co rzecz szła, zawrzało krzykiem, śmiechami, groźbami. Lirskiego ściskano coraz więcéj, wołano, że słusznem jest aby panicz taki biednemu człowiekowi zwrócił to co mu ukradł, że jeśli niema przy sobie piéniędzy oddać powinien zégarek, surdut, paltot i nawet tę chusteczkę co tak ślicznie pachnie. Lirski, drżał już teraz od stóp do głowy, zęby dzwoniły mu z przestrachu lecz pomimo najwyższéj trwogi, w oczach wpatrzonych w Sylwka wrzała niena-

wiść. Nakoniec, uczuwszy rękę jakąś, która do piersi po zegarek mu sięgała, krzyknął. Ratujcie!

Na krzyk ten, ze drzwi sklepiku wypadł z impetem wielkim gospodarz miejsca tego i z krzykiem, z załamywaniem rąk błagać zaczął gości swych o upamiętanie i uciszenie się.

— Kryminał! wołał, kryminał będzie! mnie najgorsza bieda! Zakład mój zamkną! kryminał!

Na dźwięk wyrazu: kryminał, kilku się opamiętało. Wyrobnik mularski, który przed chwilą grał w bilard z Lirskim, wcisnął na głowę ubieloną czapkę i wybiegł przez sklepik, w zaułek; brodaty siwiejący mężczyzna w dorożkarskiém ubraniu, cofnął się ku ścianie i uśmiechając się już tylko cmokać zaczął znowu krótką fajeczkę, dwaj robotnicy fabryczni w sinych bluzach, odstąpili od gromady i wahali się pomiędzy obawą, która ich ku odejściu popychała, a odpychającą ich od drzwi ciekawością. Cała gromada jednak, z mężczyzn wpółpijanych i rozszalałych, z rozchichotanych kobiét złożona, pchała się ku pustéj izbie ostatniéj, instynktowo jakby, oddalając się od ulicy, a sunąc w głąb przepaścisto-szyjowatego dziedzińca. W głębi bałwaniącéj się téj kupy pleców i głów ludzkich, Lirski zniknął, a z zaniéj widać było skaczącą i śpiczastą brodę i rozpacznie gestykulujące suche ramiona gospodarza; zewnątrz niéj nakoniec Sylwek stał plecami do ściany przyparty, w akcyi udziału nie biorąc, lecz rozpaloném okiem ścigając ją ciekawie.

Wszyscy, oprócz tego który zajścia piérwszym był powodem, lecz ze skaczącym wciąż i gestykulującym gospodarzem włącznie, wepchnęli się do pustéj izby, gdzie przez chwilę jeszcze klębiły się i huczały tupania kilkunastu par nóg, grube śmiechy, piskliwe chichotania, zawzięte, urywane krzyki, aż nakoniec z trzaskiem otworzyły się drzwi od dziedzińca, słychać było upadanie na bruk jakiegoś wypychanego przez nie ciała i gromada cała, rozsypana już na kilkanaście jednostek, do izby bilardowéj wróciła. Obdartus ów który przed półgodziną częstował w sklepiku ładną dziewczynę, niósł na ramieniu surdut, w rękach dziewczyny zaś połyskiwał srebrny zégarek ze złotym czy może pozłacanym łańcuszkiem, ktoś inny wywijał nad głową parą eleganckich, błyszczących bucików, a stara kobiéta, najdokładniéj powiérzchownością swą przypominająca legendowe czarownice, do rozbrzękłego i szkarłatnego nosa przyciskała cienką, pachnącą chusteczkę.

— A grosze? grosze? czy groszy nie było? zabrzmiało chóralne pytanie.

Nikt nie widział, że wytworny, mały pugilaresik pochwyconym był przez jakąś grubą zczerniałą rękę i do kieszeni płóciennych spo-

dni wsuniętym. Wartość jego była bardzo niewielką lecz pozór błyszczący. Zczerniała ręka, która go pochwyciła z błyskawiczną szybkością obejrzała jego wnętrze, ubogie, bo kilkanaście zaledwie drobnych monet srebrnych zawierające.

— Groszy niema, ale czy biédy nam tu wszystkim nie będzie? zapytał ktoś z tłumu. Skarżyć się może pójdzie! policyą sprowadzi!

W odpowiedź rozległy się śmiechy.

— Ho! ho! albo to on przyzna się że tu był! A wstyd i hańba! Nikomu nie powié, dopóki żywy! Pewno!

Rzeczy zdobyte na Maurycym Lirskim, bezładnie rzucone leżały na bilardzie. Zwrócono się do Sylwka.

— Hej Cmentarnik! rozległo się wołanie, bierz co twoje a nam zostaw co łaska albo za fatygę naszą garniec spirytusu nam postaw. Odebraliśmy co do ciebie należało bez procesu i sądu... co robić! Dla kompanii dał się cygan powiesić! Ręka rękę myje! Bierzże za swój pierścionek nas utraktuj! słyszysz!

Sylwek postąpił ku bilardowi i wyciągnął rękę po zégarek ze złotym łańcuszkiem, lecz nagle cofnął ją. Na twarz jego wytrysnął wyraz obrzydzenia, błyskawica dumy czy urągowiska strzeliła mu z oczu. Było to wewnętrzne drgnienie instynktu jakiegoś, wręcz przeciwnego ogólnemu usposobieniu jego i otoczeniu śród którego się znajdował. Podniósł głowę, ręce założył za plecy i z niedbałą wzgardliwością wymówił.

— Nie warto w tem nawet palców umoczyć. To mi bogactwo wielkie! Żeby człowiek mógł sobie przez to los zrobić, to jeszcze! ale.. łachmany jakieś zdarte z czyichś pleców... obrzydliwość!

Wyszedł do przyległéj pustéj izby, siadł na nizkim pieńku stojącym pod ścianą a do rąbania mięsa przeznaczonym, i z łokciami na kolanach opartemi, nadąsaną twarz odwrócił od szumiącéj wciąż dokoła bilardu gromady.

W gromadzie, po złośliwych śmiechach i uwagach, które wywołała duma przez Cmentarnika okazana, nastąpiło dzielenie się łupami; niejedna pięść opuściła się ciężko na niejedne plecy, niejednokrotnie nakształt kipiątku wytryskującego z garnka, buchała z gardeł ludzkich wrzawa przekleństw i łajań; kobiéty usiłowały godzić zwaśnionych mężczyzn, stojąc pomiędzy nimi z rozkrzyżowanemi ramiony i przeraźliwiéj jeszcze od nich krzycząc; stara kobiéta do pianéj wiedźmy podobna, w celu zapewne uczynienia stanowczéj dywersyi, ochrypłym głosem zawiodła hulacką piosenkę, nad chwiejącą się głową swą w takt powiewając cienką wyperfumowaną chustką Lirskiego. I znowu, śród całego zamętu tego i całéj téj wrzawy, jeden tylko Szarski obcym był najzupełniéj wszystkiemu co się

dokoła niego działo i stawało. Rozparty na lipkim stole po którym ciekł strumyk rozlanego przed chwilą trunku, wpółsenne oczy swe wlepiał on w tkwiący u przeciwległéj ściany zapłakany kinkiet, i od chwili do chwili wyciągając ku niemu wskazujący palec, czynił mu monotonne, wiekuistym zda się a leniwym potomkiem ciekące zwierzenia.

— Kobiéta, prawił, to panie mój łaskawy, bardzo ważna rzecz! Wóz albo przewóz! Anioł albo Szatan! Gospodynię w domu człowiekowi trzeba mieć, matkę dzieciom i przyjaciółkę dośmiertną. Otworzysz przed nią serce, pożalisz się.. lżéj! Dobrze to dobrze, źle to źle, a my sobie zawsze przyjaciele i pomocnicy. Ale kiedy żonka kiepska to już biedny człecze, zgiń i przepadaj! Nieszczęście spadło, skrzywdzili człowieka, zmarnowali a ona jeszcze gryzie! ja do tego stworzona a do tego nie stworzona! ja tak i tak urodziłam się! ja z takich a takich rodziców! ja młoda! ja piękna! ja chorowita! ja delikatna! ja i ja! a wszystko do tego: jak ja urodziłam się i kim ja byłam! Ot, kim byłam! majątek taki był, panie mój łaskawy, że jak pies położył się to mu ogon na cudzéj ziemi leżał! A teraz wszystko wyrosło! Het! pałace... karety... książęta... wielkości! Nie widziałem! nie widziałem! żebym widział tobym nie wziął! Kamień do szyi, panie mój łaskawy, kamień do szyi i powiesić się! Klarki szkoda! ostatni mój moment szczęśliwy... Do Pana Boga na skargę... apelacyą podam przeciw krzywdzie... apelacyą do... najwyższéj... ins...tan...cyi..

Obrzękłe powieki opadały mu na senne źrenice; wysilał się by je roztwierać i wpółżałośne, wpółmiodowe spojrzenia rzucał wciąż na kinkiet, który z za opony brudnego dymu, mrugał ku niemu płomykiem dogorywającym w załzawioném szkle. W téj saméj chwili, pod światło to mrugające i łzawe, z łona gromady ludzkiéj dokoła bilardu hałasującéj, wysunęli się dwaj mali chłopcy, z których jeden, w podartem obuwiu, ogryzał aż do kości śledzia ociekającego gęstym płynem, drugi, bosy, pełną garścią zajadał czarny i lipki przysmak, z miodu i maku złożony. Zajadali i przyglądali się wrzącemu w izbie tłumowi to z powagą i ciekawością wielką, to z głośnemi wybuchami śmiechu. W powierzchowności ich było kilka cech uderzających. Starszy, w czapce nasuniętéj aż prawie na oczy, miał wzrok dziwnie a przykro ruchliwy i uszy czerwone, a tak długie, jak gdyby ktoś umyślnie a bardzo często zajmował się wyciąganiem ich i wydłużaniem. Młodszy, z jasnemi, bujnemi włosy opadającemi dokoła okrągłéj twarzy, wyglądał na wygłodzonego i zadąsanego Cherubina.

Kiedy dzieci te zjawiły się pośród szczupłego pola widzenia, ogarnianego przez usypiający wzrok Szarskiego, stało się z nim tak,

jak gdyby mu nagle wiadro zimnéj wody na pijaną głowę wylano. Roztworzył szeroko oczy, dźwignął się z nad stołu, obrzękła twarz jego oprzytomniała i tylko wielkie żółte ręce silnie drżeć zaczęły.

— A! krzyknął, znów tutaj! znów... Obu rękami trzymając się za stół, podniósł się z ławy lecz zachwiał się i opadł na ławę znowu. Wyciągnął ramiona w stronę kinkietu i pod światłem jego stojących dzieci i przeraźliwym, z głębi piersi dobywającym się głosem krzyknął.

— Weźcie... wypędźcie... wyrzućcie... ratujcie!

Wraz z ostatnim wyrazem zsunął się z ławy na ziemię i zniknął za stołem. Krzyku jego nikt nie usłyszał lub nie zrozumiał; nie słyszeli go też dwaj chłopcy, których uwagę całą pochłonęły kule, zaczynające znowu toczyć się i stukać po brunatnem od plam i starości suknie bilardu.

Sylwek tymczasem siedział wciąż na pieńku w pustéj izbie, samotny. Izba ta oprócz pieńka tego i beczki z kapustą na któréj paliła się łojówka, posiadała jeszcze piec z ogromnym czarnym otworem, w którego głębi rozlegało się głośne mruczenie śpiącego kota i dwoje drzwi z których jedne otwierały się wprost na dziedziniec. Za drugiemi drzwiami, wązkiemi i zamkniętemi, słychać było przez czas jakiś płacz dziecka i usiłujący utulić go szwargot niewieści. Potem, płacz ustał i szwargot umilkł a natomiast ozwały się miarowe uderzania o podłogę biegunów kołyski, i powlekł się przyciszony i leniwy, uderzeniom biegunów towarzyszący śpiew. Żona szynkarza, kołysaniem i śpiewem usypiała płaczące przed chwilą dziecko.

Sylwek profilem ku drzwiom zamkniętym zwrócony, siedział z głową pochyloną i brodą na dłoni opartą. Być może, iż matczyny śpiew ten, lejący się zwolna w pjany hałas tłuszczy, że perła ta, smętnie w téj otchłani dzwoniąca, przywiodły mu na pamięć srebrny głos złotowłoséj córki kowala, która niegdyś, za lat jego dziecinnych, śpiewała zawsze do snu najmłodszemu bratu.

Być może, iż odgłosy te opowiadające o czyichś ścianach rodzinnych, o jakichś dobrych dziecięcych dolach, prześladowały go nieustannie, spotykały go wszędzie, dla tego właśnie, że słuchać ich pragnął, że było w nim coś, co ucho jego ku nim zwracało. Co pewna, to że zasłuchał się w leniwéj i przyciszonéj pieśni matki żydówki, i we wtórujących jéj uderzeniach kołyski tak bardzo, iż twarz jego kipiąca przed chwilą życiem i ogniem, znieruchomiała tak jak gdyby była z bronzu wykuta. Przygasłe oczy jego tkwiły w ziemi, a na ciemném czole legły dwie groźne, ponure zmarszczki. Nie słyszał jak zcicha i zwolna otworzyły się drzwi od dziedzińca, i nie widział że wszedł przez nie człowiek niewielki i szczupły, w sukiennéj sier-

międze luźnéj i długiéj, w czapce z pod któréj widać było czerwonawą chustkę obwiązującą głowę jego w ten sposób, iż zakrywała mu całkiem uszy i dwoma ostremi końcami stérczała pod brodą. Wszedł i stanął w kącie izby, przy beczce, na któréj paliła się żółta świeczka. Wydobył z pod siermięgi skrzypce, oparł je na ramieniu i pociągnął smyczkiem po strunach. Wtedy dopiéro, Sylwek podniósł głowę i spojrzawszy na przybyłego, z groźnie zawsze zmarszczoném czołem, zawołał.

— Hej! a ty kto taki, że tu z muzyką przychodzisz! Myślisz może zarobek mnie odbierać! Ja tu gram zawsze a kto mi w drogę wlezie tego przez okno wyrzucę! Czy słyszysz?

Izba była tak słabo oświetloną, iż siedzącego u ściany Sylwka stojący u drzwi człowiek dostrzegać mógł zaledwie, niby nieokreślony, na ścianie rysujący się cień. Podniósł rękę ze smyczkiem i odezwał się.

— Niewiem kim jesteś, ty, co mię tak niegościnnie w miejscu tem witasz, ale głos twój wydaje mi się znajomym... tak jakbym go kiedyś słyszał.

Sylwek powstał.

— Niech mię djabli wezmą, zawołał, jeżeli ja także głosu tego gdzieś nie słyszałem. Któż ty taki?

Postąpił ku drzwiom, pochwycił z beczki świecę i przysunął ją pod samą twarz przybyłego. Była to biédna, wybladła pomarszczona twarz, z zaczerwienionemi oczami i ledwie widzialnemi usty. W oprawie czerwonawéj chustki i zmokłych, lniano płowych włosów wyglądała jak mizerny owoc, ze zżółkłą i pogarbioną skórą

— Nie znam i niewiem, rzekł Sylwek stawiając lichtarz ze świecą na beczce, i to tylko powiem żebyś wynosił się tam zkąd przyszedłeś, bo w tym *handlu* ja jestem muzykantem i chleba sobie odbierać nie dam! Świat szeroki! ruszaj dopókim dobry, bo jak rozgniewam się to i skrzypce twoje i ciebie samego na miazgę stłukę. Ot! czemuż nie wynosisz się jeszcze! guza szukasz?

Przybyły nie czynił najlżejszego poruszenia tylko oczami, które mętnie błękitniały z za czerwonych powiek, w mówiącego wpatrywał się jak w tęczę. Policzki jego kilka razy drgnęły nerwowo.

— Stój! zawołał i pospiesznie złożywszy skrzypce na beczce, obie ręce obronnym gestem wyciągnął, ku groźnie podnoszącym się nań ramionom Sylwka. Zaczekaj! pohamuj się! Nie krzywdź mnie, nie wiedząc kim jestem! Nie zawiniłem ci niczem! Byłem tu zeszłéj Niedzieli, grałem, zarobiłem kilka groszy a ciebie nie widziałem wcale i nikt mi za to nic nie powiedział. Teraz, kiedy spotkałem opór edojdę, pójdę gdzieindziéj, ale wprzódy muszę koniecznie do

wiedziéć się czy mię pamięć moja nie myli... czy nie jesteś synem Rozalii Klinównéj, Sylwkiem hodowanym przez cmentarnego stróża? Podobieństwo wielkie, niezmierne... oczy matki... głos ojca...

Sylwek złagodniał i z pewném już tylko zdziwieniem patrzał na przybyłego.

— A no tak, rzekł, Sylwek jestem, na *mogiłkach* wyhodowany, i w metryce mojéj stoi podobno napisana jakaś Rozalia Klinówna.. To i cóż? A tyś kto taki?

Przybyły smutnym głosem odpowiedział. Alboż ty mnie pamiętać możesz? byłeś taki mały, kiedyś mię widział! Nazywam się Szymon Kępa...

Sylwek ze zwykłą sobie żywością dokonał wesołego, iście akrobatycznego skoku.

— Kępa! zawołał, pan Kępa! poprawił się; a jaż pana tak często wspominał sobie i wypatrywał po ulicach i dziwił się, że pan tak już zupełnie zniknął z miasta! No, no! Co ja mam panu do powiedzenia! a o co ja pana będę pytać się! a o co prosić! strach!

Biedną twarz Kępy oblał uśmiech niewypowiedzianéj radości.

— Przecież! wyszeptał, jest na świecie choć jedna dusza ludzka, która mię wita przyjaźnie. I to jéj... jéj syn.

Z żywością któréj zaledwieby się można było spodziewać po zbiedzonéj jego postaci, rzucił się ku Sylwkowi, porwał go za ręce, potém za ramiona, głowę jego ku sobie przychylił i całował mu czoło, włosy i oczy. Rozpłakał się tak że załkał. Sylwka jednak pieszczoty te i ta okazana mu tkliwość, więcéj rozśmieszyły i zdziwiły niż rozczuliły.

— Co mię pan tak całujesz! e! dość już tego! albo to my pijane baby ażeby cmokać się z sobą ni z tego ni z owego! Ot gadaj mi pan lepiéj gdzie bywałeś, co porabiałeś i widziałeś na szerokim świecie, bom ja strasznie wszystkiego ciekawy a o panu myślałem zawsze, żeś bardzo mądry i wszystkiego nauczyć możesz! Ależ zestarzałeś się pan! no! pamiętam jakeś był u nas, tak jakby wczoraj. Zdaje się żeś sobie był jeszcze nie stary. A teraz! gdzie! Dziady kościelne lepiéj wyglądają!

— Koleje życia, dziecko moje! trzęsąc głową odpowiedział Kępa, ciężkie koleje życia! I z oddźwiękiem patetyczności w głosie dodał.

— Tak zawsze bywa z tymi, którzy poświęcają się dla ludzkości!

— I bogatym także chyba pan nie jesteś... rozpatrując się wciąż w postaci przybyłego ciągnął Sylwek. Czy to pan niemasz innego odzienia, żeby tak w siermiędze po mieście chodzić!

— Niemam, niemam! zkądżebym miał! ale mieć będę! oho! zobaczysz, moje dziecko! Będą mię jeszcze kiedyś ludzie karetami wozić, i wawrzynowe wieńce na głowę mi kłaść. Niech tylko dokończę wielkiego dzieła mego!...

Sylwek zaśmiał się na całe gardło.

— Oho! do karet panu bardzo jakoś daleko! Ale karetą czy wozem, zkąd pan tu teraz przyjechałeś? z daleka?

Twarz Kępy znowu zadrgała nerwowo. Uśmiechnął się gorzko i dumnie jakoś zarazem.

— Zkąd przybyłem? zaczął, któżby mógł zgadnąć? Przyszłe wieki słuchać będą o rzeczach podobnych jak o strasznym śnie ludzkości... tymczasem jednak dumny jestem, że dzielę losy Sokratesów, Dżiordanów, Galileuszów i wszystkich innych mężów wielkich... Sokratesowi otruć się kazano, Dżiordana spalono, Galileusza więziono... ja, dziecię moje, przybywam tu, z turmy!...

Sylwek obu rękami schwycił się za głowę.

— Aj! zawołał, to kiepsko!

Ale wnet dodał wesoło.

— No, no! nic to wielkiego! do turmy dostać się łatwo, za byle co... znałem bardzo dobrych chłopców, którzy tam siedzieli i siedzą... a dawnoż pana wypuścili?

— Pół roku temu; przyszedłem tu piechotą... dobrych mil 40-ci, po drodze grywałem w karczmach, ludkowi do tańca... a ludek nasz zacny, dobry... choć i drapieżnym bywa on czasem, jak ci o tem później opowiem, wynagradzał mię za to chlebem i groszem. Od trzech miesięcy jestem już tutaj, dostałem trochę roboty... stare obuwie naprawiam, ale że chciałbym sobie jaką taką surducinę sprawić, żeby mieć w czem za interesami swemi chodzić, postanowiłem jeszcze i smyczkiem coś zarabiać... Przeszłéj Niedzieli grałem tu a ciebie nie było.

— Przeszłéj Niedzieli siedziałem u Łukasza, w jego norze, bo mię chandra była napadła, a jak mię ona napadnie, to już mi wtedy wszelka ludzka twarz nieznośna. Ot, chodź pan! pójdziem do mojéj nory, to jest, do mojéj i do Łukasza, bo ja z Łukaszem mieszkam. Stary ucieszy się jak pana zobaczy...

— Nie, odpowiedział Kępa, z Łukaszem zobaczę się jutro albo kiedykolwiek... Chodź ty teraz do mego mieszkania... musimy bliżéj poznać się... a dla tego żebyś mię poznał, powinieneś dowiedzieć się o całem życiu mojem, kim byłem, kim jestem i kim będę jeszcze kiedyś! Codźmy!

— Dobrze! niech i tak będzie! Chodźmy! A gdzież pan mieszkasz?

— Niedaleko ztąd! w starych tych murach co tam u końca zaułka... wiesz?

— Żebym nie wiedział! Chciałbym mieć tyle dni szczęśliwych ile zimnych nocy tam przespałem... Chodźmy! Tamtędy! bo tam w sklepie katarynkę moją zostawiłem!

W bilardowéj izbie znacznie już ciszéj było i mniéj ludnie jak przed godziną. Niektórzy z bawiącéj się i hałasującéj tam gromady, opuścili ją całkiem, inni głęboko usypiali na ławach lub w pijaném rozmarzeniu bełkotali półgłosem i niewyraźnie. Bilard był opuszczonym, w zamian przy świetle jedynego kinkietu, który palił się jeszcze, trzéj czy czteréj ludzie, dokoła stołu siedząc, zatłuszczonemi kartami grali w *kiksa* czy w *pałki*. W sklepiku nie było już brodatego właściciela handlu. Jedna tylko rozczochrana dziewczyna, siedziała na wysokim stołku pod ścianą i wschodniemi, wielkiemi oczami apatycznie wpatrywała się w lampkę z okopconym kominem, która paląc się jeszcze na bufecie, świeciła w bezsennie wciąż zadumane oczy kanarka.

III.

Szymon Kępa miał lat przeszło czterdzieści. Sporo więc już czasu upłynęło od pory owéj, w któréj mieszkańcy miasta widywali blade, mizerne, jasnowłose dziecko, przesuwające się szybko chodnikami ze staréin a świeżo wyrestaurowaném obuwiem w ręku, albo dźwigające ciężkie kosze z pieczywem lub jarzynami i uginające się pod ich brzemieniem. Kiedy roznosił obuwie spieszył się zwykle bardzo, bo przez małe okno szarego domku do którego powracał, widać było twarz wąsatą, surową i silne, żylaste ramię, które, w szydło i dratew uzbrojone podnosiło się i opadało czasem leniwie i z niechęcią, najczęściéj z popędliwą niecierpliwością. Człowiek do którego twarz ta i ramię to należały, nie musiał być łagodnym ani wyrozumiałym, to téż wracające z próżnemi już rękami dziecię, przed wejściem do domu rzucało zwykle na okno lękliwe wejrzenia. W ogóle, głównémi cechami odźwierciedlającémi się w powierzchowności dziecka tego, były: lękliwość i czułość. Nieraz, na widok konia męczonego przez nielitościwych woziwodów lub kamieniarzy, siadał na chodniku ulicy, drobnemi rękami chwytał się za głowę, jęczał i lamentował głośno. Starą żebraczkę, która z pokaleczonemi nogami siadywała pod kościołem, lubił bardzo; siadywał przy niéj często na ziemi, prowadził z nią ciche rozmowy, śród których naśladował westchnienia jéj i boleściwe wstrząsania głową, niekiedy zaś przynosił

dla niéj w kieszonce ubogiéj surduciny kawałek chleba, séra lub parę pieczonych kartofli. Wszystkie psy znajdujące się na kilku sąsiednich ulicach znały go i na widok jego radośnie skomliły. Pochylał się nad niemi, zbierał ich dokoła siebie jaknajwięcéj, tulił głowy ich do swéj piersi, wypowiadał nad niémi całą litanią nazw pieszczotliwych. Czasem też, przed tymi ulubieńcami i towarzyszami swymi, popisywał się z czemś i chlubił, stając pośród gromady ich w bohatérskich postawach.

Kosze owe z pieczywem i jarzynami nosił on każdego ranka, przez całe prawie miasto, za kobiétą, któréj plecy okryte spłowiałą chustą, uginały się też pod ciężarami różnych przedmiotów, a która na jednym z rynków miasta rozstawiała przynoszony z sobą, składany stragan. Kobiéta była gruba, krzykliwa, wyraz oczu jéj i dźwięk głosu posiadały twardość i ostrość ludzi zniecierpliwionych ciężką pracą i dolą; niemniéj przecież, od czasu do czasu, całowała ona blade policzki dziecka, które dopomagało jéj w pracy i dawała mu ze stragana bułkę lub owoc; innym znowu razem, grubą pięścią uderzała je w plecy i głowę. Pocałunki, dary i razy, zależały od okoliczności całkiem od dziecka niezależnych, od pomyślnych lub nieszczęśliwych kolei handlu, od scen i zajść domowych, które wyjście na miasto przekupki poprzedzały.

Potém, dziecko owe noszące po mieście obuwie i kosze z pieczywem, godziny całe spędzające na rozmowach z kalekimi, żebrakami lub na pieszczeniu psów, i odgrywaniu przed nimi jakichś wymarzonych dramatów, dziecko owe z marzącem, łagodnem spojrzeniem zniknęło. Przekształciło się ono raczéj w szczupłego wyrostka, który w szkolnym mundurku, z książkami pod ramieniem, przebiegał codziennie przestrzeń dzielącą mieszkanie naprawiacza starych obuwi i żony jego straganiarki, z gmachem mieszczącym w sobie miejscowe szkoły.

Uczęszczanie to do szkół małego Szymona było dziełem matki Kępowéj, któréj najwyższa ambicya spoczęła w tém, aby jedynak jéj zostać mógł z czasem urzędnikiem, noszącym na czapce błyszczącą gwiazdkę i prawidłowo otrzymującym kilkadziesiąt rubli miesięcznie. Przyszłość taka wydawała się jéj czemś królewskiem; dla zdobycia jéj na rzecz syna, a po części i swoję, wyrzekła się ona niejednokrotnie wielu korzyści i uciech teraźniejszości. Chłopiec jednak, nie był zupełnie podobnym do większości rówieśników swych i towarzyszy szkolnych. Gorliwy zrazu w pracy, pełen zapału do książek i nauki, stygł powoli, zaniedbywał się, leniwiał. W rzeczy saméj nie było to lenistwo, lecz ogarniały go często zamyślenia głębokie, wśród których zdawał się coś rozważać, czegoś dociekać, nad czemś

słowem łamać sobie małą głowę mozolnie a bezskutecznie. Niekiedy też dokonywał dziwnych postępków, nad któremi Kępowa wylewała łzy gorzkie a które mu też bieg nauk zwalniać musiały. Raz naprzykład, spotkawszy na ulicy, równego mu wiekiem chłopca, który płaczliwie skarżył się na to, że mu bose nogi zziębły i poraniły się od szronu bruk okrywającego, 15-letni już wtedy Szymon usiadł na chodniku, zdjął z nóg swych obuwie i oddał je płaczącemu rówieśnikowi. Tygodnie ubiegły zanim Kępowa zdobyć się mogła na nową parę butów dla syna, tymczasem zaś, chodzenie do szkoły stało się niepodobném, chłopak całemi dniami przesiadywał w domu męcząc się, zżymając, płacząc z żalu i z gniewu, a wciąż myśląc o tém: dla czego był tak ubogim, że wnet innego obuwia mieć nie mógł? dla czego zwierzchność szkolna była tak wybredną, że bosym chłopcom nie pozwalała wstępować do przybytku nauki? dla czego matka jego była tak prostą i grubą kobiétą i takie dotkliwe, upokarzające czyniła mu wyrzuty? Upokorzenie wszelkie było mu szczególniéj nieznośném. W tajniach myśli swéj uznawał się za zdolniejszego, mędrszego i lepszego od wszystkich swych towarzyszy, a któż odgadnie jak bardzo i ilokrotnie pośród swawolnéj a często złośliwéj gromadki szkolnéj, wrodzona ta pycha syna przekupki, ranioną i wzmaganą być musiała! Dosięgłszy lat 17-tu i skończywszy pięć klas gimnazyalnych całkiem prawie uczyć się przestał, nie żeby zleniwiał, lecz że zniechęcił się do nauki. „Na nic się to nie zda, mawiał przed tymi którym zwykł był myśli swe powierzać. Z nauką czy bez nauki, ludzie zawsze cierpiéć będą!“ Czegóż potrzeba było aby ludzie przestali cierpiéć? Nie mógł długo dojść do żadnego we względzie tym, stanowczego przeświadczenia. Nie sypiał nocami, nie jadał prawie po dni kilka, odbywał za miastem długie samotne wycieczki. Stał się naprzód religijnym i pobożnym aż do fanatyzmu, długie godziny przepędzał w kościołach, klęcząc przed ołtarzami i topiąc się cały w głuchéj i ślepéj ekstazie, niekiedy zalewał się łzami albo głośno i z emfazą przemawiał do Boga. Zaczęto go mieć za obłąkanego nieco. Lecz wkrótce, pogłoska ta o nim pomiędzy ludźmi krążąca umilkła, bo porzucił on ołtarze i konfesyonały, a zatonął cały w zachwytach i ekstazach sprawianych przez sztukę. Objawiły się w nim podówczas i szybko rozwijać zaczęły wielkie muzykalne zdolności. W porze téj opuścił zupełnie szkołę; nie mógł przejść do klasy ostatniéj bo dwa razy nie zdał egzaminu, wykreślono go ze spisu uczniów. Kępowa po długich krzykach i płaczach rozchorowała się ze zgryzoty; Szymon nie martwił się wcale losem który go spotkał. Wyniósł się z domu matki, która była już wtedy wdową, ażeby zaś módz utrzymać się i za lekcye mu-

zyki płacić, dawał na mieście kilka godzin lekcyj dziennie. Zarobkowa praca ta nużyła go, niecierpliwiła i upokarzała. Uważał ją za nieużyteczną dla ogółu i zbyt dla siebie poziomą. Jak wprzód w modłach i religijnych ekstazach, utonął teraz cały w muzyce. Miał do niéj talent istotny i wielki; wkrótce jednak utraciła dlań ona wiele z uroku swego, a stało się to w skutek następującego, drobnego wypadku. Pod otwarte okno wielce skromnego mieszkania Kępy, przyszedł raz nędzarz w łachmanach, pokornym głosem o jałmużnę proszący a ukośne, złośliwe spojrzenia rzucający w głąb pokoju, w którym Kępa pogrążał się w czytaniu nowéj dla siebie i nowe myśli budzącéj w nim książki. Usłyszawszy żałośliwy głos żebraka, zerwał się z siedzenia, chcąc pospieszyć z udzieleniem mu pomocy. Z rozpaczą jednak przypomniał sobie, że w chwili téj nie posiadał ani grosza. Nie mógł nawet proszącego obdarzyć kęsem chleba, bo sam co drugi dzień tylko jadał obiad w garkuchni, w dniach bezobiadowych zadawalniając się bułką, którą mu matka ze straganu swego dawała. Niedostatek ten jego pochodził w części z tego, że usiłował jaknajmniéj obarczać się bezcelową, w pojęciu jego, i niegodną go pracą korepetytorską, w części zaś z tego, że cokolwiek miał rozdawał, a z zasady, dla przyjęcia udziału w cierpieniach ludzkich, sprawiał sobie przeróżne umartwienia i wiódł iście ascetyczne życie. Nie mając tedy czém obdarzyć żebraka, który coraz płaczliwiéj skarżył się i błagał o wsparcie za otwartém oknem, pochwycił skrzypce i grać zaczął. Grał istotnie tak, że grą swoją przynieśćby mógł zadowolenie pewne towarzystwu dość wybrednych choćby melomanów. Stojący przecież za oknem żebrak melomanem nie był. Ukośne wejrzenia jego stawały się coraz bardziéj rozjątrzonémi. Stał jednak cierpliwie, czekając chwili, w któréj człowiek z którego twarzy wyczytał, że wesprzeć go pragnie, ciągania smyczkiem po strunach zaprzestanie. Długo chwili téj doczekać się nie mógł. Kępa wpadł w zapał. Smyczkiem po strunach ciągał nie on lecz czyniła to w postaci jego filantropia. Nakoniec grać przestał a za oknem ozwały się znowu żałośliwe jęki i prośby żebraka. Kępa przybliżył się do okna. Dałem ci co mogłem, bracie mój, rzekł, więcéj nic dać nie mogę, bo sam niemam!...

— A to niechże pana wszyscy djabli porwą! grubym i rozwścieczonym głosem krzyknął żebrak; pocóżeś mię pan bałamucił tu tak długo jeśli nic dać nie miałeś! Ja drugi dzień już niemam co w gębę włożyć, a on tu zemnie żarty jakieś stroi! Nielitościwe serce! psia twoja natura! Żeby z ciebie Pan Bóg najwyższy i wszyscy święci Aniołowie tak zażartowali, jak ze skrzypcami swemi razem do otchłani piekielnych spadać będziesz!...

Ze słowami temi powlekł się żebrak daléj w ulicę, lecz Kępa długo jeszcze stał przy otwartém oknie, ze smyczkiem swym w ręku i otwartemi usty. Jakby weń grom był uderzył! Osłupiał i osowiał. Potém przez czas jakiś przy lekcyach z małymi uczniami swymi bredził od rzeczy, a takie okazywał roztargnienie i niedbalstwo, że mu połowy lekcyj odmówiono i znowu zaczął pomiędzy ludźmi uchodzić za człowieka niespełna na umyśle przytomnego. W głębi ducha, powtarzał on sobie ciągle: pocóż muzyka i jéj rozkosze, skoro cierpieniom ludzkim zaradzić przez nie niepodobna? Zniechęcił się do muzyki, wpadł w smutek ponury i coraz jaśniéj a uparciéj myśléć zaczął o jakiémś uniwersalném i radykalném na wszelkie cierpienia ludzkie, lekarstwie. W porze téj saméj zaświtała mu w głowie myśl nowa a szersza daleko i ponętniejsza od poprzedzających, myśl, nie już o pocieszających i udoskonalających wpływach, które na jednostki ludzkie wywierać mogły religia n. p. lub sztuka lecz o radykalném i gruntu wszechrzeczy sięgającém zreformowaniu ludzkości. Dotąd, miał na oku przeważnie ludzkie jednostki tylko, teraz jednèm spojrzeniem ogarnął zbiorowego człowieka zwanego ludzkością. Dotąd, pragnieniem jego i ambicyą było przynosić pomoc i pociechę tu i ówdzie, temu i owemu; teraz pomyślał, że może zostać reformatorem i zbawcą ludzkości całéj. Jakim sposobem przyszedł do myśli tych? Co mu je natchnęło? Były to zapewne wyniki wypadków życiowych bardzo prostych: przeczytania kilku książek jakichś, stoczonéj jakiejś rozmowy, wypadkowo spotkanego towarzystwa. Były to także wyniki psychicznych procesów i przypadłości powstających wielce logicznie z ogólnego usposobienia jego: dalszy ciąg marzeń, egzercytujących mózg jego do czynności w jeden wyłączny kierunek zwróconych, wytężenie nerwów aż do chorobliwości wrażliwych, rozognienie wyobraźni podniecanéj przez muzykę i samotne wycieczki, sen jakiś może lub halucynacya przez nawpół głodny zawsze żołądek i chroniczną gorączkę mózgu sprowadzone a poczytane za wizyą, rozkaz, natchnienie. Jakkolwiekbądź, Kępa rzucił się wtedy duszą całą w tę kategoryą literatury, która opiéwała o przekształceniach społecznych rodzaju wszelkiego i wszelkiéj natury, a dostępną mu była, dzięki zabranym w szkołach i zawodzie nauczycielskim stosunkom i znajomościom. O pożyczenie mu książek, prosił i błagał każdego, o kim tylko wiedział lub przypuszczał że posiadać je może, a przyniósłszy je raz do swéj ciasnéj, brudnéj, ciemnéj izdebki, pogrążał się w nich na całe dnie i noce. Był już teraz w nędzy ostatecznéj, bo nauczycielstwo porzucił zupełnie i żył z tego tylko co mu dawała matka starzejąca się coraz i ubożejąca, albo co zarobił u najbliższych znajomych, którym od czasu do czasu, po-

ojcowskiemi narzędziami posługując się, parę starego obuwia wyrestaurował. Myśląc przecież o restaurowaniu ludzkości, stare obuwie restaurował nieszczególnie, dawano mu więc je niechętnie i tylko z litości. Wychudł, wybladł, chronicznie kaszlać zaczął. Gdy wychodził, na ulicę, ludzie patrzali nań znowu jak na półwaryata, bo wzrok miał osłupiały, usta otwarte a szerokie dziury świeciły w wytartéj odzieży jego u łokci i kolan. Trwało tak przez rok lub więcéj; nagle, Kępa, czytać przestał, książki wszystkie właścicielom ich zwrócił, a gdy go ktokolwiek o treść ich zapytywał, pogardliwym gestem zupełne swe względem nich zniechęcenie objawiał. Doszedł był do przekonania tego, że żadne z ulepszeń lub przekształceń, o których książki te mówiły, ani dość gruntowném ani dość pociągającém nie było, i że do najwyższego szczęścia ludzkość dojść może tylko przez najwyższą miłość, taką miłość, którąby skłoniła możnych i szczęśliwych, aby bogactwem swém i szczęściem podzielili się z tymi którzy ich nie posiadają a cierpiących i maluczkich uczyniła tak cnotliwymi, iżby doskonałością swą miłość możnych i szczęśliwych dla siebie zjednali. Był to dotychczas plan całkiem pokojowy, zasadzający się na zgodzie i miłości powszechnéj. „Błogosławieni pokój czyniący! i błogosławieni cisi!“ powtarzał sobie Kępa. Ale jakim sposobem zrządzić, ażeby ci co dotąd samolubnie tylko dóbr ziemskich używali, stali się czyniącymi pokój i szczęście, a ci których toczyły złości i grzechy rodzaju wszelkiego, stanęli przed obliczem świata jako uosobienie cnoty, skłaniające do wymiaru nagrody i sprawiedliwości? Czyliżby natura ludzka była przyczyną tego, że dotąd nigdy nic podobnego na kuli ziemskiéj się nie stało? Tak najpewniej; winną tu była natura ludzka, z jednéj strony pełna egoizmu i pychy, z drugiéj, leniwa w doskonaleniu się a pochopna do czerpania pociech ze źródeł nieczystych. Lecz cóż ztąd? Taką była natura ludzka, nie pierwiastkowo zapewne i nie od początków istnienia swego; owszem, u początku dziejów ludzkich, istniał zapewne wiek złoty, wiek idylli snutéj przez wszystkich przy wspólnéj wszystkim biesiadzie życia. Jeżeliby przecież i u początków swoich nawet natura ludzka taką samą była jak obecnie, to znowu: cóż ztąd? Albożprzerobić i przekształcić jéj nie można? Przerobić naturę ludzką? Bagatela! Wszak nie trzeba na to niczego więcéj, jak tylko otworzyć ludziom oczy na prawdę i serca ich przysposobić do miłości. Gdy tylko wszyscy zobaczą prawdę i zdolni się staną do miłości wzajemnéj a nieograniczonéj, natura ludzka zmienioną zostanie, zmienią się stosunki, wyobrażenia, obyczaje, wszyscy staną się równymi sobie w obec praw do wszystkiego, i ziemia zmieni się w raj. Pokojowy plan ten, urzeczywistnionym być miał niemniéj pokojowemi środka-

mi. W pojęciu Kępy, dość było garstki ludzi, którzyby z zapałem i poświęceniem prowadzić chcieli odpowiednią propagandę, aby natura ludzka zmienioną, a stosunki społeczne przekształconemi rdzennie zostały. W potęgę słowa, w roztrzygający wszystko wpływ na ciała zbiorowe natchnionych jednostek, wierzył on z naiwnością zapaleńca i nieuka. Z pyszną też zarozumiałością człowieka, który w przekonaniu swém, stał się odkrywcą klucza mającego przed ludzkością otworzyć zaczarowane zamczysko szczęścia i doskonałości, uczuł się on przeznaczonym do pełnienia w świecie rzeczy wielkich, zapalał żądzą rozpoczęcia co prędzéj przetwarzającéj czy twórczéj roboty. W rodzinném mieście swém przecież uczynić tego nie mógł. Czuł i domyślał się, że słowo jego nie miałoby tam żadnéj powagi, a pocieszał się i skrzepiał myślą, iż nikt prorokiem nie jest w kraju swoim, i że w mury Jerychonu tego wróci on wtedy, gdy sława jego rozbrzmi już po szerokim świecie, i pośmiewisko którego tu był przedmiotem zmieni w uwielbienie. Zanimby jednak można było wrócić w mury Jerychonu, należało koniecznie wprzódy z nich wyjść. Nie było to łatwem. Kępa, wyciągał ramiona ku szerokim światom, nie posiadając pary obuwia dość mocnego aby w niém ujść było można mały choćby kawał drogi. Wtedy to, ktoś litościwy, pragnąc nastręczyć mu sposobność zarobienia na kawałek chleba, uwiadomił go, że młody pewien i możny człowiek, pragnąc dopełnić obywatelskiego i ludzkiego obowiązku, założył w obszernych dobrach swych kilka elementarnych szkółek wiejskich, i poszukuje ludzi którzyby w nich zajęcia nauczycielskie spełniać chcieli i mogli. Dowiedziawszy się o tem Kępa, wpadł w paroksyzm radości i entuzyazmu. Matka Kępowa, po tylu zawodach doświadczonych, dumna i uszczęśliwiona tém, że syn jéj *profesorem* zostanie i nakoniec *legurałne* życie prowadzić zacznie, odłużyła mały, szary domek, który odziedziczyła była po ojcu cieśli, i sprawiła Szymonowi staranną wyprawę. Kiedy na wozie chłopskim, w dzień targowy na rynku najętym, Kępa wyprawiał się do owego możnego protektora ludowéj oświaty, posiadał dzięki odzieży przez matkę mu sprawionéj, powierzchowność wcale przyzwoitego młodzieńca; że zaś życzliwość i pamięć okazywana przez przyszłego chlebodawcę jego „maluczkim i cierpiącym“ budziła w nim uwielbienie gorące i rozczulała go niepomiernie, skromniejsza niż zwykle postawa jego i łagodny wyraz oczu, sprawiać mogły korzystne dlań wrażenie. Przytém, radość i uszczęśliwienie biły z kobieco białéj, mizernéj jego twarzy. Istotnie, nigdy apostolska misya żadna, rozpoczynać się nie mogła w warunkach pomyślniejszych. Z jednéj strony „maluczcy i cierpiący“ których pocieszać miał i udoskonalać, z drugiéj „wielki tego

świata“ któremu prawdy nowe w serce i umysł wszczepiać będzie, było to wszystko o czem tylko Kępa, dla otworzenia sobie drogi działalności, mógł kiedykolwiek zamarzyć. Pojechał, otrzymał tak gorąco pożądaną posadę i pozostał na niéj przez lat trzy.

Epizod to był życia jego najważniejszy może i najbardziéj dla całéj przyszłości jego stanowczy. Kępa jednak, chętnie opowiadający każdemu kto tylko chciał go słuchać o pracach swych, pomysłach, cierpieniach i zawodach, o epizodzie owym mówić nie lubił. Mówić on o nim nie lubił dla tego może, iż praca któréj się podówczas oddawał, była zapewne najrealniejszą więc wedle niego najwięcéj poziomą i mało ważną, a cierpienia których doświadczył, były najrzeczywistszemi i najgłębszemi, największą więc przy wspomnieniu o nich każdem, sprawiającemi mu boleść. Wszystko co z krótkich i urywanych wzmianek jego o téj epoce jego przeszłości wnieść było można, nasuwało domysł iż wtedy to poraz pierwszy i jedyny w życiu pokochał on kobiétę jakąś, że około połączenia się z tą kobiétą osnuł cały jakiś plan życiowy, i całą jakąś przeróżową sielankę, że mu kobiétę tę odebrano, że tym który mu ją odebrał był jakiś „wielki tego świata,“ że zatém, od pory owéj kiełkować poczęła w sercu jego, obok miłości nienawiść, obok bezwzględnéj wiary w możność zreformowania natury ludzkiéj i ludzkości w ogóle, zwątpienie o tém, czy zreformowanie to samemi tylko pokojowemi środkami uskutecznić można. Z nienawiścią tą, powstałą z osobistego doświadczenia, z krzywdy czy obrazy, którą ktoś jemu samemu wyrządził, Kępa walczył długo, walczyło z nią serce jego do rzewności raczéj niż do gwałtów skłonne. Rana przecież którą mu zadano musiała być głęboką i bolesną. Co tam było silniejszem: miłość dla kobiéty czy miłość własna, żal nad utratą ukochanéj istoty, czy gniew za rozwianie usnutéj sielanki lub ułożonego planu działania? trudnoby stanowczo określić. Jakkolwiekbądź, Kępa od pory owéj począł uważać się nietylko za apostoła lecz i za męczennika, w rojenia swe i zamiary zaczął wlewać żywioł nietylko miłości lecz nienawiści, nietylko poprawiania lecz tępienia. Niekiedy, litował się sam nad tymi, których w myśli swéj wskazywał na zagładę, lub co najmniéj na pokutę i zadośćuczynienie, litował się nad nimi aż do łez, aż do biadania nad przeznaczeniem swojém, które czyniło go narzędziem strasznéj téj sprawiedliwości i kapłanem „krwawéj ofiary.“ Zeznawał jednak, że przyszły raj ziemski, wymagał dopełnienia téj sprawiedliwości i téj ofiary i poświęcał się. Czem wyrażało się to poświęcenie jego? Wieczną po świecie tułaczką, ubóstwem, wynędznieniem, najrozmaitszemi umartwieniami któremi się dręczył, pisaniem nakoniec dzieła olbrzymiego,

które więcéj ważyło niż cała jego majętność, z odzieży i nieodstępnych skrzypiec złożona. Posady wiejskiego nauczyciela otrzymywał i tracił z kolei, bo zamiast uczyć dzieci chłopskie czytania i pisania, prawił im długie przemowy o równości ludzkiéj, o dostojeństwie człowieczém, o cnocie, sprawiedliwości, krzywdach, poświęceniu i t. p., a zwierzchności szkolne: rządowe, gminne lub prywatne, oddalały co prędzéj niezdarnego i przez uczniów swych wyśmianego mędrca. Ze wsi udając się do miast, próbował zarabiać na życie, a przedewszystkiém działać na drodze prywatnego po domach nauczycielstwa. Tu jednak nadzór był bliższym a zrozumienie sposobów i celów nauczania lepszemi. Odmawiano mu zajęcia, odmowy motywując tém, że umysły dziecinne napełniał wiadomościami i poglądami wcale wiekowi dziecinnemu nie właściwemi. Z miast wracał więc znowu do wsi; zamiast w szkółkach zamieszkiwał w karczmach, gdzie grywał do tańca dla zarobienia na kawałek chleba, a z każdéj sposobności korzystał, aby prawić ludziom o szczęśliwéj przyszłości rodu ludzkiego, i o sposobach osiągnięcia jéj opowiadać. Całą działalność tę, wciąż rwącą się i z miejsca na miejsce przeskakującą a w nędzy pogrążoną i urągowiskiem ludzkiem oblaną, nazywał on gotowaniem dróg dla przyszłości. Wyjście w świat dzieła jego miało już przyszłość tę uczynić rzeczywistością. Raz przecież, owe gotowanie dróg, doświadczyło ważnéj przeszkody i znakomitéj uległo przerwie. W zimowy wieczór pewien, przygrywał długo do tańca w karczmie zgromadzonéj wiejskiéj ludności, a gdy tańczyć przestano, zawiązał jak zwykle długą rozmowę z siedzącymi dokoła stołu wieśniakami, rozmowę, która wkrótce zmieniła się w ognisty monolog. Zapał ogarnął go taki, że wskoczył na ławę i z wysokości téj, przemawiać zaczął. Dopóki mówił o cudownych maszynach, o przyszłym raju ziemskim, o równości wszystkich ludzi pomiędzy sobą, o potrzebie wzajemnego kochania się i t. p., dopóty ludzie słuchali go z różnemi nastrojami ducha, z niedowierzającemi uśmiechami i rozrzewnionemi jak w czasie kazań kościelnych westchnieniami, lecz cierpliwie i nawet ciekawie. Lecz gdy przechodząc do drugiéj części tezy swéj, wołać on począł o równy pomiędzy ludźmi wszystkimi podział dóbr ziemskich, usposobienie słuchaczy ulegać poczęło znacznéj zmianie. Dostatni gospodarze, którzy posiadali spore kawały gruntu a w spichrzach i oborach znaczną ilość zbożowych zapasów i inwentarza zwierzęcego, z niepokojem oglądać się poczęli na parobków swych i najmitów, którzy ani na grunta, ani na zapasy i inwentarze rodzaju wszelkiego, jeszcze się nie zdobyli. Parobcy zaś i najmici, odziani w dostatnie kożuchy, podejrzliwie spoglądali na samego mówcę, którego wytarta i podarta odzież, wcale do pory roku zastosowaną

nie była. Gospodarze myśleli, że cale niedogodną byłoby rzeczą, jeżeliby parobkom i najmitom przyszło do głowy przystąpić do równego z nimi podziału gruntów i zapasów; ci ostatni zaś, szyderczo ku mówcy wykrzykiwali: mądryś! chciałbyś, pewnie abyśmy ci połowę kożuchów naszych oddali! Lecz gdy monolog Kępy dosięgnął kulminacyjnego punktu swego, gdy zaczął on proponować środki, za pomocą których, plan równego podziału dóbr urzeczywistnionym być może i z twarzą w ogniu, zawołał, iż niechętni, samolubi i opierający się dziełu zbawienia ludzkości, przeznaczonymi zostaną jak suche drzewa na spalenie i zagładę, w karczemnéj izbie powstał krzyk i tumult wielki, gniew i śmiech, wydrwiwanie i pogróżki. W czasie pokojowym zupełnie i pośród ludności wiejskiéj sytéj, dobrze odzianéj a wódką i tańcem rozweselonéj, nikt w najmniejszym stopniu usposobionym nie był do rabunków, a każdy miał przyczyny lękania się ich dla samego siebie. Koniec końców, ściągnięto mówcę z ławy, związano mu ręce postronkami i oddano go w ręce władz miejscowych, które, po zarządzoném dochodzeniu śledczém i wytoczonéj sprawie kryminalnéj, skazały Kępę za usiłowanie burzenia porządku publicznego, na trzy lata zamknięcia w więzieniu. Wyrok ten, łagodniejszym był od tych które zazwyczaj w wypadkach podobnych zapadają, dla tego, że winowajca silnie podejrzywanym był przez sędziego śledczego a potém, przez nadzór więzienny i lekarzy ekspertów, o częściowe pomięszanie zmysłów. Istotnie, postępek którego dopuścili się względem niego, „maluczcy i cierpiący“ uderzył weń jak grom, i na czas pewien przytępił chaotyczne zwykle władze jego umysłu. Wpadł on był w rodzaj ponurego osłupienia a znieruchomiałe, głęboko zdumione jego oczy i gorzki uśmiech do uparcie milczących warg przyrosły, nadawały mu pozór waryata. W nowéj téj a tak bolesnéj perypetyi życia swego, pocieszał się on tylko jedną myślą, mianowicie, że ukochane skrzypce jego i olbrzymi rękopis, uratowanemi zostały. Przed uwięzieniem swém bowiem, miał on jeszcze dość czasu i przytomnéj myśli, aby powierzyć je pieczy i straży pewnego Dziaka cerkiewnego, który wypijając codziennie po pół garnca wódki, pragnął gorąco a nie mógł w żaden sposób dostarczać jéj sobie po całym garncu i dla tego, podzielał w zupełności pojęcia i dążenia Kępy, daleko jeszcze bezwzględniéj od niego „Wielkich tego świata“ nienawidząc.

E. Orzeszkowa.

(C. d. n.)

UWAGI

O UTWORZENIU U NAS

SZKOŁY WYŻSZÉJ TECHNICZNÉJ.

W zeszycie czerwcowym miesięcznika „Przegląd techniczny“ pojawił się artykuł: „*O potrzebie i zasadach urządzenia wyższéj szkoły technicznéj*“ (str. 3o5—316), podpisany: „Z. M.“, w którym autor nader słuszne robi uwagi, co do niektórych zalet lub wad zakładów technicznych w różnych krajach. Uwagi jednak, jakie wypowiada z powodu jednego pewnego typu szkół, odnoszą się do innych kwestyj, niż te, które podaje z okazyi innego ich typu. Tak więc autor uwag swych nie zestawia, to jest rozmaitych typów szkół porównawczo nie traktuje. Czytelnik zaś pod tym względem również autora uzupełnić nie może, jeśli ma się opierać na danym przezeń małym zapasie niejednolitych wskazówek. Łatwo dostrzedz, iż p. Z. M. z zamiłowaniem przytacza wielce ogólnikowe zdania p. Dumas (znanego chemika) o paryskiéj Ecole centrale des arts et manufactures, i w duchu ich, nieco dogmatycznie, zaleca następnie również ogólnikowo: aby, przy rozdzieleniu zajęć praktycznych, wykład teoryi był spólny; aby w zakładzie zachowane były karność w pracy i ścisły rygor szkolny; aby wstępujący do szkoły byli wychowańcami zakładów średnich klasycznych. Na zakończenie zaś mówi o zajęciach w szkole, gdzie wylicza gołe nazwy wszystkich możliwych (prócz budowy portów i twierdz) nauk technicznych, lub im pomocniczych, które wszystkie, nie troszcząc się o ich rozmiary i należyte stopniowanie, chce wcisnąć w kurs dwuletni i wypuszczać inżynierów dyplomowanych.

Wkrótce potém, w dwutygodniku „Inżynierya i budownictwo“, w numerze z datą 15 Czerwca, ogłoszony został krótki artykuł:

„*W kwestyi wyższych szkół specyalnych*“ (str. 125 i 126), podpisany „Ż.“, tak dalece pod względem opracowania i treści niżéj od poprzedniego stojący, iż, uważając go za konglomerat po większéj części przypadkowo obok siebie stojących frazesów, zastanawiać się nad nim nie będziemy, lecz tylko zaznaczymy, iż autor częstuje nasze społeczeństwo szkołą w rodzaju gandawskiéj, a to bez najmniejszego usprawiedliwienia, dla czego ten mianowicie typ wybrał.

Obaj autorowie nie usiłują zgoła zdać sobie sprawy z warunków, w jakich szkoła techniczna powstaćby u nas mogła, oraz z celów, jakie powinnaby sobie postawić. Według zbyt częstego u nas zwyczaju, czują się i oni powołanymi do wygłoszenia stanowczego zdania, nie popartego żadnemi spokojnie wypowiedzianemi i gruntownemi argumentami, oraz nie liczą się z warunkami, w których się znajdujemy.

Nie mamy bynajmniéj zamiaru nadawać pracy naszéj charakteru polemicznego. Ograniczymy się w niéj jednak do tych tylko zasadniczych kwestyj w urządzeniu szkoły technicznéj, które we wzmiankowanych artykułach poruszone zostały. A robimy to tym chętniéj, iż po za te granice nie życzylibyśmy sobie całkiem dziś wychodzić. Uwagi zaś, jakie w tym artykule zrobimy, są wyrazem naszego osobistego przekonania, i całkiem niezależne od projektów, jakie istnieć mogą co do utworzenia u nas szkoły technicznéj.

Piérwsze poważne usilowania utworzenia w Królestwie Polskiem szkoły wyższéj technicznéj (1) widzić należy w powstałéj w Warszawie w r. 1826 „*Szkole Przygotowawczéj do Instytutu Politechnicznego.*“ Istniała ona nie wiele więcéj nad cztery lata, t. j. do końca r. 1830, a dzieje jéj, choć za czas tak krótki, są natyle pouczające, iż nie możemy się powstrzymać od podania ich przebiegu. Pozwolimy sobie przytem wejść w pewne szczegóły, bo dotąd nigdzie (nawet w naszych encyklopedyach) nie podano o téj ważnéj instytucyi żadnéj historycznéj wzmianki.

W tém co powiemy, opiérać się będziemy na pięciu wykazach, wydanych przez Szkołę Przygotowawczą, pod tytułem: „Ogólny pro-

---

(1) Właściwie jeszcze przed otwarciem téj Szkoły probowano działać w tym kierunku. Te jednak próby dosadnie scharakteryzował Garbiński, mówiąc:

„W początkach oddział budownictwa Królewsko-Warszawskiego Uniwersytetu, dwoma kursami architektury cywilnéy i ieometryi praktycznéy, sposobić miał na architektów i inżenierów; późniéy sądziła mićć do tego wyłączne prawo Szkoła Inżenieryi cywilnéy, która iednę tylko w końcu obeymowała katedrę.“

(Przytoczony niżéj „Ogólny Programmat...“ etc. w r. 1829/30, str. 7).

grammat kursów wykładać się maiących w Szkole Przygotowawczéy do Instytutu Politechnicznego w roku szkolnym...." (1).

Zastanawiając się nad warunkami, w których ta Szkoła była otwartą, łatwo dostrzedz możemy, iż ówczesna komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego postępowała według zasady: lepiéj robić cóśkolwiek, w miarę środków, a uczciwie, byle zaraz, aniżeli, chcąc zrobić bardzo dobrze, czekać na to lata długie. Bez pewności więc, że Instytut Politechniczny istotnie otwartym zostanie, bez należytych środków pieniężnych, bez laboratoryów, bez oddzielnego pomieszczenia, a co najważniejsza, bez kompletu odpowiednio przygotowanych nauczycieli, otwarto Szkołę (2) z dobrą wolą robienia jak można najlepiéj, a jednocześnie wysłano za granicę trzynastu najwięcéj obiecujących wychowańców Uniwersytetu, aby się przysposobili do zajęcia późniéj odpowiednich katedr przedmiotów specyalnych, tak w Szkole Przygotowawczéj, jak i w przyszłym Instytucie Politechnicznym.

Jak widać z „Ogólnego programmatu" na r. 1828/9 (porów. str. 7), według pierwotnego zamierzenia twórców Szkoły Przygotowawczéj, nauczanie w niéj ujętem być miało w kurs dwuletni dla uczniów, którzy wstępowali do niéj ze świadectwem „doyrzałości akademicznéy" i sposobić się mieli na „techników wyższych." Oba te kursy otwarte zostały jednocześnie w r. 1826 (por. „Og. prog." na r. 1826/7). Gdy jednak Szkoła Przygotowawcza miała „ułatwiać przystęp ile być może iak naywiększéy liczbie osób, do wyżéy wspomnionego Instytutu, bez względu gdzie pierwiastkowe nauki przez nie pobierane były" („Og. pr." 1826/7, str. 3), więc dla tych osób, które „na egzaminach przy zapisie, usposobienie wyrównywaiące ukończeniu przynaymniéy klassy czwartéy szkół woiewódzkich, z wyłączeniem ięzyka łacińskiego i innych przedmiotów z politechnią nie maiących związku, udowodnić mogły" (ibidem), utworzono oddzielne dwuletnie kursy niższe (piérwszy w r. 1826, a w r. 1827 już i drugi); a ci,

(1) „....1826/7, stosownie do istnieiącéy organizacyi téyże szkoły." (Warszawa, w drukarni szkolnéj, 4-to, str. 13 i nielicz. 5).

„....1827/8." (Warsz., w dr. kom. rz. W. R. i O. P., 4-to, str. 39 i nielicz. 7).

„....1828/29." (Warsz., w dr. kom. rz. W. R. i O. P., 4-to, str. 50 i nielicz. 8).

„....1829/30." (Warsz., w dr. A. Gałęzowskiego, 4-to, str. 81).

„....1830/31." (Warsz., w dr. A. Gałęzowskiego, 4-to, str. 78).

(2) „....właśnie ten sam ogrom przedsięwzięcia, to powszechne przekonanie, że wszystko w początkach swoich iść musi koniecznie opornie i zwolna, nadzieię nam coraz pomyślnieyszego bytu rokuie." („Og. Pr.", r. 1829/30, str. 11).

którzyby je ukończyli, przejść następnie mieli na oddzielny kurs dla „techników niższych“ w projektowanym Instytucie.

Szkoła przez pierwsze dwa lata nie miała oddzielnego pomieszczenia: korzystała z gościny, jaką jéj dawał Uniwersytet. W tymże Uniwersytecie, spólnie z jego studentami, uczniowie Szkoły, sposobiący się na techników wyższych, słuchają religii, różnych części matematyki, jakotéż fizyki, chemii i architektury. W drugim dopiéro roku, dyrektor Szkoły (a jednocześnie prof. Uniw.), Kajetan Garbiński, wykłada oddzielnie skrócony kurs „geometryi opisującéj i rachunku różniczkowego i integralnego“, jakotéż dla wszystkich uczniów matematykę niższą wraz z „korrepetytorem“ Woycickim. Prof. Pawłowicz Marek wykłada „historyą naturalną techniczną“ i chemią dla techników niższych. Prof. Janicki Stanisław (stypendysta zagraniczny) mechanikę racyonalną i techniczną, oraz fizykę dla techników niższych (1). Prof. Lach Szyrma Chrystyan (2) język angielski z czytaniem dzieł angielskich technicznych. Prof. Piwarski Jan uczy rysunków ręcznych, prof. Uniwersytetu Gołoński (bezpłatnie) rysunków machin i architektonicznych, „korrepetytor“ zaś Woycicki epiurów z geometryi opisującéj. Nadto uczniowie powtarzają lekcye z korrepetytorami, a mianowicie fizykę, chemią i historyą naturalną z Podymowiczem, matematykę z Barcińskim, a po jego wyjeździe za granicę, z Wyleżałem, oraz zajmują się w laboratoryum uniwersyteckiem prof. Kitajewskiego manipulacyami chemicznemi pod kierunkiem korrepetytora Bełzy Józefa. Wszystkich zapisanych uczniów w r. 1826/7 jest 79, w r. zaś 1827/8 jest ich 84.

Uczniowie, którzy weszli do niéj w r. 1826 na „rok“ drugi i ukończyli takowy w r. 1827, przeszli do wegetującéj w Warszawie Szkoły Inżynieryi cywilnéj. Ale w r. 1828 pewna część uczniów sposobiących się na technologów-chemików ukończyła już swe studya w Szkole Przygotowawczéj. Również przygotowali się w niéj i ci, co się daléj w Instytucie mieli kształcić na techników niższych. Rada politechniczna, zostająca pod prezydencyą kasztelana hr. Platera, nie zdołała jeszcze wyjednać środków i decyzyi na otwarcie Instytutu. Co było robić z wychowańcami, których się zachęcało do paruletnich studyów początkowych w kierunku, w którym daléj iść nie mieli możności?

---

(1) Szkoła nieposiada modeli machin, więc „za tegoroczne muzeum machin będziemy mieli: wszystkie ważnieysze warsztaty i zakłady fabryczne stolicy“ („Og. Pr.“ r. 1827/8, str. 6).

(2) Wydał kosztem rządu oddzielny kurs nauki języka angielskiego dla studentów Instytutu Politechnicznego.

Ciekawe i pouczające nastręcza uwagi wczytanie się należyte w „Og. Prog.“ na r. 1828/9. W „Zdaniu sprawy“ za rok ubiegły, czytamy (str. 7): „za kończących zupełnie Szkołę Przygotowawczą, po odbyciu w niéy dwuletnich kursów, uznano 8; trzech z oddziału rękodzielno-chemicznego, a pięciu z oddziału inżynieryi cywilnéy...“ Otatni pięciu przeszli do szkoły inżynieryi cywilnéj, pozostałych zaś trzech wychowańców nie pozostawiono ich losowi. Nie mogąc otworzyć samego Instytutu, jako zakładu oddzielnego, „rada politechniczna otwiera kurs trzeci Szkoły Przygotowawczéj do Instytutu Politechnicznego“ (ibidem, przemowa Platera, str. 3) i owi uczniowie, którzy w r. 1828 w lecie Szkołę ukończyli, znajdują się w niéj w jesieni, jako „uczniowie trzecioletni sposobiący się na techników wyższych.“ Ci zaś, którzy ukończyli Szkołę, jako sposobiący się na techników niższych, wstępują na piérwszy „rok“, jako sposobiący się na techników wyższych. Szkoła przenosi się do oddzielnie najętego w pałacu hr. Krasińskiego lokalu, tak niedogodnego, iż np. w czasie lekcyj rysunków uczniowie musieli jednocześnie pracować w pięciu pokojach („Og. Pr.“ na r. 1830/1, str. 9), co wykładającego stawiało w nader trudne położenie. Jednocześnie w r. 1828/9 rozszerza się zakres wykładów i na innych kursach. Tak więc dyrektor Garbiński wykłada o utrzymywaniu ksiąg kupieckich i wekslarstwie; Gołoński zaś (wciąż bezpłatnie) przybiera kurs architektury cywilnéj. Nowo zamianowani profesorowie: Koncewicz Jan (stypendysta zagraniczny) i Kunat Stanisław (prof. Uniw.) wykładają: piérwszy, chemią zastosowaną do sztuk i rzemiosł; drugi, ekonomią polityczną (bezpłatnie). Również bezpłatnie nauczyciel Lieder prowadzi zajęcia nad językiem niemieckim. Jeden z uczniów trzecioletnich powtarza z młodszymi kolegami nauki przyrodnicze, przychodząc w ten sposób w pomoc czterem korrepetytorom Szkoły, w poczet których, na miejsce Podymowicza i Woycickiego, weszli Radwański i Olszański. Uczniów zapisanych w tym roku jest 76.

Widzimy więc, że w ten sposób Szkoła Przygotowawcza staje się jednocześnie samym Instytutem Politechnicznym, czyli, według nieśmiałego wyrażenia dyrektora „teraz zastępuie rozwiyaiący się Instytut Politechniczny“ (Gazeta Warszawska, r. 1829, 7 Września, Nr. 239). Raz wszedłszy na drogę otwierania kursów właściwego Instytutu, już się zatrzymać nie mogła. Jakoż w r. 1829 zamkniętą została tak zwana Szkoła Inżynieryi cywilnéj, a cały jéj personel naukowy, składający się aż z dwu wykładających, Smolikowskiego Jana i Urbańskiego Teodora, wcielony został do „Szkoły Przygotowawczéj do Instytu Politechnicznego“, która jednocześnie otwiera dwa kursy inżynieryi cywilnéj (t. j. trzeci i czwarty „lata“), jakoteż nowe: trzeci

„rok“ w oddziale rękodzielno-mechanicznym, czwarty „rok“ w oddziale rękodzielno-chemicznym, oraz oddział handlowy. Prócz uzyskanych w roku poprzednim jednorazowo złp. 1.800 na modele machin i złp. 2.500 na urządzenie pracowni chemicznéj, Szkoła otrzymuje stały już dodatek 6.000 złp. na cztery pracownie technologiczne i prócz tego złp. 4.000 na stypendya dla uczniów; prof. Gołoński zaś pobiera już wynagrodzenie stałe za swą pracę. Wprowadzają się więc nowe przedmioty: Smolikowski wykłada uspławianie rzek i prowadzi rysunki inżynierskie, Urbański zaś budownictwo lądowe i wodne. Nadto Szkoła zasila się młodemi siłami: czterech stypendystów powraca po kilkuletnich studyach za granicą: Ździtowiecki Seweryn obejmuje wykład chemii nieorganicznéj, oraz wprowadza dwuletni kurs metallurgii i hutnictwa wogóle; Bernhardt August, prócz geometryi opisującéj, wykłada technologią mechaniczną; Hann Antoni, chemią organiczną, oraz garbarstwo, farbierstwo, mydlarstwo i t. d.; nakoniec Kaczyński Paweł obejmuje wykład rachunku różniczkowego i całkowego, i nadto nowy kurs budownictwa machin. Ten napływ ludzi, którzy z energią młodzieńczą i zapałem do pracy łączyli istotną i głęboką naukę, odbija się na liczbie uczących się w Szkole, która dochodzi do 110.

Że na tak uorganizowaną Szkołę Przygotowawczą wszyscy patrzyli jako na aktualny już Instytut Politechniczny, przekonywamy się choćby z następującego ustępu: „W skutku spółdziałania szanownego Dyrektora przemysłu i kunsztów, iako téż iego gorliwego zastępcy, wysokie Komissye Rządowe: Wyznań Religiynych i Spraw Wewnętrznych, uznaią świadectwo z odbytych w zupełności kursów oddziału Inżynieryi, za nadaiące prawo ubiegania się o posady, w służbie publicznéy, dróg, mostów, i spławów.“ („Og. Pr.“ r. 1830/1, str. 3). Ciekawem również jest, iż Stanisławowi Zawadzkiemu, jednemu z wychowańców Szkoły, który późniéj czas jakiś pracował jako rzemieślnik w Wiedniu („Og. Pr.“ r. 1828/9, str. 8) i Niemczech, a którym Szkoła ciągle się opiekowała („Og. Pr.“ r. 1829/30, str. 8), na jéj przedstawienie rząd udzielił zapomogę na urządzenie fabryki skór i safianów („Og. Pr.“ r. 1830/1, str. 3).

Mógł więc już śmiało Garbiński, przy otwarciu roku szkolnego 1830/1, wyrzec: „w upłynionym roku, przez uzupełnienie wszystkich katedr technologicznych, Szkoła Przygotowawcza poruczone miała zastępstwo właściwego Instytutu Politechnicznego“ („Og. Pr.“ 1830/1, str. 1). Rząd nie ustaje w swéj pieczołowitości o Szkołę. Prócz stałych 6.000 złp., przeznacza na r. 1830/1 rada administracyjna, na skutek usiłowań prezesa rady politechnicznéj, Platera, złp. 18.000 na prenumeratę dzienników naukowych i zbiory technologiczne, które

prócz tego powiększają się zabiegliwością profesorów i ofiarnością osób prywatnych. Szkoła znajduje się w ciągłym związku z różnemi warsztatami i fabrykami, które zasięgają rad, korzystają z pomocy techniczno-naukowych Szkoły, jakotéż z niektórych wykładów, umyślnie popularnie dla szerszéj młodzieży fabrycznéj prowadzonych. W ubiegłym roku w gronie profesorów Szkoła poniosła stratę przez śmierć prof. Pawłowicza. Natomiast w r. 1830 rozpoczynają swe wykłady stypendyści zagraniczni, profesorowie: Rybicki Teofil, jako następca zmarłego, ogólnéj chemii technicznéj, i Wrześniowski Wincenty, ogłaszający nowy przedmiot: miernictwo, niwelacyą i rysunki topograficzne. Prócz tego zajść miały pewne zmiany w rozdziale niektórych części przedmiotów wykładowych, jakotéż, skutkiem należytego spólnego porozumienia się wykładających, obszerniejsze ich rozwinięcie.

Wogóle, jakże odmienne jest to przemówienie inauguralne dyrektora od podobnych poprzednich przemówień, nieśmiałych, ostrożnych, niepewnych, ogólnikowych! Czuć w niem, że teraz instytucya na trwałych już stoi podstawach; zasobna w poważne i świadome siebie siły naukowe; otoczona szacunkiem i zaufaniem tak rządu, jak i społeczeństwa; widzi praktyczne rezultaty wytrwałości i pracy kierowników Szkoły w motorach, jakich dostarczyła krajowemu przemysłowi; pewna choćby nielepszéj, ale takiéj tylko, jak obecność, przyszłości.... Wszystko to burza zmiotła, łamiąc latorośl krzepką przy samym korzeniu....

Próżnię, jaka się utworzyła po zwinięciu Szkoły Przygotowawczéj do Instytutu Politechnicznego, po upływie lat wielu z czasem zaczęły choć częściowo wypełniać *wyższe klasy Gimnazyum Realnego*. I tu znów powtarza się zjawisko, iż, pod wpływem istniejących potrzeb krajowych, w ciasne ramy zakładu średniego pomieścić się dały, przy dobréj woli czynników, od których to bezpośrednio zależało, takie wykłady, które tak treścią jak i znaczeniem swojem zdawały się wychodzić ponad poziom gimnazyalny. Nikogo to nie raziło, a pożytek istotny był, czego dowodem przetrwała dotąd renoma owego, od dwudziestu już prawie lat zamkniętego, zakładu.

Że takie było istotne znaczenie u nas téj szkoły, o tem prócz pożytecznych zajęć na różnych stanowiskach tak licznych jéj wychowańców, świadczy i artykuł 169 „Ustawy o wychowaniu publiczném w Królestwie Polskiem“ z dnia 20 Maja r. 1862, który wyraźnie powiada: „W miejsce Gimnazyum Realnego Warszawskiego i Instytutu Gospodarstwa i Leśnictwa w Marymoncie, ustanawia się *Instytut*

Politechniczny i Rolniczo-Leśny w gmachu Instytutu Wychowania Panien w Nowéj Aleksandryi“ (*w Puławach*).

Instytut ten, jak wiadomo, trwał od Października r. 1862 do Stycznia r. 1863. Według owéj ustawy, ułożonéj przez margrabiego Wielopolskiego, w tym Instytucie, prócz oddziałów rolniczego i leśnego, miały być trzy techniczne oddziały: mechaników, inżynierów cywilnych, chemików-górników, z trzechletnim kursem nauk (art. 174.). Uczniowie do niéj przyjmowani być mieli tylko przez piérwsze trzy lata na mocy egzaminu wstępnego; „po upływie zaś tego czasu, tylko uczniowie opatrzeni świadectwem dojrzałości“ (art. 178.). Dla uzyskania patentu na inżyniera wymaganą być miała, prócz egzaminu po ukończeniu trzechletních teoretycznych studyów, przynajmniéj jednoroczna praktyka w zakładach fabrycznych, kopalniach, bądź rządowych, bądź prywatnych, oraz ponowny praktyczno-teoretyczny egzamin (art. 180), a ci z uczniów trzech wydziałów technicznych, którzy „ze szczególnym pożytkiem dla kraju“ ukończyliby praktyczno-teoretyczne egzaminy, mogą być wysyłani za granicę celem dalszego kształcenia się (art. 182). Proste wyliczenie przedmiotów w Ustawie (art. 175) i brak poszczególnych ich programatów, które ostatecznie przez radę administracyjną w miarę potrzeby miały być ustanawione (art. 183), jak również pewne słabe strony redakcyi zbyt pospiesznéj, które tylko dalszy rozwój zakładu zagładzić byłby zdolny, wszystko to niedozwala nam zająć się kilkumiesięcznemi dziejami piérwszego kursu tego instytutu, który przedstawiał sobą roślinę, co przed tem, nim zdołała jakiekolwiek zapuścić korzenie, została przez nową burzę zwaloną....

Piérwszą uwagą, na jaką naprowadza rzut oka na tylokrotne i tak usilne starania o danie możności naszéj młodzieży nabycia u nas wychowania z kierunkiem technicznym, jest chyba ta; że kiedy dawniéj podobne czyniono zabiegi, to jakaż teraz musi być tego potrzeba, gdy przemysł krajowy tak niespodzianie się rozwinął?

Drugim tego dowodem są liczne zastępy tutajszéj młodzieży, kształcącéj się w instytutach: dróg komunikacyj, górniczym i technologicznym w Petersburgu, szkole technicznéj w Moskwie, jakotéż w szkole politechnicznéj w Rydze, oraz za granicą, w Austryi, Belgii, Francyi i Niemczech. Popęd więc do kształcenia się w kierunku technicznym jest u nas bardzo silny.

Lecz większość wychowańców zakładów Cesarstwa, nie znajdując, stosownie do swego przygotowania, odpowiedniego do swéj działalności u nas pola, pozostaje tam i tem samem pozbawia nasz przemysł zastępu ludzi, dla swego specyalnego ukształcenia i do-

świadczonéj energii, nader cennych. W mniejszym stopniu stosuje się toż samo do wychowańców zakładów zagranicznych. A tymczasem przemysł nasz woli się posługiwać technikami, obcymi nam pochodzeniem i całem swem wychowaniem, lub téż ludźmi, nie posiadającymi należytego specyalnego teoretycznego przygotowania.

Z tego wypada, że zakład, jakiby mógł powstać w Warszawie, lub gdziekolwiek w Królestwie, nie powinien być kopią żadnego zakładu, instniejącego gdzieindziéj, choćby on dużo naszéj młodzieży liczył w swych murach. Inna byłaby rzecz, gdyby który z tych zakładów mógł się tem poszczycić, iż większość jego wychowańców, jeśli już nie wszyscy, pochodzący ztąd, wróciła do kraju i znalazłszy wkrótce zajęcia, zdobyła stanowiska przeważne w naszym przemyśle. Gdy tak nie jest, to nie może być mowy o przeszczepianiu na nasz grunt jakiegokolwiek zakładu, który w całkiem odmiennych powstał i istnieje ,warunkach.

Nie można również, jak chce autor przytoczonego artykułu w dwutygodniku „Inżynierya i budownictwo", powoływać na wiec „wszystkie siły inteligencyi miejscowych inżynierów, budowniczych i techników", które „koncentrują się zapewne" około wychodzących u nas dwu pism treści technicznéj. Tak ten artykuł, jak i artykuł w „Przeglądzie technicznym" są dowodem, że każda z tych „sił" zalecać będzie zakład, w którym sama odbywała swe studya, a nigdzie nie widziano, aby inicyatywę w kierowaniu wychowaniem pokoleń powierzano podobnemu gronu.

W tém miejscu zaznaczymy jeszcze fakt, pominięty przez autorów obu artykułów, iż wszyscy, którzy z wyższém teoretyczném wykształceniem u nas, schowawszy dość głęboko otrzymane dyplomy, jęli się szczerze pracy w zawodzie technicznym, jako wnoszący należyte rozwinięcie i pilność, doszli do bardzo poważnych stanowisk, czego my jednak nie możemy tu spuszczać z uwagi.

To, cośmy dotąd w tym ustępie mówili, ma charakter czysto negacyjny. Nie ograniczymy się naturalnie na tem i postaramy się naprzód odpowiedzieć na nastręczające się samo przez się pytanie: jaką ma i może być u nas szkoła, sposobiąca młodzież do zawodów technicznych?

Dwie są drogi, jakiemi może u nas powstać podobna szkoła: albo jako instytucya, powołana do życia przez rząd i całkowicie na jego koszcie pozostająca; albo też, jako wyszła z inicyatywy prywatnéj, przy pomocy subsydyum rządowego, które pod wielu względami ważne miałoby znaczenie.

Coby należało zrobić, gdybyśmy byli pewni, iż szkoła taka prędko w charakterze wyraźnego i wyłącznego instytutu rządowego otwartą zostanie, zależałoby to przedewszystkiem od rozmiaru środków, jakieby na jéj urządzenie i utrzymanie przeznaczonemi były. Wtedy dopiéro w zakresie téj normy, a przypuszczenia co do niéj w wielkich odstępach oscylować mogą, dałoby się mówić o tém, co najlepszego na owe środki możnaby zrobić. Bez téj podstawy, choćby nawet nie zważać na inne jeszcze nastręczające się tu kwestye, wszelkie planowania przybraćby musiały charakter marzenia przynajmniéj, jeśli już nie majaczenia prostego.

Swobodniéj mówić można, mając na widoku inicyatywę prywatną. Tu bowiem odrazu można przewiedziéć, iż na początek środki nie mogą być wielkie—owszem, można twierdzić, iż w tym razie szkoła rozpocznie swój byt w warunkach pieniężnych nader skromnych.

Jestto więc już podstawa, do któréj można zastosować wymagania co do urządzenia téj instytucyi, aby przy tych danych była w warunkach naszego bytu dla nas najpożyteczniejszą.

Mamy w kraju koleje żelazne i różne drogi do utrzymania i do poprowadzenia w nowych kierunkach, rzeki spławne lub kwalifikujące się do usprawienia i uporządkowania, różne bogactwa kopalne do dobywania i przerabiania, najróżnorodniejsze fabryki tak mechaniczne, jak i wytworów chemicznych, różne zakłady przerabiające produkty naszego rolniczego kraju, powstają wreszcie w ostatnich czasach coraz nowe gałęzie przemysłu—dobrzeby więc było mieć szkołę kształcącą i na inżynierów lądowych i wodnych, i na górników, i na z najrozmaitszemi specyalnościami technologów, różnych nawet stopni. Wszystkiemu jednak od razu nie podołamy. Uwzględniając zaś dowolnie jeden lub parę specyalnych kierunków, moglibyśmy sztucznie wyprodukować zbyt wielki na nasze potrzeby zastęp jednostronnie przygotowanych specyalistów, coby nietylko dla nich przedstawiało niedogodności, aleby wywołać z czasem musiało brak uczniów w szkole.

A jednak dobrzeby było w zakładzie, jaki się otworzy, nie spuszczać z uwagi wszystkich tych rozmaitych kierunków pracy technicznéj u nas, aby specyalizowanie się wychowańców uskuteczniało się naturalnie, według tego, jak istotne potrzeby kraju same wskazywać będą. To jedno. Z drugiéj zaś strony nie powinna to być szkółka, mająca na uwadze wyłącznie kształcenie techników niższych. Owszem, nastrój wykładów powinien być tak wysoki, aby wyrównywał odpowiednim kursom w najlepszych podobnych zakładach

obcych, aby tém samém szkoła odrazu zajęła wyraźne i poważne stanowisko i świadomą była swéj wartości. Wychowańcy jéj późniéj sami, stosownie do swych zdolności i pracy, rozdzielą się w życiu na wyższych i niższych. Znaczny procent młodzieży zdolnéj, którą w kraju naszym posiadamy, dostarczy zawsze dostatecznego kontyngensu odpowiednio przygotowanych, w przyszłości pracowitych, uczniów, choćby wymagania, stawiane przy przyjęciu, były bardzo poważne. Zawód techniczny, nie może, jak np. farmaceutyczny lub weterynaryjny, być schronieniem dla tych, którzy nie są w stanie podołać warunkom wymaganym od kandydatów do jakiegokolwiek innego zajęcia, np. prawniczego, lekarskiego itd. Dostarczy w ten sposób szkoła przemysłowi ludzi, którzy stawać się będą technikami dobrowolnie, na mocy swobodnego wyboru kierunku, jeśli nie z powołania, a nie będzie ich nigdy zanadto, ze względu na nasze potrzeby.

Szkoła tedy powinna zadość uczynić dwu warunkom: mieć na uwadze sposobienie do wszelkich zawodów technicznych, oraz utrzymać się w nastroju istotnie wyższego zakładu naukowego.

Na początek małe tylko środki pieniężne przypuszczać możemy ale do jakiegokolwiek punktu posuniemy rozwinięcie szkoły, przecież to, co powstanie, winno utworzyć poważną całość, w pewien sposób zakończoną.

Nim jednak wejdziemy tu w szczegóły, zwrócić musimy uwagę na parę faktów, łatwo dostrzedz się dających w naszém społeczeństwie.

Przemysł nasz jest w ręku osób prywatnych. Dla nich patent pergaminowy zgłaszającego się technika, jest rzeczą wzbudzającą pewne poszanowanie, ale nie gra głównéj roli przy wyznaczeniu miejsca. Głównie zwracają tu uwagę na reputacyą, jaką sobie kandydat w zawodzie praktycznym już wyrobić potrafił. Wogóle, kto zna się dobrze na rzeczy i dał się już poznać, ten odpowiednie zajęcie znaleźć może. Nie idzie więc o to, aby szkoła koniecznie miała odrazu doprowadzać swych uczniów do uzyskania patentów inżynierów skończonych, ale powinna sposobić uczniów, istotnie uzdolnionych do dalszych praktycznych zajęć. Znamy takich, którzy nawet po studyach uniwersyteckich, bez żadnych praktycznych wiadomości, przyczepili się na małych miejscach jako oficyaliści przy fabrykach, a poznajomiwszy się z niemi, przeczytawszy odpowiednie dzieła, które na mocy nabytych poprzednio teoretycznych wiadomości łatwo zrozumiéć mogli, wkrótce powołani zostali na dyrektorów fabryk podobnych.

Jeszcze jedno. Wyjeżdżać z kraju dla studyów technicznych mogą ci młodzi ludzie, którzy pewnemi środkami ku temu rozporządzają. Biedniejsi zaś iść muszą do uniwersytetu, gdzie mają nadzieję otrzymać stypendya, lub jakoś sobie na miejscu zarobić na utrzymanie. Tymczasem (pozwolimy tu sobie myśl nader śmiałą ze względu na nasze stosunki wypowiedziéć), jak nas uczy praktyka we Francyi, a częściowo w Anglii, oraz poważne zdania w Niemczech wygłaszane, uniwersyteckie studya są właściwsze dla ludzi, mających zapewniony byt niezależny; młodzi zaś ludzie zdolni a ubodzy, mogą oszczędzić sobie w przyszłości wielu gorzkich chwil, wybierając drogę techniczną. Nawet większość pomocy publicznéj powinnaby przypaść na szkoły techniczne. Otwarcie zaś takiéj szkoły w kraju skieruje na tę drogę młodzież zdolną, mniéj zamożną, co jest jednym jeszcze więcéj argumentem za jéj ogólnością.

Następnie rozglądając się należycie w naszych warunkach, należy się z tém zgodzić, że program nauk w szkole technicznéj, jakakolwiek u nas powstanie, powinien zostawać w pewnym związku z programami wyższych zakładów technicznych w Petersburgu, a to dla następujących względów. Przedewszystkiém tylko wtedy można łatwo uzyskać pozwolenie władzy na jéj otwarcie, jakotéż dogodne prerogatywy tak dla uczniów, jak i dla ciała nauczającego. Powtóre, przy niemożebności rozwinięcia u nas wszystkich gałęzi wykształcenia technicznego, uzyskalibyśmy w ten sposób dla uczniów możność przejścia, w pewném stadyum uczenia się, bez straty czasu na uzupełnienia wiedzy, na wyższe kursy w owych zakładach. Nakoniec w ten sposób różnego rodzaju niechętni nie będą mogli korzystać z pozoru formalnego, ażeby powtarzać tak lubianą przez nich piosnkę: kwalifikacya z tego zakładu to co innego, niż z zakładu petersburgskiego, jak gdyby wszystko, co dojrzewa nie pod 60° szerokości geograficznéj północnéj, miało już tém samém być z zasady nieuznawaném....

Przykład b. Szkoły Głównéj Warszawskiéj, losu jaki przypadł na kwalifikacye przez nią wydane, powinien być dla nas pouczającym. Toż samoby było z Instytutem Politechnicznym Puławskim, gdyby ta szkoła była się rozwinęła...

Z tych wszystkich uwag pozwolimy sobie wyprowadzić wniosek, iż owa całostka, o którą przedewszystkiem chodzić nam musi przy organizowaniu teraz instytucyi, sposobiącéj młodzież naszą do zawodów technicznych, owe jądro powstać mającéj szkoły, musi być w założeniu swém—ogólném tj. takiém, aby każdy, jakąkolwiek gałąź techniczną mający późniéj na widoku, znajdował interes w uczęszcza-

niu do niego; powtóre, aby było ono w związku z petersburgskiemi instytutami: inżynierów dróg komunikacyj, inżynierów górniczych i technologicznym (1).

Z tego założenia wysnuwa się już samo przez się, czém ma być owa główna część szkoły technicznéj u nas.

Mianowicie: co owe trzy instytuty mają spólnego?

Spólne im są podstawy nauki niezbędnie potrzebne do zrozumienia wykładów wyłącznie daléj już prowadzonych w każdym z tych zakładów, zgodnie ze specyalnym jego celem. Więc: geometrya analityczna dwu i trójwymiarowa, wiadomości z algebry wyższéj, rachunek różniczkowy i całkowy, geometrya wykreślna wraz z kreśleniem epiurów, mechanika teoretyczna, różne działy mechaniki praktycznéj, obszerny kurs geodezyi, fizyka doświadczalna, teorya mechaniczna ciepła, chemia nieorganiczna, niektóre działy chemii organicznéj, chemia analityczna, krótki kurs mineralogii i geognozyi, nauka o wytrzymałości materyałów, obszerny kurs budownictwa i architektury, rysunki ręczne, techniczne i architektoniczne, oraz języki nowożytne, wykładane z celem rozumienia obcych dzieł technicznych.

Przy tworzeniu więc nowéj szkoły, miejmy przedewszystkiem na uwadze, aby zręczny rozkład tych przedmiotów ogólnych i wyczerpujące ze względu na charakter zakładu ich traktowanie, było ujęte w całość zamkniętą. Dwuletni więc kurs poświęcony studyom według powyższéj wskazówki, bo tyle mniéj więcéj poświęca się czasu na nie w zakładach petersburgskich, posiadać będzie wymaganą cechę ogólną, a nic nie będzie przesądzać o kierunku dalszych specyalnych zajęć uczniów. W wyborze takowych zachowają swobodę, świadomość należytą na mocy odbytych już nauk, nie tak jak to się dzieje obecnie, gdzie wyborem kieruje liczba wakansów w danéj chwili i trudności egzaminacyjne, jeśli już nawet nie mówić o tém, że wybór specyalności, bez uprzedniego zapoznania się z ogólną częścią nauk technicznych, zostaje często pod wpływem okoliczności pobocznych.

Przypuśćmy na chwilę, że istnieje otwarty podobny kurs ogólny w Warszawie. Jestto minimum, na jakie muszą się w każdym ra-

---

(1) Pomijamy szkoły w Cesarstwie, posiadające charakter niższy, jak szkoła budownicza ministeryum spraw wewnętrznych, wydział budownictwa w akademii sztuk pięknych, instytut mierniczy ministeryum sprawiedliwości itp.

zie znaleźć środki dostateczne. Jakąkolwiekby bowiem szkołę, lub szkółkę inżynierską u nas otwierano, to ona kosztowaćby musiała więcéj, z powodu swéj specyalności, niż ów kurs ogólny.

Przy takim kursie ogólnym, mogą istniéć, w miarę środków jakie się znajdą, kursy specyalne, uwzględniające te kierunki, jakie potrzebują u nas najwięcéj pracowników i jakie najdogodniéj będzie utworzyć.

Młodzieniec więc, kończący kurs ogólny, obejmujący nauki w poprzedzającym ustępie przytoczone, będzie po ich ukończeniu posiadać to wszystko, co jest podstawą każdéj specyalności technicznéj, a w tém będzie tak zaawansowany, iż, choćby się jął zaraz praktyki, w krótkim czasie, przeczytawszy dobry podręcznik specyalny (który mu nader łatwo przyjdzie zrozumiéć) poważne w niéj zająć może stanowisko.

Po takiem tedy ogólném przygotowaniu, uczeń téj szkoły miałby przed sobą kilka dróg otwartych, tak, iż dotychczasowe studya nie przesądzałyby niczego o dalszéj jego specyalności.

Mógłby więc daléj kontynuować swe nauki w szkole, uczęszczając na te kursy specyalne, jakieby przy niéj eventualnie istniały.

Mógłby na mocy egzaminu—lub, gdyby szkoła wyjednała sobie przywiléj, bez egzaminu—wstąpić bezpośrednio na trzeci kurs czyto instytutu dróg komunikacyj, czyto górniczego, czytéż technologicznego i uzyskać wszystkie prawa, nadawane uczniom przez te zakłady. Dla mniéj zaś zamożnych kwestya trzechletniego utrzymania się w Petersburgu jest różną od utrzymania pięcioletniego, tém więcéj, że każdy teraz mógłby sobie pomagać już nie korrepetycyami, ale odrabianiem rysunków technicznych i zarabianiem w czasie feryj w charakterze pomocnika inżynierskiego. Nadto szkoła mogłaby z czasem zdolniejszym uczniom, przynajmniéj na rok pierwszy, wyjednywać pewien zasiłek.

Mógłby prócz tego dla wykształcenia się w pewnym praktycznym fachu udać się na jednoroczne praktyczno-teoretyczne studya do bliskiego Berlina, do Gewerbe-Academie, gdzie panuje swoboda uczenia się i gdzie nadto znajdzie możność zapoznania się z najnowszemi ulepszeniami w różnych gałęziach przemysłu.

Mógłby wreszcie w imię zasady, że patent w naszym przemyśle nie ma sam przez się żadnego znaczenia, udać się wprost na mniéj lub więcéj krótką praktykę do jakiéj wzorowéj u nas fabryki i wkrótce wyrobić się, na mocy swego przygotowania naukowego, na znakomitego specyalistę

Sądzimy, że druga kategorya będzie miała u nas przedstawicieli, ale ci będą nie tak znów liczni. Skromne stanowisko w naszym przemyśle przeważy często ponęty służby uprzywilejowanéj wprawdzie, ale daleko. Instytuty petersburgskie nie będą tak jak teraz napełnione naszą młodzieżą kilkakroć razy ponad potrzeby miejscowe. Udawać się i nadal do nich będą, ale mniéj więcéj w stosunku do istotnego u nas zapotrzebowania. Wogóle zaś, większość wychowańców téj szkoły służyć będzie miejscowym stosunkom, a wkrótce stanie się dźwignią naszego przemysłu, ożywi go, utrzyma lub poprowadzi z energią i w racyonalnym kierunku.

Znikną wtedy zastępy dyplomowanych inżynierów różnych szkół i szkółek, pozostających bez zajęcia, lub pracujących na obczyźnie i przedstawiających siły, stracone dla miejscowych stosunków.

Z powyższego widać, że, choć bardzo pragniemy kursów dodatkowych specyalnych, to jednak nie one przedstawiają nam główną naszą potrzebę. Takową widzimy w owéj całości kursów ogólnych. Dlatego, pozostawiając przyszłości rozwinięcie się dalsze szkoły w miarę środków i potrzeb naturalnych kraju, mówić już daléj będziemy wyłącznie o owéj całości nauk ogólnych, któréj brak u nas przedewszystkiém wypełnić trzeba.

Nie będzie to znowu coś tak oryginalnego, iżbyśmy analogicznéj instytucyi na zachodzie odszukać nie mieli. Owszem, istnieje taka, rozgłośna i szanowana w całym świecie.

Jest nią Ecole polytéchnique w Paryżu. Ona nie daje całkiem zakończonego wykształcenia specyalnego. Wstępują do niéj na mocy konkursu najlepsi ze skończonych liceistów całéj Francyi. Przez dwa lata studyów (mieszkając w zakładzie i poddani, jako podoficerowie, rygorowi wojskowemu), słuchają najlepszych profesorów, wykładających nauki te właśnie, któreśmy uprzednio wyliczyli, w większém nawet rozwinięciu. Odrabiają rysunki, zadania w pracowniach, repetują, zdają egzaminy i nie otrzymują żadnego stopnia, a tylko uzyskują kwalifikacyę wejścia bez egzaminu wstępnego na zarezerwowane dla nich miejsca w szkole dróg i mostów, szkole górniczéj, akademii marynarki, akademii generalnego sztabu itd. To samo znaczenie względem zakładów petersburgskich mogłaby mieć podobna szkoła u nas. Dlatego też, możnaby ją nazwać „szkołą politechniczną“, gdyż jéj charakter odpowiadałby typowi paryzkiemu (1) i do

(1) W Niemczech przez szkoły politechniczne rozumie się specyalne szkoły techniczne, wydające kwalifikacye inżyniera.

pewnego stopnia usprawiedliwiałby, ze względu na swą ogólność, dosłowne znaczenie téj nazwy. Specyalne kursy, jakieby powstały, tworzyłyby: „kursy dodatkowe przy szkole politechnicznéj.“

Zresztą, rzecz nie w nazwisku.

Tak, dla powagi szkoły, jak i dla wygody niektórych jéj uczniów, jest nader ważne, aby szkoła posiadała w zasadzie przywiléj, choćby w takiéj formie wyrażony, iż instytuty petersburgskie zwalniać mogą, jeśli już nie zwalniają koniecznie, wykwalifikowanych wychowańców szkoły tutejszéj od egzaminu wstępnego, przy przejściu ich na trzeci kurs któregokolwiek z owych trzech instytutów. Wtedy koniecznie kursy szkoły musiałyby się normować według odpowiednich kursów w instytutach, tj. wykładający mogliby więcéj, ale nigdy mniéj niż tam wyłożyć. Będzie to również hamulcem, powstrzymującym wykładających przedmioty teoretyczne, od zapuszczania się w oryginalne, lub nowe teorye i teoryjki, całkiem nie na miejscu w zakładzie naukowym technicznym.

Z uwagi jednak, iż te trzy instytuty zależą każdy od innego ministeryum (dróg komunikacyj, dóbr państwa i skarbu), a tém samém trudno przypuszczać, aby wszystkie jednocześnie zgodziły się na danie szkole tutejszéj podobnego przywileju, więc na początek należy się niezbędnie postarać o takowy choć w jedném z tych ministeryów.

Ta zaś okoliczność, iż najwięcéj nam potrzeba uzdolnionych techników do naszego rozwijającego się wciąż przemysłu, więcéj daleko niż do naszych dróg, lub kopalń, zdaje się wskazywać całkiem naturalnie, iż najwłaściwiéj jest wyjednać taki przywiléj przedewszystkiém w ministeryum skarbu, w zawiadywaniu którego znajduje się instytut technologiczny w Petersburgu.

Takim więc sposobem, w szkole tutejszéj musiałoby być wyłożone naprzód to wszystko, co się wykłada na dwu pierwszych kursach instytutu technologicznego petersburgskiego. To jest minimum. Należałoby jednak jeszcze w wykład wprowadzić to niewiele, coby kurs tak uzupełniło, iżby objęło w sobie jednocześnie całość tego, co na dwu pierwszych kursach przechodzi się tak w instytucie dróg komunikacyj, jak i w instytucie górniczym. Wtedy byłaby podstawa, poparta reputacyą, jaką wychowańcy szkoły wyrabiać jéj będą, do uzyskania z czasem podobnych przywilejów względem obu pozostałych instytutów.

Ten wzgląd należy nadto mieć odrazu na uwadze, tak dlatego, żeby uniknąć zbytniéj jednostronności w przeprowadzonym systema-

cie, jak i dlatego, iżby szkoła zaokrąglała swój kurs, który powinien przedstawiać pewną całość zamkniętą i wypełnioną, ze względu na tych wychowańców, którzy, jakeśmy to wyżéj wzmiankowali, do owych instytutów się nie udadzą i na studyach, w niéj odbytych, zakończą swoje teoretyczne przygotowanie, wchodząc następnie wprost do praktycznego zawodu.

Tak ścisły związek z najwyższemi instytutami specyalnemi Cesarstwa rozwiązuje już kilka kwestyj, które zresztą inaczéj rozwiązanemiby być nie powinny.

Szkoła techniczna jest instytucyą takiéj doniosłości i na tak ważne stanowiska sposobi swoich wychowańców, iż niepotrzebuje (jak np. szkoły weterynaryjne, agronomiczne itd.) napełniać się uczniami, którzy niezdołali otrzymać dostatecznych kwalifikacyj do rozpoczęcia innych studyów, jak np. lekarskich itd. Jednėm słowem, tak jak w instytutach petersburgskich, świadectwo dojrzałości z gimnazyum klasycznego od wstępujących winno być wymagane. Nie tu miejsce ciągnąć niekończący się nigdy spór o kierunek wychowania średniego, ani téż zastanawiać sie nad ulepszeniami, jakieby do gimnazyów powprowadzać należało. Opierając się jednak na doświadczeniu w różnych krajach, jak również na wnioskach, do jakich doprowadza proste zastanowienie się uważne nad technikami, którzy nie przeszli przez średni zakład klasyczny, rozdzielamy to poważnie często wypowiadane zdanie, iż napływ kandydatów ze szkół realnych nie jest całkiem pożądanym w szkole technicznéj. Co do przewagi w niéj jednak tych ostatnich, możemy być spokojni; nasze bowiem gimnazya dostarczą zawsze większości uczniów z przygotowaniem klasycznėm, którzy przedstawiają tak pożądany zawsze element dla nauczających w szkołach wyższych.

Aby jednak szkoła nie produkowała wychowańców nad potrzebę istotną, należałoby ściśle ograniczyć komplet, a przy większéj nadeń liczbie kandydatów, przyjęcie uskuteczniać na zasadzie konkursowego egzaminu, bez żadnego dla nikogo wyjątku.

Od razu również szkoła miéć musi odpowiedni gabinet fizyczny, geodezyjny, obszerną i zasobną pracownią chemiczną dla zajęć uczniów, zbiór modeli mechanicznych, obszerne i dogodne sale rysunkowe, dzienniki naukowe bieżące i podręczną bibliotekę dzieł naukowych i technicznych. Wszystko to są rzeczy kosztowne, choć nieodzowne, jeśli zakład ma odpowiedziéć założeniu.

Taką szkołę należy odrazu postawić silnie. Wykładający muszą zadosyć czynić warunkom, które wynikają z ich wysokiego po-

łożenia naukowego i wpływowego stanowiska, a prócz tego tworzyć komplet jednolity ludzi pracujących z zamiłowaniem, z poświęceniem nieomal, w ciągłém wzajemném porozumieniu, tak co do związku kursów, jak i co do kierunku nadawanego pracy uczniów. Taki właśnie duch istniał w „Szkole Przygotowawczéj do Instytutu Politechnicznego", taki sam się tam wyrobił i taki właśnie powinien być odtworzony.

Nasza młodzież chętnie pracuje pod dobrém kierownictwem i nie lęka się rygoru, który objaśnić sobie może widoczną szczerą pieczołowitością. Przy taktownném z nią obchodzeniu się, można ścisłym nadzorem nad jéj pracą dojść do znakomitych rezultatów. Dlatego kontrola uczęszczania na wykłady, oraz wymaganie repetowania główniejszych przedmiotów z wielką korzyścią da się przeprowadzić, choćby w imię charakteru instytucyi, zawdzięczającéj znaczną część środków swych ofiarności osób prywatnych. Kontrola taka nie potrzebuje się wzorować na szkołach zagranicznych, ona była w dawnéj „Szkole Przygotowawczéj." Należy ją zrobić większą, niż istnieje w instytutach petersburgskich, objaśniając to odpowiedzialnością, jaką na się ściąga każdy, kompromitujący szkołę, któréj egzystencya wszystkim jéj członkom drogą być powinna.

Nie potrzeba, jak to robi autor artykułu w „Przeglądzie technicznym", po przykład szkoły technicznéj, powstałéj z inicyatywy prywatnéj, udawać się aż do Paryża, by stawić Szkołę centralną sztuk i rzemiosł. Podobny zakład z inicyatywy prywatnéj powstał w Rydze przed kilkunastu laty i coraz pomyślniéj się rozwija, gdyż obmyślany jest całkiem zgodnie z warunkami, w jakich się znajdują tak zwane prowincye nadbatyckie.

I u nas więc może się stać fakt podobny: dzięki ludziom dobréj woli, pragnącym gorąco przyczynić się do rozwoju bogactwa krajowego, powstać może zakład techniczny. Ale zbyt wiele po ofiarności prywatnéj spodziewać się nie należy: marzyć więc nie możemy o utworzeniu szkoły, którаby wyrównała instytutom petersburgskim. Z mniejszemi więc środkami wypadnie przystąpić do roboty. Ale ta robota odrazu powinna być znakomita. Inaczéj rzecz cała upadnie, a upadnie na długo.

Minimum środków, jakie znaleść można, wystarczy na utworzenie szkoły ogólnie sposobiącéj do zawodów technicznych. To jądro, choćby oddzielnie tylko powstało, ogromne społeczeństwu odda usługi. Nadto, przetrwa ono lat wiele i żadnych zmian nie będzie po-

trzebowało. A jeżeliby się znalazły środki większe, to w takim razie możnaby na nie utworzyć dalsze kursy specyalne, któreby w naszych warunkach okazały się najpotrzebniejszemi. Ale to rzecz dość dalekiéj jeszcze przyszłości.

Dziś zaś idzie tylko o to, by szkoła ogólnie przygotowywująca w kierunku technicznym, jaknajprędzéj była w Warszawie otwartą i odrazu jak najstaranniéj urządzoną.

Maryan A. Baraniecki.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Encyklopedya wychowawcza. Wydawana przez Tadeusza ks. Lubomirskiego, Edmunda Stawiskiego, Stanisława Przystańskiego i J. K. Plebańskiego.— Zeszyt 1-szy i 2-i str. 160. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Zamięszanie w pojęciach wychowawczych, spowodowane w znacznéj części nagłemi i szybko po sobie następującemi zmianami i przewrotami w instrukcyi szkolnéj, w planie ogólnéj edukacyi, należy niewątpliwie do tych smutnych objawów wśród naszego społeczeństwa, których zaprzeczyć nie podobna, a którym zapobiedz nadzwyczaj jest trudno. Szkoła pod tym względem nie może zapewnić pomocy, gdyż zamknięta w kole regulaminów, myśli tylko o ich stosowaniu w praktyce, zwiększając częstokroć niedogodności lub niewłaściwości, jakie w samych teoretycznych przepisach się kryją. Nauczyciele zadawalniają się zazwyczaj tylko wykładami samemi, słuchaniem lekcyj, poprawianiem ćwiczeń; a nie uważają bynajmniéj za swój obowiązek szerzyć jasnych i zdrowych pojęć pedagogicznych wśród ogółu. Nie chcę przypuszczać, ażeby większość nauczycieli nie posiadała sama jasno i dokładnie wyrobionych pojęć, ażeby poprzestawała jedynie na zaznajomieniu się z ustawą bez rozumnego jéj roztrząsania, ażeby po za nabyciem rutyny szkolnéj nie widziała innéj karmi dla swéj umysłowości; zaznaczam tu wyłącznie fakt apatyi i zniechęcenia, objawiający się we wstręcie do pracy na niwie literatury pedagogicznéj. Dawniéj przed rokiem 1830 i do pewnego stopnia jeszcze przez lat parę po r. 1861 bywało inaczéj; czy to przy tak zwanych Aktach uroczystych, czy w czasopismach, czy w osobnych broszurach i dziełach, nauczyciele nasi dawali ślady życia swego na widowni publicznéj po za murami szkolnemi, pisali rozprawki i pod-

ręczniki, wyjaśniali pojęcia i zasady wychowawcze, tłómaczyli autorów klasycznych, przedstawiali ich znaczenie w dziejach oświaty ogólnéj. Były to, co prawda, luźne tylko usiłowania, nie stworzyły one jakiejś własnéj naszéj „szkoły“ pedagogicznéj, dowodziły atoli w każdym razie, że nauczyciele nasi szerzéj pojmowali zadanie swoje, że nie poprzestawali na roli wykonawców tego, co bez nich obmyślono, lecz pragnęli utrzymać spójnię pomiędzy szkołą a społeczeństwem, za pośrednictwem mniéj więcéj samodzielnego rozpowszechniania zasad i metod, w szkole praktykowanych.

Od lat dziesięciu ustały nawet i te luźne usiłowania; dziedzina pedagogii zawarła się szczelnie w obrębach szkolnych; a ogół otrzymywał informacye wychowawcze nie od strony najkompetentniejszéj tj. od nauczycieli ale od literatów, którzy rozumiejąc wielką doniosłość zagadnień pedagogicznych, starali się dopomódz społeczeństwu do rozumnego urządzenia edukacyi domowéj. Prywatni nauczyciele okazali tu także pewne niemałoznaczne usługi, i w ostatnich mianowicie latach, gorliwie wzięli się do uprawy pedagogicznego zagonu. Nauczyciele natomiast gimnazyalni całkowicie się zatopili w morzu ćwiczeń i lekcyj, tak że tych, co albo w sferze ogólnéj pedagogiki albo też w dziedzinie badań specyalnych, nazwiska swe w literaturze zapisali, można na palcach jednéj ręki policzyć. Jakieś przygnębienie nie dozwala im wziąć czynnéj w kwestyach pedagogicznych inicyatywy, *jakaś apatya krępuje śmiałość ich kroków.*

Wśród takiego stanu rzeczy nietrudno pojąć, jak wielkie, jak ważne zadanie, wzięło na siebie wydawnictwo Encyklopedyi Wychowawczéj. Może ono naprzód rozbudzić z drzemki, powołać do pracy, zużytkować nabyte światło i doświadczenie nauczycieli. Zużytkowanie tych sił (a nie wątpimy, że one się znajdują), danie im możności i sposobności do wypowiedzenia poglądów i zasad pozyskanych nauką i praktyką pedagogiczną, zainteresowanie ich do literatury wychowawczéj, za pomocą któréj mogą wywierać wpływ na ogół, sprowadzając jakieś porozumienie pomiędzy nim a sobą, byłoby niewątpliwie niepospolitą zasługą Encyklopedyi. Z drugiéj strony przemówienie do ogółu, rozszerzenie wśród niego jasnych, zgodnych z dzisiejszym stanem nauki pojęć pedagogicznych, wskazanie, czego sobie życzyć, czego pragnąć, a czego unikać w wychowaniu potrzeba, zoryentowanie go wśród zawiłych i zawikłanych u nas obecnie kwestyj wychowawczych, dążenie do przemiany, niejasnych a nawet mętnych i chaotycznych wyobrażeń o zadaniu instrukcyi domowéj i szkolnéj, na dokładnie określone poglądy, któreby sprowadzić mogły istotne *rozumienie* spraw wychowawczych i zastąpić mgliste po-

czucia i aspiracye: oto jeszcze ważniejsze, chociaż z poprzedniém ściśle związane zadanie Encyklopedyi.

Czy zadanie to spełni Encyklopedya Wychowawcza i w jakiéj mierze, zależy to zarówno od redakcyi jéj jak i od społeczeństwa; od redakcyi o tyle, że jéj staraniem być winno zrozumienie potrzeb społeczeństwa i umiejętne przemawianie do niego; od społeczeństwa zaś o tyle, że nikt zbawionym być nie może, jeżeli sam zbawić się nie chce, że pragnąc posiadać jasne poglądy, trzeba uczyć się myśléć, trzeba korzystać ze wszystkich środków, jakie się nastręczają do zbogacenia swéj wiedzy.

Pisząc obecnie o dwu zeszytach téj Encyklopedyi nie tyle mi chodzi o rozbiór zawartych w niéj artykułów, ile raczéj o wskazanie doniosłości tego wydawnictwa, o zwrócenie uwagi oświeconego ogółu na to, co jest u nas ogłaszaném i zanotowanie wreszcie niektórych usterek, jakie dostrzedz mogłem, ażeby ułatwić redakcyi, o ile siły moje starczą, niezbyt łatwe zadanie przez wytknięcie tego, co mojém zdaniem, jest niewłaściwe, błędne, lub przynajmniéj nieścisłe.

Niepospolitą zaletą Encyklopedyi Wychowawczéj jest przedewszystkiém to, że artykuły w niéj pomieszczone, z wyjątkiem jednego czy dwu są traktowane nie pobieżnie, nie wzorem kilku innych encyklopedyj, ale o ile możności wyczerpująco i dają, skrócony wprawdzie, lecz dokładny obraz wziętéj pod uwagę kwestyi. U nas niejednokrotnie praktykował się zwyczaj, że do pisania różnorodnych artykułów brał się ten sam człowiek, który nie badając specyalnie przedmiotu, nie mógł o nim oczywiście nic, nie tylko nowego, ale nawet ściśle zgodnego z danym stanem nauki powiedziéć, i dlatego zwykle przepisywał swoje wiadomości albo z zagranicznéj encyklopedyi, jeżeli rzecz była obca, albo z jakiejkolwiek innéj książki. Tym sposobem encyklopedye nie przynosiły pospolicie nietylko wiadomości samodzielnie przez badacza zdobytych, lecz nawet nie dawały należytego pojęcia o tém, co nauka spółczesna na własność swoję posiadła, pospolicie rejestrowały one alfabetycznie to tylko, co już przed lat 5o przypuśćmy było znane i uznane. Stąd to nazwałem niepospolitą zaletą Encyklopedyi Wychowawczéj, że innéj chwyciła się metody. To co tu znajdujemy, możemy istotnie poczytywać za rezultat badań spółczesnych; są wprawdzie usterki, o których niżéj, nie wpływają one jednak na zmianę ogólnego i powiedzmy otwarcie dodatniego wrażenia, jakiego się doznaje po odczytaniu obu zeszytów.

W dwu zeszytach pomieszczono dotychczas siedem artykułów, z których jeden tylko ściśle teoretyczno-pedagogicznym nazwać mo-

żna, gdy inne do działu historyi pedagogii zaliczyć wypada. Artykuły te są: *Abecadło*, *Afekt i afektacya*, *Agrykola starszy i młodszy*, *Akademie w ogólności*, *Akademie duchowne*, *Akademie sztuk pięknych*.

Najstaranniéj bezwątpienia opracowaną jest rzecz p. J. Radlińskiego o *abecadle*. Autor wszechstronnie obeznany z dzisiejszém piśmiennictwem, kwestyi powstania i rozwoju pisma dotyczącém, szeroko zarysował kontury téj wędrówki, jaką odbyły znaki głosowe po przez najrozmaitsze narody ucywilizowane. Idąc śladami Rouge'go, dowodzi autor, że pierwsze zawiązki pisma głoskowego znajdujemy u Egipcyan, i że wszystkie prawie głoski abecadła fenickiego pochodzą od znaków pisma hieratycznego; przechodzi następnie do historyi abecadła staro-semickiego, wskazując jego rozpowszechnienie zarówno w Azyi jak i w Europie, a skreśliwszy w dalszym ciągu krótki przebieg rozwoju pisma aramejskiego i nowosemickiego, zastanawia się szerzéj nad abecadłem greckiem i pochodnemi od niego, wykazując wszędzie rodzinne rysy, łączące z sobą wszystkie wymienione powyżéj sposoby wyrażenia dźwięków za pomocą znaków piśmiennych. W końcu mówi autor pokrótce o usiłowaniach podjętych w Polsce w wieku XV i na początku XVI celem zaradzenia potrzebie wynikłéj stąd, że przyjęte przez nas litery łacińskie nie wystarczały na wyrażenie nader obfitych dźwięków mowy naszéj. Potrzebaby szczegółowego i przez specyalistę dokonanego rozbioru, ażeby zbadać, o ile twierdzenia autora dadzą się w zupełności utrzymać, o ile na przypuszczeniu i kombinacyi oparte wnioski naukowo uzasadnione być mogą. Zapewne znalazłyby się tu niektóre uogólnienia za pośpieszne, zwłaszcza że i pomiędzy specyalistami w wielu punktach nie ma jeszcze zgody (np. co do pochodzenia pisma sanskryckiego dewanagari, które p. Radliński wyprowadza od staro-semickiego za pośrednictwem abecadła himiaryckiego); całość jednakże jest w wysokim stopniu nauczająca i na niewątpliwych danych oparta. Z ogólno-pedagogicznego punktu widzenia artykuł ten niezupełnie zadawalnia; czytając o abecadle radzibyśmy więcéj posłyszéć o dźwiękach niż o znakach, radzibyśmy widziéć, jaki jest zasób dźwięków w mowie ludzkiéj, jakie są zasadnicze a jakie pochodne, gdzie i jak daleko sięga zmiękczenie dźwięków, jak dalece rozpowszechnione są rynezmy (tj. dźwięki nosowe), jaki jest stosunek spółgłosek do samogłosek w rozmaitych językach itp. O znakach chętniéj dowiedzielibyśmy się pod wyrazem *Pismo*, zapowiedzianym w spisie alfabetycznym Encyklopedyi Wychowawczéj. Być może, iż znajdziemy kwestye te poruszone w innym jakim artykule Encyklopedyi, który zapełni brak, uczuwany po przeczytaniu gruntownéj rozprawy o abecadle; a tymczasem raz jeszcze powtarzam, że jestto

nader pouczający traktacik, z którego pedagogowie wiele nauczyć się mogą, a to tém bardziéj, że przedmiot w nim traktowany, nie był obrabiany w piśmiennictwie naszém i stanowi nowość prawdziwą. Mimochodem jeszcze zauważmy, że w artykule tym na samym początku *głoskę* poczytano za to samo co *litera*; ustalił się już wszakże zwyczaj nazywania głoską dźwięku, literą zaś znaku abecadłowego; sądzę też, że tego rozróżnienia trzymaćby s.ę wypadało, ponieważ przyczynia się do jasności wykładu. Co do abecadła polskiego szkoda, że autor nie uwzględniał broszury z XVI wieku p. n. „Nowy Karakter polski," gdzie najznakomitsi pisarze ówcześni podawali swoje projekty dotyczące ustalenia abecadła polskiego.

Co się tyczy artykułu *afekt*, to autor jego, jak sam wyraźnie zaznacza, stoi na stanowisku filozofii Herbarta i odróżnia stanowczo afekta od uczuć. Jakkolwiek zaprzeczyć trudno, że filozofia Herbarta, znalazłszy zdolnych upowszechnicieli wśród pedagogów, dziś jeszcze w Niemczech, może najwięcéj stosunkowo, liczy wyznawców mianowicie w dziedzinie wychowawczéj; to przecież niepodbna nie zauważyć, że znaczenie to zawdzięcza raczéj w czasach naszych rutynie, do któréj wszyscy w ogóle ludzie są skłonni, niż istotnéj wartości swojéj. Mówiąc jedynie o przedmiocie, który nas tu zajmuje, to jest o afektach, łatwo się przekonać, że teorya Herbarta krytyki wytrzymać nie może. Według niego afekta (*radość i smutek*, *nadzieja i trwoga*) naruszają spokojność umysłu, i są połączone z niezwyczajnemi zjawiskami fizycznemi w naszym organizmie. Otóż przekonano się, że nie tylko afekta, nie tylko uczucia w ogóle, ale każda czynność umysłowa narusza spokój duchowy i łączy się ze zjawiskami fizycznemi; gdyż związek ducha z ciałem jest nierozerwalnym, jakkolwiekbyśmy go pojmowali. Podstawa zatém główna, na któréj Herbart i uczniowie jego szkoły, a za nimi autor artykułu w Encyklopedyi, oparli rozróżnienie afektu od uczuć jest nadzwyczaj chwiejną, że nie powiem ułudną. Zdaje mi się, że szkoła Kanta, którą autor oskarża o to, że uważając afekty za spotęgowane zwyczajne uczucie, wprowadziła przez to wielkie zamieszanie pojęć, mniéj pod tym względem zawiniła, aniżeli ci, co poczytują afekt nie za „wyższą potęgę istniejącego (?) uczucia", ale za „nowe, samodzielne uczucie wywołane szczególnemi przyczynami"; bo tam, w szkole Kanta, objawy przedstawiały się jasno, gdy tu jest jakiś podział chaotyczny, którego zrozumiéć ani usprawiedliwić niepodobna. Do tego dodać jeszcze wypada, że w dawnym języku naszym afektem nazywano uczucie w ogóle; w psychologii zaś naszéj terminu tego nie używali ani realiści (Jan Śniadecki, M. Wiszniewski, D. Szulc), ani idealiści (Trentowski, Kremer, Libelt) i że on napotyka się jedynie

u podrzędnych autorów, którzy pojęcia szkoły Herbarta do naszéj literatury psychologicznéj i pedagogicznéj przenosili (Lipiński, Sawczyński, Hückel).

Zdaje mi się, że zdrowa metoda psychologiczna nie na tém polega, ażeby mnożyć termina naukowe, jeżeli nie oznaczają dobrze odróżnionych objawów, ale na jasnym i dokładnym opisie tychże objawów; dlatego też całą rzecz o afektach należało przenieść pod wyraz *uczucie*, gdzie znalazłaby najodpowiedniejsze miejsce, jako rozprawka o pewnéj grupie uczuć, mającéj zasadnicze cechy spólne z innemi, a niektóre tylko odmienne. Zwrócićby należało uwagę na ścisłość i jasność w wykładzie objawów duchowych, zwłaszcza ze względu na to, że u nas psychologia jest nauką nadzwyczaj mało znaną, nie tylko wśród ogółu lecz nawet wśród sfer pedagogicznych.

Z artykułem o *afektach* łączy się ściśle, i stanowi jakoby praktyczne uzupełnienie do teoretycznego wykładu, rzecz o *afektacyi*. Dążność tego artykułu, mająca na celu napiętnować wszelką przesadę w uczuciach i ostrzedz wychowańców przed niebezpieczeństwem chorobliwego wygórowania uczuciowości z potłumieniem wskazówek rozumu, zasługuje ze wszech miar na uznanie, jako arcy zbawienna nie tylko w sprawach wychowania ale i w interesach społecznych. Nie na wszystkie atoli wywody autora zgodzićbyśmy się mogli. Samo określenie afektacyi, wyróżniające od udawania, nie może się zdaniem mojém utrzymać w obec powszechnego zwyczaju, który afektacyą łączy najściśléj z udawaniem, ze sztucznem nastrajaniem się do pewnych uczuć i skłonności. Nic to nie stanowi, że skutkiem nałogu osoba afektująca nie czuje w końcu różnicy pomiędzy naturalnemi objawami swoich stanów duchowych a afektowanemi, zawsze źródło afektacyi znajduje się w fałszu. Autor powiada: „Afektacya *nie kłamie uczuć*; ale w chęci wyróżnienia się od zwyczajnego tonu, goni za naśladowaniem większego zapału w uczuciach, większéj energii woli, bujniejszéj fantazyi, idealniejszego poczucia piękna, dobra itp.“ Otóż co tu autor jako afektacyą przedstawił, nazywamy pospolicie, jeśli się nie mylę, *egzaltacyą*. Sam zresztą autor czuje widocznie, że określenie jego nie odpowiada pojęciu afektacyi, gdyż niebawem pisze: „Im jaskrawiéj przeziera nienaturalność i wymuszoność afektacyi, tém *wstrętniejszą* czyni dla nas osobę afektującą, ponieważ tém widoczniejszy jest *w każdém tchnieniu* takiéj, *sztucznemi* wzruszeniami zmitrężonej duszy, ścisły nader związek przesady z *kłamstwem*, które jest cechą dusz podłych.“ Jest tu już niemałe ustępstwo od definicyi powyższéj; a zdaje mi się, że tém ustępstwem przybliżył się autor do prawdy. Robię tu nacisk, może za pedantyczny, na ścisłość

wyrażeń, gdyż zanadto dużo wśród społeczeństwa naszego krąży mętnych wyobrażeń, ażeby je jeszcze dzieło wychowawcze pomnażać miało... Jeżeli już mowa o afektacyi, to czy autor nie zgodziłby się nazwać afektacyą erudycyi, jeśli przytaczamy dużo dzieł, w których o danéj kwestyi np. o afektach nie doczyta się czytelnik ciekawy, a pomijamy takie w którychby je z łatwością odnalazł np. Mikołaja Lipińskiego: „Zarys Antropologii psychicznéj“ (Lwów 1867, §, 192—195)?...

W rozprawach dotyczących historyi wychowania i wykształcenia widzimy pewną nieproporcyonalność; rzeczy obce obrobione zostały bardzo obszernie, może nawet zaobszernie ze względu na cel wydawnictwa Encyklopedyi (Akademia platońska); rzeczy natomiast krajowe zbyte są nadzwyczaj pobieżnie, artykuły o nich nie dają należytego pojęcia o historycznéj zasłudze stowarzyszeń, które wzięte pod rozbiór (Towarzystwa naukowe: warszawskie, krakowskie, lubelskie, płockie, poznańskie, Akademia umiejętności). Zdawałoby się słuszném, żeby sprawy krajowe, choć one nie mają téj doniosłości powszechno-dziejowéj jak niektóre obce, opracowywać należało w dziele polskiém gruntowniéj i szczegółowiéj, gdyż tym jedynie sposobem (tj. za pośrednictwem monografii) można przyjść do jasnego pojęcia o naszém własném znaczeniu w historyi. Materyałów do historyi towarzystw pomienionych nie brak, nie było więc niepodobieństwem napisać ją tak, jak tego wymagało zadanie Encyklopedyi; jeżeli nie starczyło czasu, należało przenieść te wiadomości pod wyraz *Towarzystwa*, a niedawać tak marnych szkiców, w których nawet charakterystyki działalności tych towarzystw nie znajdujemy. Jeżeli zaś zarzut ten jest słuszny względnie do Towarzystw naukowych, to jeszcze słuszniejszym się okaże względnie *Akademij duchownych*, które w daleko bliższym zostają stosunku z historyą pedagogiki aniżeli owe Towarzystwa. Otóż Akademie te (*wileńska*, *petersburska*, *warszawska*) tak licho są obrobione, że wraz z *Akademiami sztuk pięknych* (króciutkim artykulikiem pana W. G.) uważać je wypada poprostu za niegodne wydawnictwa, w którém się mieszczą. Niepodpisany autor artykułu o Akademiach duchownych, nie zadał sobie najmniejszego trudu w wyszukaniu źródeł wiadomości; nie tylko nie korzystał z rękopiśmiennych materyałów i żywéj jeszcze tradycyi, ale nie zajrzał nawet do drukowanych już dokumentów zarówno osobno jak i w czasopismach (*Pamiętnik religijno-moralny*); autor zaś artykuliku o Akademiach sztuk pięknych, sądził widocznie, że dla Encyklopedyi wychowawczéj dość jest, bez żadnego przygotowania naukowego, rzucić kilka ogólników na papier o tém i owém, ażeby zadowolnić czytelników. Dziwimy się nawet, że ten artykulik został pomie-

szczony, gdy wiadomości w nim zawarte niczego więcéj nie uczą nad to, co następnie w specyalnych artykułach o akademii florenckiéj, rzymskiéj, weneckiéj (pióra p. A. Zaleskiego) powiedziano, tak dalece, że nawet za wstęp ogólny do tych szczegółowych rozprawek służyć nie może.

Niepodobna też uważać za dodatnią stronę w Encyklopedyi, pewnego powtarzania się, jakie widzimy w dwu artykułach o Akademii; i w jednym i w drugim są określenia fakademii, i w jednym i w drugim wspomina się założenie akadem ii rancuskiéj, berlińskiéj, petersburskiéj, krakowskiéj; czy to potrzebne; czy nie można było tego uniknąć. Uniknąć też wypadało małéj sprzeczności, jaką spotykamy pomiędzy temi rozprawkami w tém, że jedna utrzymuje, iż wszystkie wogóle akademie dzisiejsze zawdzięczają istnienie swoje państwu (str. 124) a druga ogranicza to twierdzenie (i słusznie) wyrazem *prawie* (str. 129). Jestto drobnostka; to też dziwna, że takiéj drobnostki nie zauważano i nie zmodyfikowano pierwszego orzeczenia w myśl drugiego. Zresztą pierwszy artykuł o Akademiach zajmuje się przeważnie akademią platońską, a ponieważ ten zakład, wedle orzeczenia samego autora, stał się pierwowzorem raczéj uniwersytetów niż akademij, więc umieszczenie go na tém miejscu, gdzie właśnie o akademiach mowa, mniéj może było właściwém; treść zaś tego artykułu pod względem pedagogicznym przedstawia interes głównie z powodu *metody dyalektycznéj*, coby znalazło odpowiedniejsze miejsce pod wyrazem: *Metody*. Kilka też szczegółów zasługiwałoby tu na sprostowanie; tak mianowicie wywód wyrazu *egzoteryczny* od *ex-otheo* jest wprost niemożliwym; daléj wyraz *peripatoi* nie znaczy perypatetycy wprost, tylko miejsca przechadzki; a na oznaczenie perypatetyków oprócz oddzielnego wyrazu używano frazesu: οἱ ἀπο *vel* ἐν τοῦ περιπάτου φιλοσόφοι, Dyogenes biograf filozofów greckich nie pochodził z Laertu ale z *Laerty* (w Cylicyi); historya filozofii greckiéj nie zna *Jamblichjusza* (jak stale w artykule czytamy) ale Jamblichosa czyli z polska; Jamblicha); omyłką drukarską musi być Nigidius Figilus (Figulus). Sporo też w artykule tym znaleść można nieścisłych wyrażeń takich jak przeciwstawienie *pojęć ludzkich* w obec *idei rzeczy* (str. 85), *erudycyi* w obec *swobodnéj* nauki (str. 114), lub też uważanie bibliotek za *podstawę* umiejętności (str. 111).

Najlepszemi z tych historycznych artykułów są dwa, przedstawiające działalność literacką i pedagogiczną Agrykoli starszego i młodszego (pióra J. K. P.); są tu wiadomości zupełnie nowe, które naprawdę wzbogacają naszę wiedzę o przeszłości. Artykuł *J. Sz.*

o akademiach nowszych a między niemi i o krakowskiéj jest referatem suchym i bardzo niewiele pouczającym.

Z usterek druku należałoby sprostować liczbę tomów Roczników T. Prz. N. Krakowskiego podanych na 41 i zakończonych na r. 1870; gdy ich jest 44 a ostatni wyszedł w r. 1872; daléj nazwa *Lenerta* (str. 138) wydrukowana zamiast *Lerneta*, wreszcie nazwę Pitagoresa zamiast Pitagorasa.

Uznając nadzwyczaj wielką ważność wydawnictwa Encyklopedyi Wychowawczéj, robimy ten spis małych usterek w tém przekonaniu, które autor pierwszego artykułu o akademii zastosował do ciał akademickich w ogóle, że „przestrogi należy z dobrą intencyą uwzględniać, bo tylko jednostronna i niedojrzała zarozumiałość czuje się obrażoną, gdy jéj usterki wykazujemy“ (str. 128). Wszyscy bowiem pragniemy rozpowszechnienia prawdziwego światła.

P. Chmielowski.

Kiejstut. Trauerspiel in fünf Acten von Adam Asnyk. Uebersetzt von M. v. Reden. Posen, Verlag von Joseph Jolowicz, 1880; str. 90.

Mnożą się obecnie przekłady niemieckie z literatury polskiéj zarówno wierszem jak i prozą; niedawno zdawałem tu sprawę z tłómaczenia *Maryi Stuart* Słowackiego przez Ludomiła Germana; a od tego czasu przybyło już bardzo wiele innych tak w czasopismach (mianowicie w *Dyoskurach* wydawanych w Wiedniu) jak i w osobnych książkach. *Nitschmann*, *Lipiner*, *Löbenstein* są zwykłymi tłómaczami, odznaczającymi się niepospolitą zdolnością wtajemniczania się w piękności języka i stylu polskiego i oddawania ich w języku niemieckim. Sprawozdania o tych tłómaczeniach często pojawiają się w „Magazin für die Literatur des Auslandes“; co dowodzi, że zwraca się na nie uwaga w Niemczech, że nie przechodzą w krainę przyszłości niewspomniane...

Cieszyć nas musi niewątpliwie takie zainteresowanie się naszych zachodnich sąsiadów literaturą polską dawniejszą i spółczesną, bo z jéj poznaniem znikać może będą powoli niepochlebne o nas uprzedzenia, nawet wśród uczonych niemieckich dosyć często napotykane, znikać będą takie np. wyroki, jak wygłoszony przez profesora uniwersytetu lipskiego *Conrada* iż piśmiennictwo polskie jest mało znaczące, że chyba z chińskiém tylko zestawić się może.... Ażeby jednak radość ta mogła być zupełną, potrzebaby wiedzieć

i być przekonanym, że to istotnie sami Niemcy tak gorąco zapragnęli zrobić znajomość z bohatérami ducha kraju sąsiedniego; potrzebaby mieć pewność, że to Niemcy sami łożą nakład na druk przekładów, że nic już nie wspomnę o płaceniu honoraryów tłómaczom.... Otóż pod tym właśnie, podług mnie najważniejszym może względem, bo rozstrzygającym nie o platonicznych sympatyach, ale poczuciu rzeczywistéj potrzeby zaznajomienia się z nami, zachodzą niekiedy pewne wątpliwości, które mącą nam czyste zadowolnienie, jakie na widok książki polskiéj tłómaczonéj na język obcy uczuwamy. Prawda, że niektóre tłómaczenia jak np. Nitschmana (*Parnas polski*) wychodzą w nowych wydaniach, że zatém istotnie rozchodzą się wśród publiki niemieckiéj;—ale z drugiéj strony donoszą nam czasami gazety, że taki to a taki tłómacz, dostaje subsydyum pieniężne od jakiegoś pana polskiego, przez cały czas zajmowania się przekładem pewnego dzieła polskiego. Że intencya tego pana jest dobra, nie wątpię; że piéniądze obraca na przedmiot dobry, rzecz to chwalebna; ale cel, który sobie założył, to jest wykazanie za pośrednictwem przekładu bogactwa i świetności literatury polskiéj, w znacznéj części chybiony, a chybiony w tém mianowicie, że przekład taki zjawi się w literaturze niemieckiéj, nie jako dowód uznania samych Niemców o dobroci produkcyi duchowéj polskiéj, ale jako... kosztowna reklama. A my potrzebujemy jeszcze zbyt dużo funduszów na to, ażeby wprowadzić liczne amelioracye w naszéj gospodarce piśmienniczéj w kraju, i nie możemy ich marnować na rzecz eksportowanych reklam...

Takie mi przychodziły myśli, gdym oglądał i przeglądał pięknie wydanego w języku niemieckim *Kiejstuta*, tragedyą Adama Asnyka (*E...ły*). Wyszło to tłómaczenie w Poznaniu, nakładem Józefa Jolowicza. Pocieszającą jest rzeczą, że w tak zapamiętale germanizowanéj prowincyi jak Poznańskie, pojawiają się przekłady z języka polskiego i znajdują nakładców wśród zgermanizowanych... Poznańczyków. Ale czy przekład, który się ukaże w Poznaniu znajdzie nie powiem rozgłos, bo ten w dzisiejszém dziennikarstwie nie jest trudny do osiągnięcia, ale pokup na całéj szerokości ojczyzny niemieckiéj? Jest to pytanie, na które odpowiedziéć nie potrafię, gdyż jeden z ważnych czynników w téj sprawie, sam tłómacz, pan *von Reden*, jest osobistością dla mnie nieznaną w piśmiennictwie niemieckiem.

Nie znając samego tłómacza, zwróćmy się do tłómaczenia. Jest ono dokonane wierszem jambicznym jedenastozgłoskowym to jest tak jak się zawsze w Niemczech piszą dramata. Zdaje się, że

ten sposób przekładu lepszym jest od tego, jaki wybrał p. Ludomił German w tłómaczeniu *Maryi Stuart*, które rymowanym aleksandrynem do czytelników przemawia. Czy są jakie metryczne uchybienia w przekładzie pana von Reden, o tém sądzić się nie poważam; zrobię tylko to spostrzeżenie, jakie przy czytaniu mimowoli się nasuwa, że wiersz płynie naturalnie, bez wysiłków, że jest gładki i potoczysty, że sprawia bardzo miłe wrażenie i dobrze odpowiada kunsztownie wyrobionemu i klasycznie pięknemu wierszowi poety polskiego, który nigdzie wprawdzie w tragedyi swojéj nie odznaczył się wielką potęgą wyrażenia, wielką pomysłowością i oryginalnością frazeologiczną, ale spożytkował istniejące już w mowie naszéj zasoby zwrotów na oddanie myśli i uczuć, które w osobach dramatu wyprowadza na jaw: nie ma tu usiłowania jakiegoś kolorytu językowego z wieku XIV, bo on był nawet niemożliwy; tragedya bowiem przedstawia Litwinów i Niemców, a jest w języku polskim napisana; nie ma także starania o to, ażeby ludzie różni mieli różny styl w mowie, co już jest łatwiejszém do zrobienia; wszyscy owszem mówią językiem i stylem ładnym w całém znaczeniu tego wyrazu, wierszem ślicznie utoczonym, pełnym jakiéjś prostoty klasycznéj i majestatu zarazem.

A jak pod względem formy tłómaczenie pana *von Reden* odpowiada piękności pierwowzoru, tak i pod względem zrozumienia treści i oddania jéj w języku niemieckiém, zupełnie wiernémi nazwać się może. Nie będąc krępowanym koniecznością rymowania, tłómacz mógł każdą myśl poety, każdy odcień jego obrazowania zarówno w następstwie po sobie jak i w stopniu natężenia oddać należycie. Kilka próbek dowiedzie tego twierdzenia, jak sądzę, wymownie.

Oto np. wybuch namiętny, gwałtowny, potokiem słów ognistych płynący:

Precz z twą słodyczą cichą a obłudną;
Wszystkim wam ręce krew ofiary kala
I mnie już więcéj oszukiwać trudno
Ja już nie jestem, czém byłam niedawno,
Nie jestem biedną, złamaną kobiétą,
Lecz jestem mordem, jestem złością jawną,
Jestem zarazą—straszydłem—kometą.
I nic ludzkiego nie mam teraz w sobie,
Odkąd jak wdowa stanęłam w żałobie;
I tylko rzeczy śnić będę okropne,
Jak upiór ciągle wracając na cmentarz,
Dopóki zemsty zupełnéj nie dopnę
Nad wami, zdrajcy.

Tłómacz nie opuścił ani jednego szczegółu, ani jednego rysu w obrazie:

> Fort von mir
> Mit deinem Süssthun, sanft und *trügerisch!*
> An euren Händen klebt des Opfers Blut
> Und schwer wird's euch, mich ferner zu *betrügen.*
> Ich bin nicht mehr das, was ich früher war:
> Kein schwach, gebrochen Weib; ich bin der Mord,
> Ich bin die offne Bosheit, bin die Pest,
> Ich bin ein Schreckgespenst, ein Feuerzeichen.
> Nichts Menschliches hab ich an mir fortan,
> Wenn ich das Trauerkleid der Wittwe trage,
> Wie ein *Gespenst*, das auf den Gräbern umgeht,
> Denk ich an das nur, was den Menschen schreckt,
> So lange meine Rache nich vollendet,
> An euch, ihr Schurken....

Jeżelibyśmy co w tém ustępie naganić mogli, to chyba pewną nieoględność w zestawieniu jednakowo lub podobnie brzmiących wyrazów (*trügerisch*, *betrügen*; *Schreckgespenst*, *Gespenst*) których poeta polski, dbający o stylistyczną poprawność, starannie unikał.

Równie pięknie i równie wiernie oddaje tłómacz uczucia łagodne i miękkie: Konrad Wallenrod, który w tragedyi występuje jako syn Kiejstuta, błaga ojca, żeby mu przebaczył pozorne zaparcie się ojczyzny dla zgnębienia wrogów.

> Ojcze, ty swego użal się dziecięcia,
> Które tak cierpi, za młodzieńczéj pychy
> Zbyt śmiały polot. Otwórz mi objęcia...
> Niech w nie upadnę pokorny i cichy,
> Na twojém łonie łez wylewać zdroje...
> Przebacz mi winy...,

Pan *von Reden* tak to błaganie tłómaczy:

> Erbarme dich,
> O Vater, deines Kinds, welches büsst
> Des jugendlichen Stolzes kühnen Flug
> So bitter; breite deine Arme aus,
> Das ich demüthig still ausweine mich
> An deiner Brust,—verzeih mir meine Schuld!

W scenie miłosnych wyznań i przypomnień, jednéj z najpiękniejszych w tragedyi (akt I, sc. 15) tłómacz utrzymuje się również na wysokości zadania i umie przemawiać językiem tkliwym i stylem malowniczym.

W przedmowie tłómacz zapoznaje czytelników niemieckich z treścią dziejową utworu; opowiada więc pokrótce przebieg wypadków służących za osnowę tragedyi i wskazuje znaczenie ważniejszych w niéj postaci. Mówiąc o Konradzie Wallenrodzie, wspomina, jakoby tenże był synem Kiejstuta „wedle polsko-litewskiego podania“ (*nach der polnisch-lithauischen Sage*) i że to podanie jest podstawą poematu Mickiewicza: *Konrad Wallenrod*. O takiém podaniu polsko-litewskiem nic nie wiemy, Mickiewicz zaś inny pomysł do poezyi naszéj wprowadził,—utożsamiając postać Walthera Stadiona, który wzięty będąc do niewoli przez Litwinów zaślubił córę Kiejstutową, z postacią Konrada Wallenroda; dopiéro Asnyk zrobił tegoż nie już zięciem jak Mickiewicz, lecz synem Kiejstuta. Dziwno doprawdy, jak tłómacz tragedyi mógł podać tak błędne pod tym względem objaśnienie. Pomysł Asnyka nie jest bezwątpienia bardzo ważny, dał mu on tylko parę pięknych sytuacyi; ależ nie należy go mięszać z innemi i podkładać pod niego podstawy podaniowéj, któréj nie ma.

P. Chmielowski.

„*Nazwy miejscowe polskie Prus Zachodnich, Wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckiemi*“ zestawił Dr. Wojciech Kętrzyński, dyrektor Zakł. Nar. Im. Ossolińskich we Lwowie.—Nakładem Zakładu nar. Im. Ossolińskich 1879.

Imiona własne są skarbem dziedzicznym narodu.

Kto dba o czystość języka, nieskazitelność jego ducha, drżéć powinien na myśl zatraty, jakiéj uledz mogą i w saméj rzeczy ulegają od lat tysiąca imiona własne, im podrzędniejsze na pozór w życiu powszedniém, tém ważniejsze w życiu publiczném.

Nad imionami słowiańskiemi znęcał się Turek, Włoch, Węgier Niemiec i Łacina.

Kiedy Niemcy nie czuli się jeszcze panami zajętych przez się ziem słowiańskich; tłómaczyli nazwy miejscowe lub naginali ich pisownię do swego narzecza, w czém im łacina była pomocną, można było dopatrzéć się pewnych prawideł, podług których odbywał się ten proces. Dziś, zniecierpliwieni takiém postępowaniem, co na setki lat odracza dopięcie celu, jednym zamachem pióra przeistaczają np. Kiszkowo na Welnau, Chociczę na Falkstaedt, Godzimierz na Friedrichsgrün a pisownię Mieściska naginają do swego abecadła i piszą

„Miestschischko,“ a wszystko to w tym celu, by późniejszym pokoleniom dostarczyć dowodów, że na zajętych przez Teutonów ziemiach nigdy Słowian nie było.

Te zamiary pobudziły różnych autorów do zbierania i spisywania pierwotworów nazw, które ocalały tym sposobem przynajmniéj od zupełnéj zagłady.

Na takich pracach oparł Zarański swój „Słowniczek Imion Słowiańskich geograficznych,“ wydany w r. 1878.

Trzy lata przedtém wyszedł w Poznaniu „Wykaz miejscowości, których nazwiska polskie do roku 1874-go na niemieckie zmienione zostały.

W tymże mniéj więcéj czasie ogłosił téż Dr. Kętrzyński swe „Studyum historyczno-etnograficzne o narodowości polskiéj w Prusiech Zachodnich.“

Z pracy téj czerpał wspomniany powyżéj Zarański.

W roku 1878-ym wydał Dr. Sieniawski swe „Biskupstwo Warmińskie“ z uwzględniem stosunków geograficznych.

W końcu zaś zeszłego roku pojawiły się Dra Kętrzyńskiego „Nazwy miejscowe polskie“, którym słów kilka poświęcić tu zamierzam.

„Rządy niemieckich Krzyżaków,“ mówi szanowny autor w swéj przedmowie, „wycisnęły piętno niezatarte na krajach ich berłu podległych. Osiedlając Niemców i zaprowadzając język niemiecki jako urzędowy, nadały nietylko ziemiom zajętym przez Prusaków, ale i ziemiom odwiecznie polskim, pewien charakter niemiecki, który objawił się mianowicie w nazwach miejscowych. W mowie niemieckiéj i w pismach niemieckich nazwy polskie przyjęły formy i zakończenie niemieckie, i często zastępywano je nazwami czysto niemieckiemi. Co wieki uświęciły nie dało się od razu usunąć, gdy rządy znów polskie nastały, a choć nazwy miejscowe polskie w życiu prywatném i publiczném odzyskały pierwszeństwo, to jednak światu były nieznane, bo i po upadku Krzyżaków głównie Niemcy zajmowali się dziejami tych krain, wydawali mapy i w ten sposób ustalili charakter niemiecki okolic polskich.“

W obec tych okoliczności wielce się zasługuje Dr. Kętrzyński, chroniąc od zagłady te skarby języka i historyi narodu.

Praca sz. autora jest suchym spisem nazw polskich, zniemczonych i spolszczonych, zestawionych powiatami i tak zwanemi obwodami regencyjnemi, w którym nazwy niemieckie na kształt „Słownika niemiecko-polskiego“ pierwsze zajmują miejsce.

Dziełkiem tém znacznie uzupełnia dr. Kętrzyński słowniczek Zarańskiego pod względem ilości wykazanych w niém nazw.

Porównywając te dwie prace ubolewać należy, iż dr. Kętrzyński nie powymieniał choćby tych tylko warjantów, które Zarański zebrał ze „Studyów" jego o narodowości polskiéj w Prusach zachodnich, i że całkiem pominął niektóre nazwy, jak np. *Przesmo* czyli *Heimsoth* w dekanacie Chełmżyńskim.

Jezierze czyli *Heniswald*, na Pomorzu *Iwanki* zwane *Hensken*, *Hójków* (?) Hoykenwalde itd.

Warjantów nie podaje Kętrzyński następujących.

Trzciana, w powiecie Sztumskim, zwane także *Trzciany*, *Nudicz*, *Medicz*, *Miedzice*, *Honigfelde* i *Königsfeld;*

Zajezierze, tamże, które zwano w r. 1477 *Sloiszthendorf* a w r. 1483 *Schlösschen;*

Heli na Puckiéj Kępie, zwanéj także *Chel;*

Dworka pod Sztumem, zwanego dawniéj *Symken* i *Stanganaw;*

Lidzbarga, który Zarański zwie także *Ludzborzem* i *Lutterbergiem* a mapa Chrzanowskiego *Liczbargiem*;

Łoczan, zwanych tylko „*Lece*" podług Kętrzyńskiego;

Szpitalnéj Wsi pod Sztumem, zwanéj także: *Roland* i *Bartelsdorf* itd. itd.

Nazwy łacińskie i odmiany niemieckie nie wchodziły w zakres odnośnych studyów Dra. Kętrzyńskiego. Nie czynię mu z tego powodu bynajmniéj zarzutu; daję tylko wyraz życzeniom własnym, odnoszącym się do prac tego rodzaju. Zdaniem mojém wypada zbierać wszystkie nazwy i odmiany obchodzących nas miejscowości, z jakiemi się spotykamy w kronikach, dyplomataryuszach i autorach źródłowych. I tak naprzykład, nie szukając daleko wypadałoby oprócz podanych przez Kętrzyńskiego i Zarańskiego nazw *Świętéj Siekierki* dodać jeszcze:

Schwantomest, *Szwetomest*, *Sancta Civitas*, *Helgebejka*, *Heiligebeila*, *Heiligpeil*, *Heiligenpeil* itd.

To przyczyniłoby się, zdaniem mojém do ostatecznego ustalenia i samejże nazwy i jéj pisowni. Do jakiego zaś chaosu doprowadzić może nieścisłość jednéj lub drugiéj, przytoczę następujący przykład:

Przy trakcie, wiodącym z Królewca do Działdowa leżą dwa miasteczka, z których jedno nad Łyną zwie się po niemiecku *Allenstein* a drugie *Hohenstein*. Pierwsze zwie Kętrzyński *Olsztynem* a drugie *Olsztynkiem* czyli *Holsztynkiem*. Odrzucając odmianę „Holsztynek" mamy, przypuszczam, że poprawne, dwie nazwy odrębne: Ol-

sztyn i Olsztynek, których skoro mowa o Prusach, bliżéj określać nie potrzeba.

Zarański zapisuje pod nazwą *Allenstein* „Olsztyn i Olsztynek" a pod *Hohenstein* „Melsztynek i Holsztynek." Melsztynka nie wykazuje Kętrzyński wcale. Olsztynkiem czyli Holsztynkiem zwanoby więc podług Zarańskiego dwa odrębne miasta: Hohenstein i Allenstein, co bez bliższego określenia sprawia ów zamęt, o którym wspomniałem.

I tak zwie np. Cellarius w swéj „*Regni Poloniae descriptio*" Olsztynkiem Allenstein, pisząc: Olstineck. Toż samo czyni „Encyklopedya Powszechna" za Balińskim i może za Święckim, wykazując toż miasto pod obydwoma nazwami.

„Olsztynek" zaznacza wyraźnie na miejscu tegoż Allensteinu mapa Europy, wydana w Warszawie r. 1873, ułożona przez Stroynowskiego i „Hochenstein" na miejscu Hohensteinu.

Tenże Hohenstein zwie Cellarius „Meloelstineck," co przypomina Melsztynek Zarańskiego.

Wacław Grodecki (1558) na swéj mapie zaznacza „Olstinck" na miejscu tegoż Hohensteinu, pisząc Altenstein zamiast Allenstein.

„Olstinck" Grodeckiego odpowiada dzisiejszéj pisowni Olsztynka; tak zwie téż Hohenstein w swéj „Małéj Encyklopedii" Plater.

Długosz mówi pod r. 1464, że Jan Skalski zdobył Holschtin czyli Olschtin; Bielski pisze „Holstink" a Kromer „Holsteinum Magnum," co tłómacz jego przełożył na Hesztejn czyli Holstyniec.

„Wzięty i Olstynek nad Allą," (czytaj Łyną) zapisuje to zdarzenie Morawski w „Dziejach Narodu Polskiego". Gołębiowski pisze „Holsztyn".

Z przywiedzionych tu źródeł nie podobna dociec, które właściwie miasto zburzył Skalski czy Olsztyn (Allenstein) czy Olsztynek (Hohenstein).

Nie dosyć na tém. Z pocztu chorągwi krzyżackich „Banderia Prutenorum" itd." zdobytych w rozprawie Grunwaldzkiéj, przepisanego ręką Żebrowskiego i znajdującego się w Bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, dowiedzieć się można, że Olsztynem (Olsten) zwanym był także *Melzak*, nad Walszą, na wschód Elblągą, czyli „*Holsten major*," *Holstel większy* u Bielskiego, a „*Holszthen większy*," u Paprockiego. W indeksie zaś herbarza Paprockiego, wydania Turowskiego, czytam: „Olsztynek (Holsztyn po niemiecku Allenstein), miasto nad Allą w Warmii," czego żadną miarą pogodzić nie umiem z tém co poprzedza, ani wyliczoną przez T. Nar-

butta pod N. 30 chorągwią „komandora z Holsztynu (*Lachin* alias *Leschken* u Długosza)“

Takiéj sprzecznéj nomenklatury przykłady, będąc bardzo liczne i powszechne, wymagają po szczególe osobnych studyów. Zestawienie przeto wszystkich ważniejszych odmian wykazałoby nazwy mylne i błędne pisownie; uprościłoby historyografią i nie naraziłoby dziejopisarza na nieuniknione nieraz błędy.

Mniéj ważnych różnic między Kętrzyńskim a Zarańskim zebrałem między innemi następujące przykłady:

Śledziówkę w powiecie Sztumskim zwie Kętrzyński *Heringsdorf* a Zarański *Heringshöft*.

Kaski Zarańskiego czyli *Hermanus ruhe* zdają się być błędem drukarskim, Kętrzyński bowiem pisze: *Kawki*.

Heidenkrug zwie tenże *Szyłokarczmą*, a ów *Szyłokarznem*.

Zarański pisze: *Drzewinno* czyli *Holzort*, Kętrzyński: *Drzewin* w powiecie Kościerskim. Mapa Chrzanowskiego zaznacza wioskę „*Drzewina*“ na południe-wschód Kościerza, zachód Starogardu, przy trakcie, wiodącym z Chojnic do Skarszewa. Przypuszczając, że to jedna i taż sama miejscowość, mamy przy porównaniu trzech źródeł, trzy odmiany: *Drzewin*, *Drzewina* i *Drzewinno* oraz czwartą przezwę niemiecką *Holzort*.

Dworzyck wykazuje Kętrzyński trzy: 1. zwane *Curtshöhe*, na południe Chełmna, 2. Wilhelmsmark, na zachód-południe Świecia, zaznaczone na mapie Engelhardta pod nazwą: *Dworzisko*, i 3. na zachód-południe Nowego miasta, zachód Kurzętnika, w powiecie Lubawskim. To Dworzysko, przy którym Kętrzyński zapisuje odmianę Dworzisko, zwie Zarański: *Hof*; téj zaś nazwy niemieckiéj nie wykazuje Kętrzyński wcale.

Chrzanowski naznaczył, jak powyżéj określiłem, i nazwał należycie wszystkie trzy Dworzyska. Przy porównaniu atoli przywiedzionych tu źródeł, nie mówiąc już o innych, i przy stwierdzaniu tożsamości, wynurza się zawsze jakieś źródło wątpliwości, czy tam nie istnieje czasem inna jeszcze podobna miejscowość, któréj albo mapa nie zaznacza, albo słowniczek nie wykazuje. Określenia ogólnikowe nie dostarczają odpowiedniéj w téj mierze ścisłości.

Heilsberg, stolicę Warmii zwie *Licbarkiem* Kętrzyński i Sieniawski w swém „Biskupstwie Warmińskiém;“ Zarański zaś zapisuje *Heilsberg*, miejscowość w Prusach Wschodnich, zwaną *Świętą Górą*. Nie znalazłszy tam drugiego Heilsberga, przypuszczam, że stolica Warmii zwie się także Świętą Górą, jak np. Heiligenbeil Świętą Siekierką. Z pomiędzy warjantów: *Heilsberga*, *Heilsperga*, *Alersberg*, *Heleberg*, *Helzberg* i *Lecbark*, nie polegając zbytecznie na Zarańskim

wybrałbym też ostatnią nazwę. *Licbark* albowiem Kętrzyńskiego i Sieniawskiego brzmi prawie zupełnie jak *Lidzbark*, przezwany, *Lautenburgiem*; zachowując zaś pisownię „*Licbark*,“ wypadałoby dla należytego odróżnienia, nazwać jedno miasto *Licbarkiem* np. *Warmińskim*, a drugie *Lidzbarkiem* np. *Pruskim*.

Miejscowa nazwa jest wprawdzie głównym przewodnikiem w tego rodzaju pracach, leksykografom atoli wolno dodać w takich wypadkach bliższe określenie, jakie uznają za stosowne lub też całkiem poprawić pisownią, jeżeli ta w użyciu stała się błędną.

Na poparcie tego zdania przypomnę Szanownemu autorowi, że w rozprawie swéj o Beisenach, których zwie Bażyńskimi, a nie Bażeńskimi, jak Niesiecki i inni, wyprowadza nazwisko to od wsi „Bażyny“ z pod Ornaty, całkiem pominiętéj w rozbieraném tu dziełku.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, że imiona własne mają swoję pisownię i poprawną i błędną. „*Usus tyrannus*“ odgrywa tu wprawdzie ważną rolę, nie powinien przecież rozbrajać krytyki, która dąży do poprawności.

Niepoprawną zdaje mi się np. pisownia Jaguszewic, w przeciwnym razie stanowiłyby Jaguszewice chyba unikat w nomenklaturze polskiéj co do źródłosłowu, a takich unikatów jest stosunkowo bardzo mało, w porównaniu do bogactwa derywatywów.

Inaczéj całkiem rzecz się przedstawi, jeżeli poprawimy Jaguszewice na Jakuszewice lub na Jakuszowice. Tu, pomijając nazwy: Jacussius, Jakusowa, Jakuzy i Jakussy, spotykamy się z następującą nomenklaturą: Jakusz,—e,—ewa,—ewka,—i,—icha,—iło,—ka,—na,—owice,—ówka,—yszki. Jakuszowice (Jakusowicze) najwięcéj przypominające „Jaguszewice“ p. Kętrzyńskiego leżą nad Nidzicą, na południe-wschód Szkalbmierza, a dwaj kanonicy Krakowscy z Jakuszowic zachodzą już pod r. 1061-ym.

W przypisku drugim do rozprawy swéj o Bażyńskich, zamieszczonéj w X-ym Roczniku Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, na str. 118-éj, wspomina Dr. Kętrzyński o wsi *Heselecht* czyli *Leszcze* pod Toruniem, i o drugiéj téjże niemieckiéj nazwy pod Dąbrownem, o któréj pisząc nie wiedział czy się również zwie „Leszcze“; W „Nazwach“ zaś miejscowych nie zamieszcza Heselechtu z pod Torunia a Leszcz, Leszcze czyli Leszno odnosi do nazwy Lescz. Heselecht przypomina tak zwaną i pisaną w r. 1369 wieś na Szlązku pod Strzygłowem, zkąd prawdopodobnie przeniesiono tę nazwę do Prus.

Pod „*Hornikan*“ zapisuje autor odmiany: *Arnikowy*, *Hornikowy* i *Horniki*, z których ostatnia, przypominając *Górniki*, najwięcéj się

zbliża do brzmienia polskiego. Wiadomo bowiem powszechnie, że sławiańskie H odpowiada naszemu *G;* to też u Wendów spotykamy dziś jeszcze nazwy jak np. *Hora=Góra*, *Horka=Górka*, *Hory=Góry* itd. Chrzanowski zwie miejscowość tę Horników.

Wspomniawszy w toku powyższych uwag mapę Chrzanowskiego (1) zwracam na nią uwagę sz. Autora. Wśród powodzi nazw niemieckich w Prusiech i na Pomorzu przechował mapograf ten różne nazwy Polskie, pominięte całkiem w „Nazwach miejscowych."

Mierząc wreszcie, pojawiające się na polu ziemiopisarstwa naszego prace, miarą utworów tego rodzaju obcych narodów i miarą pragnień własnych wyprzedzenia tychże, skréśliłem powyższe uwagi, które w niczém pracy p. Kętrzyńskiego nie uwłaczają. Pozostanie ona kamieniem węgielnym i bodźcem do dalszych w tym kierunku poszukiwań, i świadczyć będzie o zasługach uczonego autora, który nie ulękłszy się tak suchéj i nudnéj, a dla powodzeń autorskich niewdzięcznéj pracy, wzywa w swéj przedmowie wszystkich lubowników rzeczy swojskich, ażeby zbierali nazwy rzek, strumyków, jezior, stawów, gór, lasów itp., zamierza bowiem wydać z czasem całą topografią polską Prus Wschodnich i zachodnich.

E. Callier.

Wielka rodzina w wielkim narodzie, przez Ludwika Piotra Leliwę.—Kraków, 1879 r.

Skromność jest jedną z tych zalet, które się najmniéj rzucają w oczy, rzecby można, że dopiéro wtedy ją w kimś dostrzegamy, kiedy aż do przesady posuniętą zostanie. O przesadę tego rodzaju, ani tytuł, ani treść, obwinić książki, o któréj mówimy, nie pozwalają! Wprawdzie pedantyzm krytyczny mógłby niektórym ustępom zarzucić przesadę w innym kierunku, wprost przeciwnym wskazanemu dopiéro, aleć doskonałości skończonéj pod wszystkiemi względami od nikogo nie mamy prawa wymagać. Uprzedza nas o tém „Przedmowa." Ładnie tam powiedziano, że myśl ludzka to „krew duszy, wielka, święta rzecz", któréj „poniewierać, marnować, zabijać..... pisaniem błahych, ckliwych, pustych utworów" nie należy; ale zarazem

---

(1) O „przedawnieniu" mapy Chrzanowskiego odpowiem Redaktorowi „Wędrowca" skoro się dowiem *jakich* „prac kartograficznych, zgodnych z dzisiejszym stanem rzeczy," używa za podstawę do układania „Słownika Geograficznego" i skoro takowe porównam z mapą Chrzanowskiego -albo i wcześniéj.

dodano przestrogę, że „wymagać zawsze od ludzkich zdolności dzieła olbrzymiego rozmiaru, mocy i potęgi jest rzeczą niepodobną.“ O tem niepodobieństwie i najbardziéj zatwardziały niedowiarek przekonać się teraz może.

Książka p. Leliwy nie jest olbrzymich rozmiarów, zawiera tylko 265 stron *in octavo*, nie licząc spisu rzeczy i wykazu źródeł; ale zewnętrzną szatą swoją z góry już nas korzystnie dla siebie usposabia. Czysty, elegancki elzewir, na pięknym papierze glansowanym, nader mile się oku przedstawia i przynosi zaszczyt zarówno staranności drukarni Anczyca jak wspaniałéj, iście magnackiéj hojności nakładcy, który widocznie żadnych kosztów nie szczędził.

Przejdźmy teraz od formy materyalnéj do duchowéj treści.

Składa się ona z poezyi i prozy, a ta ostatnia zawiera mozaikę ustępów biograficznych i moralizatorskich, polemizujących i poetycznych, są tu mowy i listy, nie brak i ponuro-melodramatycznéj legendy.

Nie bardzo poczuwając się na siłach do wydawania sądu krytycznego w materyach tak różnorodnych, myśleliśmy wywiązać się z zadania naszego przytoczeniem dosłowném miejsc wydatniejszych, bardziéj charakterystycznych, częstokroć wielce kwiecistym stylem wypowiedzianych. Pierwotny ten zamiar rozbił się niestety, o trudny do zwyciężenia szkopuł, zawarty w tych wyrazach: „*Przedruk zastrzega się.*“ Szkopuł niespodziewany i arcy dla nas przykry. Wspomnieliśmy sobie, że autor sławi gościnność i hojność dawnych naszych magnatów i opowiada, jak na obczyznie „złoto i srebro rozrzucano, najpiękniejsze dary rozdawano, nie szczędzono żadnych wydatków,“ a jednak sam nie naśladuje tego chwalebnego przykładu, owszem, dla ziomków swoich okazuje się oto, *passez moi le mot*, skąpym, i ze skarbnicy ducha swego czerpać nie pozwala.

Znalazłszy w jego książce przedruk psalmów w przekładzie Wacława Rzewuskiego, wydanych przed 100 laty, przedruk całego mickiewiczowskiego Farysa, przedruk 5-ciu stron z księdza Bougeaud, 3½ z pamiętników Ochockiego, tyleż z Wincentego Pola, a nie wiele mniéj z Fredry, Siemieńskiego i Michała Jezierskiego, nie jeden czytelnik mógłby zaprotestować przeciw tak surowemu zakazowi; my jednak, szanując wolną wolę każdego, szanując prawo własności w ogóle, a własności literackiéj w szczególności, poddajemy się losowi w milczeniu i w inny sposób radzić sobie musimy.

P. Leliwa zamierzył w swém dziele wystawić starożytność, zasługi i rolę historyczną rodziny Rzewuskich herbu Krzywda, a właściwie mówiąc, hetmańskiéj tylko jéj gałęzi, gdyż lubo ta gałąź, jak czytamy na str. 22, pochodzi z Podlasia, wszelako Rzewuscy, którzy

mieszkają w Lubelskiém, na Ukrainie, na Podlasiu i w Krakowie, „nie są bynajmniéj spokrewnieni, nie mają nic wspólnego z linią hetmańską“ (str. 264).

Autor zapewnia, że ród to starodawny „sięgający czasów Jadźwingów, a przechodzący zarazem z narodem polskim wszystkie jego świetne koleje historyczne.“ Może to posłużyć do uzupełnienia dzieła Bartosza Paprockiego, który pod herbem Krzywdą jeszcze nazwiska Rzewuskich nie wspomina, a natomiast o szlachcie tego herbu taką podaje uwagę: „Rozumiéj, gdzie ja piszę *dom rozrodzony*, tam jest wsi dziesięć, a wszystko panowie, chłopa o zakład nie najdzie; jest dwadzieścia i trzydzieści panów w jednéj wsi, i więcéj: pić, bić, pomogą radzi.“ Ale ktoby tam staremu bajarzowi dawał wiarę? P. Leliwa słusznie powtarza za myślicielem francuskim, iż „od półwieku historya jest spiskiem przeciwko prawdzie,“ słusznie zapytuje: „czy tylko od pół wieku?“ słusznie wreszcie powołać się może na powagę Caracciolego (który był guwernerem w domu hetmańskim) na dowód „że Rzewuscy okazują się już od VIII wieku, jeszcze przed wprowadzeniem chrześciaństwa do Polski.“ Data istotnie dawna, któréjby i Montmorency, ów *premier baron de la chrétienté*, mógł pozazdrościć. Nawet między najdawniejszymi domami panującymi w Europie niełatwo znaleść podobną starożytność: francuscy Burbonowie, Wittelsbachy bawarskie, dom Welfów, który posiadł trony Brunszwiku, Hanoweru i Anglii, nie mogą poszczycić się tak starą datą; o względnie późnych Habsburgach i Hohenzollernach nawet mowy tu być nie może.

Że dom Rzewuskich „jest starożytny, dowodzi biskup Gervelius Rzewuski, żyjący w roku 1120,“ a tego znowu dowodzi portret jego, który „znajduje się w Pohrebyszczach.“ Szkoda, że nie powiedziano jaką zarządzał dyecezyą; ze względu na sąsiedztwo Jadźwingów, przypuszczać można, że leżała ona dawniéj *in partibus infidelium*, a obecnie *in partibus credulorum*.

Daléj, znajdujemy wiadomość że „ród Rzewuskich zbudował za Leszka Czarnego w r. 1179 kilka miast i dwie twierdze na Podlasiu, nazwane Rzew lub Rzewin.“ Wiadomość to ciekawa, ale wymagająca małego sprostowania. Nie mogło się to stać za Leszka Czarnego, którego dziadek miał się dopiéro po téj dacie narodzić, ani też za Leszka Białego, który jeszcze wtedy nie przyszedł na świat, jeno za mazowieckiego Leszka, barwy niewiadoméj, którego nazwijmy Bladym, był bowiem niedołężny i schorowany. W całém księstwie, jakie po ojcu odziedziczył, nie było jeszcze ani jednego miasta: owe więc „kilka miast“ nowozbudowanych mogły być mu bardzo pożądanym nabytkiem. Należy także nadmienić, że „dwie twier-

dze" nie leżały bynajmniéj na Podlasiu; strażnice te wysunięte były daleko po za granice Podlasia, w dwie przeciwne strony: Rzewin w Płońskiém, nad Wkrą, a Rzew a raczéj Rżew w gubernii Twerskiéj, nad Wołgą, formowały w ten sposób ogromną linią fortyfikacyjną, która co do długości z murem Chińskim rywalizować może.

Wspomniony już Caraccioli utrzymuje, że w archiwach Rzewuskich „istnieje dyplom podpisany ręką Władysława Jagiełły, w którym on uznaje, iż pochodzą od piérwszych książąt polskich." Trudno jest wszakże zgodzić się na to z uczonym Włochem, a to z dwóch powodów. 1) Wiadomo z historyi, że zacny król Jagiełło czuł wrodzony wstręt do pióra i niezmiernie ciężkim był do pisania; są tacy nawet, którzy mniemają, że król wcale był niepiśmiennym. Nie zagłębiając się w tę drażliwą materyą, przejdźmy z kolei do drugiego powodu. 2) Oto „Adam Rzewuski, kasztelan witebski, mówi w pozostałych po nim własnoręcznych manuskryptach, że Caraccioli się myli, albowiem chociaż dyplom ten rzeczywiście istnieje, ale pochodzi nie od Jagiełły, lecz od Bolesława Chrobrego i jest z r. 1001." Rzeczywiście, Bolesław Chrobry w roku 1001 panował.

„Rzewuscy mają drugi dyplom, dany im na tytuł książęcy przez Jana Kazimierza. Tego tytułu nie używali, mając wzgląd na równość szlachecką, chociaż dyplom ten i do dziś dnia znajduje się w archiwach biblioteki Pohrebyskiéj na Ukrainie." Lelewel, pisząc o rodzinach utytułowanych w Polsce, nie wspomina o tym dyplomie i posuwa się tak dalece, że utrzymuje jakoby królom polskim nie służyło prawo nadawania tytułów książęcych. Dziwić to nikogo nie będzie, gdy sobie przypomni, że Lelewela nie żartem pomawiano o przechylanie się ku różnym ideom republikanckim, a bodaj i demagogicznym.

W twierdzeniu, iż jeden z Rzewuskich był za czasów Sobieskiego „podskarbim wielkim koronnym, (i) doprowadził finanse polskie do świetnego stanu," zaszła drobna omyłka. Finanse polskie za Jana III były w bardzo nieświetnym stanie: Rzewuski temu, co prawda, wcale nie winien, gdyż nie był podskarbim *wielkim*; miał on urząd podskarbiego *nadwornego* i mógł urządzać świetnie wszelkie inne finanse, tylko nie koronne. Nie mogła też po Floryanie pozostać buława, skoro nie piastował urzędu hetmana: pamiątka więc przechowywana w pałacu Wierzchowieńskim, to chyba buzdygan tylko.

W okrutnym stawił nas kłopocie autor, twierdząc (str. 29), że Floryanowi Rzewuskiemu, zmarłemu w r. 1687, wniosła Koniecpolska w posagu Olesko, w którém urodził się Jan III, i Podhorce, ów piękny zamek, znany dobrze publiczności z Album Matejki. Jakże

się to stać mogło, kiedy najprzód, Olesko było wówczas dziedzictwem Sobieskich, i właśnie w r. 1687 król Jan bawił tam z królową, kiedy, powtóre, wiadomo, że Koniecpolski zapisał Podhorce królewiczowi Jakóbowi, który w tymże roku 1687 przyjmował tu swą matkę i ciotkę?

Po krótkim życiorysie hetmana Stanisława Mateusza, opowiedziany jest obszernie, ale nie wyczerpująco, żywot Wacława hetmana w. kor. Nie lekceważymy jego zasług i cierpień, sądzimy jednak, że większa doza prostoty w opisie nie ubliżyłaby w niczém pamięci tego męża. Mając zamiar mówić o trzecim jego synu, szkoda, że nie zwrócono uwagi na przysłowie wschodnie: mowa jest srebrem, ale milczenie złotem. Na stronach 153—157 zamiast dziejów ambasady Adama Rzewuskiego do Danii, mamy regestr garderoby ambasadora. Jest to zajmujące wprawdzie, ale wolelibyśmy tamto.

Powieściopisarz Henryk hr. Rzewuski nazywany jest „jednym z najpotężniejszych geniuszów tegoczesnéj literatury polskiéj.“ Poemat *Pan Tadeusz* „ta genialna epopea szlachecka, dzieło największego z poetów, znajduje się być natchnioną“ Mickiewiczowi przez hrabiego Henryka. „Nie ma w całéj Polsce strzechy słomianéj i pałacu pysznego, żeby w ręku kobiét, mężczyzn, dzieci, młodych i starych, uczonych i światowych, pracujących i próżnujących, dzieła hrabiego Henryka Rzewuskiego się nie znajdywały.“ Czyż to nie złudzenie przypadkiem? O pałacach nie mówimy, gdyż ich nie znamy; ale co do strzech słomianych, niestety, daleko jeszcze do tego, żeby pod każdą z nich znajdował się choć elementarz. Wytężyć w tym celu usiłowania, byłoby może stosowniejszym hołdem dla pamięci wielkich wojowników i znamienitych pisarzy, aniżeli wygłaszanie szczerych zapewne, ale nie przynoszących krajowi żadnego pożytku hymnów pochwalnych.

Postawienie tegoż Henryka Rzewuskiego obok Kopernika (str. 257) nie wyda się czytelnikowi przesadzoném, gdy poprzednio spotkał się już z przyrównaniem Podhorzec do Rzymu (str. 133). Jakby wynagradzając stolicę Włoch za to porównanie, nazwano ją w innéni miejscu (str. 90) „kolebką chrześciaństwa,“ z widoczną krzywdą dla Palestyny.

Mówiliśmy wyżéj, iż kanwę biograficzną urozmaicają epizody moralizujące, rozprawki historyczno-socyalne i wycieczki polemiczne. Wskażemy tu kilka przykładów.

Wyjazd za granicę Wacława Rzewuskiego dał sposobność do umieszczenia traktaciku moralnego, w którym zestawiono dawniejszych wojażerów z dzisiejszymi turystami. Autor sądzi spółczesnych surowo, na przeszłość zaś zapatruje się z własnego oryginalnego pun-

ktu widzenia, kreśli więc obraz stanowczo różny od tego, który widzieliśmy w Przypadkach Doświadczyńskiego.

Tu należą dysertacye o szczęściu (76—78), o porządku w sprawach domowych (70—72), o przywiązaniu do strzechy i tradycyi rodzinnéj (73—75). Autor oburza się „na ohydną hydrę cudzoziemszczyzny,“ zaleca umiłowanie literatury ojczystéj, przenosi ją ponad obce (12—15), a ma prawo to mówić, gdyż powołuje się na Rousseau'a, Condillaca, Pascala, Goethego, księdza Bougeaud, Ducisa, de Maistre'a, Micheleta, kardynała Dupanloup, Caracciolego, Szekspira, Platona i św. Teresę. Że korzystał i z autorów krajowych, o tém była już wzmianka.

Pełen gorącego uwielbienia dla Polek, dla ich cnót anielskich, autor wpada w istny zapał, unosi się na skrzydłach fantazyi, a pełzającemu po ziemi sceptycyzmowi rzuca takie wyzwanie: „Ale co pewne, dotykalne, widzialne, to, że Polka o sto Himalajów wyżéj od innych stoi, stała i stać będzie“ (str. 83). Żałujemy, że się nie znamy na hypsometryi.

Z apologetycznym przeważnie zakrojem dzieła umiano pogodzić harmonijnie objektywizm niepospolity. Jadowitość rewolucyonistów francuskich, krwawa rola inkwizycyi, okrucieństwo Henryka VIII i brak charakteru w Stanisławie Auguście, legły pod jednakowym wyrokiem potępienia. Wyjątkowym sposobem zakwalifikowany został do amnestyi jeden tylko pan starosta Doliński.

Autor, a raczéj chyba autorka (bo tém eterycznémpiórem tylko delikatna dłoń kobiéca tak rączo kierować mogła) wypowiada wiele innych, równie pięknych prawd, czuje żywo, pisze śmiało, przewrotnym doktrynom teraźniejszości wypowiada walkę, na zoilów się nie ogląda. Książka, którą nas obdarza, obejmuje wiele interesujących dokumentów, z archiwum familijnego czerpanych, między któremi niepoślednie miejsce zajmuje mowa Adama Rzewuskiego, w któréj z taką do Tadeusza Czackiego zwrócił się apostrofą: „Pozwól pismom moim ukrywać się w cieniach życia prywatnego.... Pozwól, by słaby i niknący głos mój w obrębach ścian domowych był zawarty i stawał się tylko zabawą i zatrudnieniem grona mych dziatek.“ Któżby żądaniu tak rozsądnemu i naśladowania godnemu mógł odmówić pochwały?

KRONIKA NAUKOWA.

Sprawa darwinizmu.

I.

O ile nużące i bezowocne są wycieczki przeciw *darwinizmowi*, prowadzone ze stanowiska zasad mniemanéj moralności lub ocalenia publicznego, o tyle na uwagę ogółu zasługują spory czysto naukowe, prowadzone w saméjże dziedzinie *teoryi rozwoju istot*. Stosowna bowiem będzie tu przypomniéć, że zgoła niewłaściwém jest mieszanie dwu różnych zasad, teoryi rozwoju, *ewolucyi*, *transformizmu*, z teoryą *selekcyi*, *doboru naturalnego*; a jeżeli pogląd drugi od nazwiska jego twórcy słusznie mianem darwinizmu oznaczamy, to dla téjże saméj przyczyny należałoby piérwszy nazywać *lamarkizmem*, bo zasługa wprowadzenia go, jak na to w ostatnich czasach bliższą uwagę zwrócono, przypada Lamarkowi i odnosi się do początków bieżącego stulecia.

Cała zasada teoryi rozwoju daje się bardzo prosto sformułować: W świecie organicznym zachodził postęp stopniowy od najniższych początków, od istot mniéj doskonałych do coraz doskonalszych; zwierzęta wyższe rozwinęły się z istot niższych. Otóż stopniowe to doskonalenie tłómaczy Darwin i jego stronnicy drogą czysto mechaniczną, doboru naturalnego, to jest wyboru wykonywanego przez samę przyrodę, a w skutek którego w walce o byt zachowują się te osobniki, które najlepiéj są uzdolnione do oporu przeciw niebezpieczeństwom, i które korzystne swe własności przekazują potomstwu. Zarówno dobrze obmyślana, jak i licznemi dowodami poparta, nauka ta góruje dotąd w ogólnéj teoryi rozwoju i pospolicie brana jest z nią za jedno; pomimo to nie przebrnęła ona wszystkich trudności i nie pokonała wszystkich zawad, tłumnie nasuwających się

śród olbrzymiego zadania. I podczas, gdy jedni stronnicy teoryi rozwoju, nie wykraczając po za obręb wyboru naturalnego, starają się przy jego jedynie pomocy rozwikłać wszelkie nasuwające się zagadki, sądzą inni, że dla wyjaśnienia drogi doskonalenia się istot należy powołać się na inne czynniki, jak np. migracyą i odosobnianie pewnéj części osobników danego gatunku, lub zmienne rozradzanie się; nieraz też odzywają się głosy przyznające materyi ożywionéj zasadniczą, wrodzoną dążność do stopniowego doskonalenia się. Wprawdzie, nie dosyć silne u podstaw, lub przynajmniéj słabo rozwijane i popierane, te i tym podobne teorye nie zdołały dotąd dobić się istotnego uznania, ale i sam Darwin czuł zapewne potrzebę uzupełnienia swéj teoryi, gdy w dziele swém „*O pochodzeniu człowieka*“ nader wybitne znaczenie przyznał *doborowi płciowemu!* Dobór ten odnosi się do tych cech, które zapewniają osobnikowi możność rozradzania się, nie uzdolniając go zresztą silniéj w walce o byt; to może być wynikiem tych własności, które płeć jednę czynią dla drugiéj powolniejszą, albo też sprawę rozradzania się w jakikolwiek sposób ułatwiają; innemi słowy, dobór płciowy rozciąga się do tych własności, które mają znaczenie przedewszystkiém dla zachowania gatunku a nie dla zachowania jednostki. Najpospolitszym po temu środkiem jest piękne ubarwienie, albo podobnego znaczenia ozdoby, jak grzebienie, wytworne pióra i t. p. dodatki, rozwijające się przeważnie u samców. A stroje te samców musiały mieć dla nich nader ważne znaczenie, gdyż nieraz osiągnięte zostały kosztem większego narażenia się na niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciół. U wielu gatunków, samce wdziewają ozdobną swą szatę dopiéro za dojściem do dojrzałości, albo przybierają ją tylko na czas zalotów.

Otóż, *przypuściwszy*, że samice przekładają piękniejszych samców lub też bezwiednie są przez nich silniéj pobudzane, to samce zwolna przez dobór płciowy coraz powabniejszymi stawać się będą. Że to właśnie ta płeć uległa głównie przeobrażeniom, potwierdza fakt, że prawie w każdym rodzaju, gdzie obie płcie wyraźnie się różnią, samce wyróżniają się między sobą daleko wybitniéj, niż samice. Taką jest, w najgrubszych, rozumie się, rysach teorya Darwina o doborze płciowym, która zasłynęła ztąd mianowicie, że została przez swego autora zastosowaną do wyjaśnienia kwestyi pochodzenia człowieka. Już z powodu drażliwości tego przedmiotu narażona na liczne napaści, napotkała jednak teorya doboru płciowego i poważną krytykę, mianowicie ze strony Wallace'a, jednego z twórców nauki o rozwoju gatunków. Już w r. 1871 zasłużony ten naturalista i podróżnik wykazał, że nowa teorya Darwina, co do owadów zwłaszcza, napotyka istotne trudności, które jéj ciężko pokonać.

Pogląd swój rozwinął jednak Wallace szerzéj dopiéro w niedawno wydaném dziele *O świecie zwrotnikowem*, mieszczącém zarazem szereg rozpraw botanicznych i zoologicznych, osnutych na podstawie bogatego zasobu, zebranego przez autora w ciągu dwunastoletniego pobytu w okolicach równikowych starego i nowego lądu. Otóż, jeden z najważniejszych ustępów téj ważnéj pracy, tyczy się ubarwienia istot organicznych, a prawa rozwoju barw zwierzęcych, autor obejmuje teoryą wręcz przeciwną poglądom Darwina.

Do ostatnich czasów uważali naturaliści barwę za objaw zgoła podrzędny, zmienny, wcale zatém gatunku nie cechujący; zwolna jednak rozwinęło się przekonanie, że jakkolwiek liczne są w tym względzie zboczenia, to jednak przypadki te stanowią tylko wyjątki, a barwę uważać należy za cechę stałą istot żywych, któréj badanie doprowadzić może do rozjaśnienia niejednéj zagadki.

Przyjmowano w ogóle dotąd za rzecz należycie uzasadnioną, że ubarwienie jest bezpośredniém następstwem działania promieni słonecznych, to miało tłómaczyć nadmierne bogactwo świetnie ubarwionych ptaków, owadów i kwiatów międzyzwrotnikowych. A tymczasem, jakżeż nieubłaganą jest nauka nawet dla najniewinniejszych przesądów naszych, długoletnia obserwacya nauczyła Wallace'a, że owe błogosławione strefy ziemi, zgoła nie są uprzywilejowane pod względem świetności stroju swych mieszkańców. Jeżeli przebywa tam więcéj ozdobnych ptaków i owadów, to dla tego tylko, że w ogóle więcéj żyje tam zwierząt, ale stosunek istot strojnych do niepozornych jest tam mniéj więcéj takiż sam, jak i w strefach umiarkowanych. Zresztą, najpiękniejsze ptaki międzyzwrotnikowe przebywają w lasach, gdzie liście chronią je od palących promieni słonecznych, a najliczniej występują pod samym równikiem, gdzie niebo bardzo często zakryte jest chmurami. Co do roślin, stosunek jest jeszcze niekorzystniejszy dla pasa gorącego, a najwytworniejsze ozdoby naszych cieplarń pochodzą z krajów umiarkowanych. Wprawdzie, obserwacye niektóre uczą, że niekiedy barwa zwierzęcia stosuje się do otoczenia, szarańcza południowo-afrykańska posiada zawsze barwę gruntu, na którym się znajduje; poczwarki pospolitego motyla, białka kapuścianego, bywają białe, czerwone lub czarne, stosownie do tego czy gąsienica przed przemianą znajdowała się na murze białym, na cegle, lub na żywicznych częściach rośliny. Zdolność ta wszakże zmieniania barwy i stosowania jéj do otoczenia jest rzadką, wyjątkową; w ogólności barwa istoty żywéj nie zostaje w bezpośrednim stosunku do natury padającego na nią światła. Światło przeto i ciepło nie mogą być źródłem téj osobliwéj rozmaitości i wspaniałości barwnéj, jaką napotykamy w państwie zwierzęcém i roślinném.

Należy zatém barwy te rozpatrywać z innego stanowiska i podzielić je według celu, do którego służą, o ile go znamy, albo też według ich stosunku do obyczajów zwierząt. W ten sposób Wallace dzieli barwy zwierzęce na cztery rodzaje: 1) barwy ochronne, 2) ostrzegawcze, 3) płciowe, 4) typowe.

Barwy ochronne są silnie rozpowszechnione; napotykamy je u zwierząt białych dalekiéj północy, u czworonogów płowych pustyni, u zielonych ptaków i owadów lasów zwrotnikowych, i można by bez liku mnożyć przykłady, w których barwa służy do ukrycia zwierzęcia przed napastującym je wrogiem, lub też do zatajenia go przed wzrokiem ofiary, na którą czyha.

Barwy ostrzegawcze (*warning colours*) mają natomiast znaczenie wprost przeciwne; służą bowiem nie do utajenia zwierzęcia, ale owszem do najwybitniejszego uwidocznienia go. Dla zwierząt tych potrzeba, aby je dostrzegano i poznawano łatwo, opatrzone są bowiem bronią, któréj nieprzyjaciele unikają, ale która w obec napadu istotnego, nie byłaby w możności uchronienia życia zwierzęcia. Najlepszy tego przykład stanowią motyle dzienne z rodziny danaid, obejmującéj mnóstwo gatunków a rozprzestrzenionéj po wszystkich okolicach strefy gorącéj. Są to owady w ogólności wielkie, wspaniale ubarwione i tak upstrzone plamami, że zdaleka łatwo je poznać. Latają powoli i nie starają się nigdy ukryć, ale ani ptak lub małpa, ani pająk lub jaszczurka, nigdy ich nie tknie, jakkolwiek zwierzęta te chętnie motylami się karmią; przyczyną tego jest silna woń, która nadaje im smak wstrętny, pojmujemy przeto, jaką korzyść przedstawia dla nich to, że łatwo i zdaleka można je poznać. Ochrona, jakiéj barwy ostrzegawcze udzielają zwierzętom w nie zaopatrzonym, spowodowała to, że wiele innych zwierząt przybrało też samę barwę, podobną postać i lot jednaki; dla tego to wszędzie, gdzie wielka grupa zwierząt korzysta z barw ostrzegawczych, napotykamy też zwierzęta, któreby były zgoła bezbronne, ale które są do poprzednich tak podobne, że je trudno od nich odróżnić; a przez takie rzekome przybranie znajdują osłonę od niebezpieczeństw; nazwano to *maskowaniem*, naśladowaniem (*mimicry*).

Trzecia kategorya barw obejmuje przypadki, w których obie płcie rozmaicie są ubarwione, odmienność ta zresztą jest różnego natężenia, od nieznacznéj różnicy w odcieniu barwy sięga aż do zupełnéj odrębności koloru. Rozmaitość ta występuje w pośród kręgowych głównie u ptaków; z owadów najczęstszą jest u motyli.

Czwarta nakoniec grupa, obejmuje barwy gatunków wytwornie lub uderzająco w obu płciach ubarwionych, a gdzie kolorom tym nie można przypisać jakiegoś celu oznaczonego; należy tu znaczna

liczba ptaków ozdobnie upierzonych, jak tukany, sikory, szpaki i t. d., mnóstwo motyli i chrząszczy, gąsienice, ważki, daléj niektóre ssące, jak zebra, znaczna liczba ryb morskich, gwiazdy morskie i wiele innych. Dodać należy, że ptaki do téj kategoryi należące gnieżdżą się w jamach i dziurach, albo téż budują gniazda zakryte, w których samice przy wylęganiu nie potrzebują barw ochronnych, i że przeto ginie tu jedna z głównych przyczyn, powodujących niepozorne ubarwienie samic w obec pięknych samców.

Daléj rozbiera Wallace, w jaki sposób powstają barwy różnych istot. Kolory ciał są w ogóle objawem pochłaniania lub téż krzyżowania się czyli interferencyi promieni światła. Przypadek piérwszy jest w świecie zwierzęcym i roślinnym o wiele pospolitszy; niektóre barwy, wchodzące w skład światła zwykłego czyli białego, ulegają pochłonięciu, inne odbijają się i one to wywołują kolor przedmiotu odbijającego. Jeżeli np. przedmiot zatrzymuje promienie niebieskie, posiada barwę pomarańczowo-czerwoną, a w ogólności barwa przedmiotu jest dopełniającą względem pochłoniętéj. Przyczyna, wywołująca pochłanianie barw, polega na budowie cząsteczkowéj ciała, na którą ma wpływ przeważny skład chemiczny, a w pewnym stopniu i inne czynniki, jak ciepło np. Substancye barwiące ciała zwierzęcego są bardzo różne; w czerwonym barwniku skrzydła turaka znaleziono miedź, a w skorupach jaj odkrył Sorby siedm różnych materyałów barwnikowych, zbliżonych po części do barwników krwi i żółci.

Przez krzyżowanie promieni światła powstają barwy w świecie zwierzęcym daleko rzadziéj. Tworzą się one zresztą dwojakim sposobem, albo przez odbicie od dwu powierzchni błon przezroczystych, podobnie jak to ma miejsce w bańkach mydlanych; albo téż w skutek drobnych rysów, przecinających powierzchnię odbijającą, jak w perłowéj macicy. Należą tu n. p. metaliczne połyski owadów, skrzydeł niektórych ptaków i łusk rybich.

W każdym razie wszelkie ubarwienie ma podstawę fizyczną, innemi słowy jest następstwem budowy zewnętrznych warstw skóry; barwa przeto zwierzęcia jest dlań objawem stałym, normalnym, ale że organy zewnętrzne daleko łatwiéj ulegają wpływom otaczającym aniżeli wewnętrzne, i łatwiéj się do tych wpływów stosują, wynika ztąd, że zmiany ubarwienia daleko będą częstsze aniżeli zboczenia przyrządów głębszych ciała. To téż tłómaczy jednostajność koloru krwi, mięśni, nerwów i kości w obec pstrocizny części wierzchnich. Przy bezustannych przeto zmianach, jakim ulegają zwierzęta i rośliny, i barwy ich także dążyć będą bezustannie do przeobrażania się, przyczém dobór naturalny rugować będzie te kolory, które dla istot

danego gatunku są szkodliwe, a zatrzymywać i wzmagać będzie pożyteczne.

W ten sposób tłómaczy się rozwój barw ochronnych i ostrzegawczych. Jeżeli barwa jaka była dla zwierzęcia w piérwszém czy to drugiém znaczeniu pożyteczną, to utrwalała się każda zmiana, która barwę tę czyściejszą i wyraźniejszą czyniła, gdyż dobór naturalny statecznie w jednym i tym samym działał kierunku.

Większą trudność przedstawiają wspomniane wyżéj rzekome barwy ostrzegawcze, gdy zwierzę jest uderzająco podobném do innego, niejadalnego, a które ubarwieniem zdaleka łatwo poznać się daje. Uderzający przykład takich istot przedstawia południowo-amerykański rodzaj motyli *Leptalis*, pokrewny naszym białkom czyli bielinkom; niektóre jego gatunki są białe lub żółte i przez ptaki i inne owadożerne zwierzęta chętnie są jadane. Ale znaczna liczba innych tego rodzaju gatunków, ubarwioną jest ozdobnie i aż do najdrobniejsznéj kréski i plamki podobną do różnych danaid, o których wyżéj była mowa. Trudność wyjaśnienia tych barw naśladowniczych polega na tém, że słaby stopień zbliżenia do istot opatrzonych w barwy ostrzegawcze byłby zgoła bez korzyści, nagłéj zaś a daleko sięgającéj zmiany teorya stopniowego rozwoju przyjąć nie może. Ale Wallace radzi tu sobie w sposób, dosyć zapewne naciągany; w czasie, mówi on, gdy naśladowanie to się rozpoczęło, danaidy nie wyróżniały się tak dalece, jak obecnie, od innych motyli. I dzisiejsze danaidy bardzo się między sobą różnią, niektóre są mniéj pstro zabarwione, są żółte lub żółtemi pokryte plamkami i dosyć zbliżone są do grupy, do któréj rodzaj Leptalis należy, a przyjąć można, że w czasach, gdy rozpoczęło się przeobrażanie ich soków, które im ostatecznie nadało smak ckliwy, wejrzenie ich bardziéj było niepozorném, a lotem swojém i ogólném zachowaniem bardziéj były zbliżone do innych motyli. Gdy zaś stały się już niejadalnemi, okazało się dla nich korzystném należyte wyróżnienie śród innych motyli, a dla tego mogły się najlepiéj utrzymywać i rozradzać te odmiany, które najdokładniéj wyróżniały się długością skrzydeł i rożków, oraz barwą, którym, jedném słowem, posługiwały cechy, całą grupę dziś znamionujące.

W owych to czasach nieraz zdarzać się musiało, że białki posiadające lot wolniejszy, a żółtą lub brunantną barwą do ówczesnych danaid podobne, mogły być przez nieprzyjaciół za te ostatnie uważane i ztąd w walce o byt korzyść odnosiły. Jeżeli to tylko jedno przypuścimy, to dalszy przebieg wyjaśni się prawami zmienności i doboru przez przyrodę osobników, do hodowli najprzydatniejszych. Gdy motyl, posiadający smak ckliwy, zmienił się tak dalece, że mo-

tył jadalny nie był już do niego dostatecznie podobnym, to był znów na napaści wrogów wystawiony i te tylko odmiany zdołały się uchować, które podobieństwo to daléj posuwały. Przez ciąg wielu pokoleń niejedna odmiana tego motyla ginęła, gdyż przeobrażała się niedostatecznie i nie we właściwym kierunku, i oddalała się od sąsiednich gatunków, barwą ostrzegawczą opatrzonych; uchronić się zdołały te tylko odmiany, które statecznie i silnie podobieństwo to aż do obecnego czasu utrzymać zdołały.

Po tém streszczeniu poglądów Wallace'a na ubarwienie zwierząt w ogólności, zobaczymy jak zapatruje się on na rozmaitość zabarwienia obu płci, dla wytłómaczenia której Darwin powołuje dobór płciowy. Różnica ta, według Wallace'a, zależy przedewszystkiém od większéj siły życiowéj samców. Obserwacya uczy w ogólności, że ubarwienie zwierząt w czasie choroby, wycieńczenia, staje się bardziéj matowém, natomiast nabiera blasku przy pełném zdrowiu. Lepiéj jest to znaném co do ssących i ptaków, ale można to odnieść i do owadów, piękne bowiem barwy gąsienic mętnieją, gdy te przed oprzędzeniem się przechodzą w ociężałość. Zabarwienie samca nabiéra najwyższego natężenia w czasie parzenia, wtedy bowiem działalność jego życiowa najsilniéj jest wzmożona. Liczne przykłady zwierząt domowych uczą, że samce okazują w ogóle dążność do wytwarzania szczególnych dodatków i wybitniejszego ubarwienia. Możnaby objaw ten nazwać normalną różnicą płciową, a która się wzmaga skutkiem walki o samicę; utrzymują się bowiem wtedy osobniki silniejsze, a zatém posiadające i największe natężenie ubarwienia. Tak nabyty koloryt przez dziedziczność przechodził na obie płcie lub na jednę tylko, stosownie do tego, czy wytwarzał się we wczesnym okresie rozwoju lub też dopiéro u zwierząt dojrzałych jednéj płci. Gdzie zaś silniejszy rozwój barwy okazywał się dla samic szkodliwym, ulegał zawsze przytłumieniu przez dobór naturalny, co ma miejsce zwłaszcza u ptaków i motyli, gdzie różnice płciowe są najwybitniejsze.

Głównym celem barwności wyższych zwierząt jest, według Wallace'a, to, aby osobniki jednego gatunku łatwo się poznawały; największe przeto znaczenie posiada ona dla zwierząt latających, jak tych owadów np., które zawsze są w locie i jakby przypadkiem tylko się spotykają. Dla tego to samice pokrewnych gatunków motyli często silnie bardzo między sobą się różnią, gdy samce przedstawiają znaczne podobieństwo; te ostatnie bowiem są najruchliwsze, latają najwyżéj i muszą już zdaleka samicę poznawać.

Świadomy dobór płciowy, t. j. wybór samca przez samicę, według Wallace'a, nie wywiera żadnego zgoła albo co najwyżéj bardzo

słaby wpływ na barwę. Niewątpliwie, samice ptaków wybiérają niekiedy samców, ale żaden z przypadków przytoczonych przez Darwina nie przekonywa, iżby to barwa na wybór ten wpływała. Przeważne znaczenie mają tu inne czynniki, jak siła i żywotność, które bez wątpienia nieraz są z silnym rozwojem barwności połączone. Śród licznych przykładów Darwina brak jakiegokolwiek dowodu, aby samice uwielbiały lub choćby zważały na wytworny strój zalotnika: kury, synogarlice, pawice wyszukują spokojnie pokarmu, gdy kogut ozdoby swe rozpościera, i przyjąć należy, że jego uporczywość i energia w zalotach znaczą więcéj niż piękność. A co do motyli, gdzie samce nie ustępują zapewne ptakom pod względem piękności barw i wytworności rysunków, nie masz najmniejszego dowodu, aby samice jakąkolwiek uwagę na kolory zwracały, aby w ogólności wybiérać mogły.

W przypadkach rzadszych, gdy samica piękniéj jest ubarwiona niż samiec, sądzi Darwin, że tam wybór był odwrotny, t. j. że samce dobierały sobie towarzyszki; atoli w całym świecie zwierzęcym samce są daleko namiętniejsze i nie przebiérają między samicami, gdy te ostatnie są o wiele wstrzemięźliwsze i wybredniejsze. U niektórych gatunków białków południowo amerykańskich samce są niepozornie czarne lub białe, samice saś upstrzone jak pewne gatunki helikonów. Darwin sądzi, że barwa ta u samców nie rozwinęła się dla tego, że nie podobała się samicom; w miejsce tego sztucznego tłómaczenia Wallace stawia naturalniejsze: Samice bujają po lasach, gdzie roją się téż i helikony, gdy samce natomiast przebywają w miejscach otwartych i zbierają się z innemi białemi i żółtemi motylami u brzegów rzeki; czerwonawe smugi i plamy byłyby tam zapewne dla samców o tyle groźne, o ile są pomocne dla samic, jako barwy niby ostrzegawcze, gdyż wyróżniałyby je z pośród ich towarzyszy i czyniły z nich wybitny przedmiot napaści dla ptaków owadożernych. Jest to zapewne prawdopodobniejsze, niż ów zgoła hypotetyczny dobór płciowy, wyprowadzany w pole to na poparcie, to znów przeciw wszelkim pstrym ubarwieniom.

Również i co do ptaków Wallace nie może uwierzyć w świadomy dobór najpiękniejszych samców przez samice; jeżeli w ogólności wybierają one, to dają pierwszeństwo jedynie tylko najsilniejszym, najodważniejszym, najkłótliwszym samcom, które zarazem są i najsuciéj upierzone i najpiękniéj ubarwione. Silne samce otrzymują najsilniejsze samice, najliczniejsze i najzdrowsze potomstwo i bronią je zarazem najlepiéj, a w ten sposób najwytworniejsze upierzenie i ubarwienie przechodzi na dalsze pokolenia, które je coraz bardziéj doskonalą.

Przykłady Darwina uczą zapewne, że samce prawie zawsze najpiękniejszy swój strój godowy rozpościerają przed oczyma samic i spółzalotników, ale pytanie zasadnicze, czy na wybór samicy wpływają jakieś drobne różnice w upierzeniu i ubarwieniu, zostaje zgoła nierozstrzygniętém. Wystawianie to ozdób na okaz jest w każdym razie zjawiskiem ciekawém, ale objaśnić się może dostatecznie tém, że w czasie zalotów samce znajdują się w stanie podnieconym i tryskają pełnią życia; i niestrojne nawet ptaki są wtedy w ciągłym ruchu, rozpościerają skrzydła i ogon i najeżają czub, objawiając przez to na zewnętrz podrażnienie nerwowe. Czuby te i pióra, które ptaki najeżać mogą, przeznaczone może były piérwotnie do odstraszania przeciwników, naprężają się bowiem głównie w gniewie i podczas walki. Jeżeli przytém występowała szczególna jaka barwa, to przyjąć można, że ukazywała się ona najczęściéj na osobnikach najsilniejszych i najenergiczniejszych; a gdy ozdoby te okazywały się skutecznemi śród walki i zapasów, rozwijały się one daléj przez spółzawodnictwo, tak jak przy śpiewie ptaki dążą do odniesienia pierwszeństwa z wytrwałością taką, że ta je nieraz o śmierć przyprawia.

Pomijamy inne wywody znakomitego naturalisty angielskiego; wszystko razem daje się streścić w zasadzie, że przez dobór naturalny zachowują się i rozradzają osobniki najdzielniejsze, a ze zdrowiem, siłą, i w ogóle dzielnością w walce o byt, łączy się barwa i strojność; nieuzasadnione przypuszczenie, bezskutecznego zresztą doboru płciowego, tym sposobem okazuje się zupełnie zbyteczném.

II.

Wywody Wallace'a stanowią potężny taran, w obec którego trudno zapewne przyjdzie się ostać teoryi doboru płciowego, ale nie naruszają zgoła saméj podstawy darwinizmu, głównéj jego treści, t. j. doboru naturalnego i połączonéj z nim zasady walki o byt; owszém wszystkie wątpliwości i szkopuły Wallace tłómaczy właśnie tą ostatnią teoryą; odrzucając dobór płciowy, wnosi nowe argumenta na korzyść doboru naturalnego, lubo nie bez naciągań, jakie dostrzedz się dają w jego tłómaczeniu barw ostrzegawczych pozornych, czyli w ogóle maskowania. Ale rozumowania Wallace'a nie są już ostatnim wyrazem w ciekawéj téj sprawie naukowej.

Wspomnieliśmy już wyżéj, że do wytłómaczenia zjawisk, które Darwin teoryą doboru naturalnego wyjaśnia, powołano się i na inne podstawowe przyczyny, między innemi na odosobnienie czyli migra-

cyą gatunków. Twórcą téj teoryi jest profesor monachijski Moryc Wagner, który w przedmiocie tym stacza od pewnego czasu walki, prowadzone głównie w piśmie niemieckiém Kosmos, stanowiącém najważniejszy obecnie organ teoryi rozwoju.

Wagner odrzuca zupełnie udział doboru naturalnego i walki o byt w sprawie zmienności gatunków, a na ich miejsce stawia zasadę *odosobniania*, *migracyi* osobników. Każda nowa stała forma, gatunek lub odmiana, rozpoczyna się jedynie przez odosobnienie pewnéj liczby wychodźców, wydalających się z obrębu zamieszkiwania gatunku pierwotnego, macierzystego, gdy ten zostaje jeszcze w okresie zmienności. Nowi ci osadnicy stosować się muszą do nowych warunków życia, gdzie napotykają odmienną żywność, różny klimat i grunt, itd.; nowe cechy indywidualne, w ten sposób wytwarzające się, przechodzą na potomstwo, stają się wybitniejszemi i rozwijają się daléj. Ale cały ten proces kształtowania, zwolna maleje, już przez należyte przystosowanie się do nowych warunków bytu, już przez niwelujący i znoszący wpływ krzyżowania między jednakiemi osobnikami, tak że ostatecznie wypływa i utrzymuje się jednostajność, cechująca każdy wyraźny gatunek lub stałą odmianę.

W najściślejszém streszczeniu powiedziéć można, że zasadniczą przyczyną tworzenia się gatunków według teoryi doboru jest walka o byt, według teoryi odosobnienia jest rozmieszczenie osobników.

Za tą teoryą odosobnienia przemawiają liczne dowody. Ponieważ walka o byt toczy się najżywiéj między osobnikami jednego gatunku, zmienność przeto form powinnaby tam najsilniéj występować, gdzie osobniki te najgęściéj zamieszkują, a zatém zwykle w środkowym punkcie obszaru, który zajmują; tymczasem wszystkie fakta geografii zwierząt i roślin przeciwko temu stanowczo przemawiają. Przy odosobnieniu natomiast pewnéj liczby jednostek, przez ich wychodźtwo ustaje spółzawodnictwo z jednostkami tegoż samego gatunku; odmienność zatém form, tworząca się u osobników oderwanych od pierwotnego miejsca pobytu, zachodzi zawsze spółcześnie ze zmniejszeniem się i złagodzeniem walki o byt. Ale właśnie znaczna odległość miejsc, w których powstają nowe odmiany, układ łańcuchowy ich miejsc pobytu itp. fakta przemawiają za słusznością zasady Wagnera.

Obie teorye opiérają się na jednakich przyczynach podstawowych, na zdolności osobników do ulegania zmianom i na zdolności dziedziczenia cech osobistych, ale obie różnią się zupełnie między sobą co do przyczyny mechanicznéj, zmiany te wywołującéj.

Dawno już zarzucano teoryi Darwina, że powstawanie a raczéj utrzymywanie się nowych form jest niemożliwém w obec niweczące-

go i znoszącego wpływu krzyżowania; każda nowa cecha morfologiczna, jakkolwiek korzystna dla obdarzonego nią osobnika, przez swobodne krzyżowanie z osobnikami normalnemi, redukuje się znowu, tak że następuje powrót do typowéj postaci gatunkowéj.

Prof. Wagner powołuje się daléj na doświadczenia osiągnięte przy sztucznéj hodowli roślin i zwierząt, które nauczyły dowodnie, że poczynające odmiany, jeżeli przez odosobnienie nie były ochronione od pochłaniającéj przewagi liczebnéj jednostek normalnych, ginęły pod wpływem krzyżowania. Tak np. niektóre zające, jelenie, wilki posiadają nogi dłuższe o kilka linij niż u osobników zwykłych, co stanowi dla nich korzyść w pogoni lub ucieczce; ale zmiana ta korzystna nie przechodzi drogą dziedziczenia na dalszy szereg pokoleń, gdyż krzyżowanie z przeważającą liczbą jednostek zwykłych odmienność tę osłabia. Znane są wszakże wilki górskie, o nogach nieco dłuższych niż wilki żyjące na równinach, ale też miejsce ich pobytu jest dosyć silnie odcięte, odgraniczone są one przeto wynikiem odosobnienia a nie walki o byt.

Zdarzają się wprawdzie przypadki wspólnego pobytu pokrewnych gatunków i odmian roślin i zwierząt, ale to nie znaczy, iżby one utworzyć się miały w jedném i tém samém miejscu; owszem, badanie granic ich rozprzestrzenienia przemawia bardzo za tém, że różne odmiany tworzyły się w miejscach odrębnych, odosobnionych, i dopiéro w skutek mnożenia się i rozpraszania osobników znowu się w jedném miejscu znalazły.

Niedostateczna trwałość odosobnienia powoduje co najwyżéj złe gatunki, tj. gatunki o cechach chwiejnych i o licznych formach przejściowych, jak to widzimy u wielu roślin alpejskich. np. w rodzaju jastrzębca (*Hieracium*).

Przeciw doborowi natury przez walkę o byt, przemawiają również silnie niepomyślne usiłowania poprawy rasy półdzikich stad bydła i koni w pampach argentyńskich, w Uanach Wenezueli w Sawanach Ameryki środkowéj, jak również i w stepach południowo-rossyjskich; właściciele tych swobodnie pasących się stad mniemali, że zdołają uszlachetnić rasy przez wprowadzenie nieznacznéj ilości wielkich byków z Andaluzyi, lub silnych koni z Anglii, Arabii, stepów turkomańskich, ale wyniki okazały, że mała liczba osobników, jakkolwiek o wiele doskonalszych od pozostałych, nie zdoła sprowadzić trwałéj poprawy lub jakiegokolwiek przeobrażenia rasy. A właśnie w rozległych stepach wyż wymienionych krajów, gdzie zwierzęta znajdują się w warunkach zupełnie przyrodzonych, skuteczność walki o byt mogła się należycie wykazać, ale jakkolwiek przed-

stawiały się tu środki najlepsze, dobór naturalny zgoła nie wystąpił.

W ogólności walce o byt, walce o miejsce, o pożywienie, o rozmnażanie się przyznaje Wagner znaczenie co najwyżéj pośrednie, gdyż w wielu przypadkach może ona być pierwszą podnietą czynnéj migracyi, większego rozprzestrzeniania się osobników, ale w wychodźtwie bierném osady odosobnione powstają zgoła bez takiego powodu.

Przyjmuje się powszechnie, że zanikanie gatunków słabych jest wyłącznie następstwem walki o byt, że jéj to następstwem jest względna ilość osobników różnych gatunków, zamieszkujących jeden obszar; ale i na tém polu daleko większe znaczenie przypisuje Wagner innemu zgoła czynnikowi *starzeniu się gatunku*. Nietylko on bowiem, ale i inni naturaliści przyjmują obecnie, że gatunki mają, podobnie jak osobniki, swą młodość, wiek dojrzały, zgrzybiałość nakoniec, i podobnie jak osobniki umierają z wycieńczenia spowodowanego starością. Wymieranie gatunków w zwykłych warunkach następuje w skutek słabszego ich rozradzania się i zatracania zdolności oporu przeciw wpływom zewnętrznym. Walka spółzawodnicza z innemi gatunkami może przyśpieszać to gaśnięcie gatunku, ale nie jest jego główną przyczyną. Olbrzymie zwierzęta ssące okresu trzeciorzędowego, owe potwory gruboskórne, przeżuwające, drapieżne, wybornie do warunków swego życia uorganizowane, nie uległy jedynie tylko walce o byt, ani nie padły też w obec zmienionych warunków klimatycznych, bo wówczas, gdy kultura ludzka nie stawiała jeszcze zawad ich wędrówkom, mogły sobie swobodnie obierać klimat dla siebie właściwy; uległy prawu czasu, postać ich przeżyła się.

Teorya Wagnera tém też od darwinowéj się wyróżnia, że gdy według drugiéj gatunek zostaje, lub przynajmniéj zostawać może w ciągłém przeobrażaniu, pierwsza przypisuje mu stateczność o wiele większą,—skoro bowiem nowy gatunek już się należycie wytworzył przez dostatecznie długie odosobnienie, to pozostaje stałym, tj. nie ulega zmianom istotnym, aż do okresu naturalnéj swéj zagłady. Pogląd taki nie naraża na chwiejność pojęcia gatunku w zoologii i botanice, gdy w teoryi doboru trudno właściwie mówić o jakiejkolwiek jego stałości, każda bowiem przypadkowa a korzystna zmiana indywidualna, musiałaby torować drogę nowym przeobrażeniom.

Przeciw teoryi odosobnienia wyprowadzono między innemi w pole i zjawisko maskowania (*mimicry*), o którém wyżéj wspomnieliśmy; rozumowanie użyte przez Wallace'a dla wyjaśnienia barw rzekomo ochronnych wskazuje, jaką drogą teorya doboru naturalne-

go stara się w ogóle ciekawe to zjawisko tłómaczyć; teorya odosobnienia, utrzymują jéj przeciwnicy, nie ma możności objaśnienia téj osobliwéj igraszki przyrody.

Ale, jak znów prof. Wagner twierdzi, rzecz się ma właśnie przeciwnie; w tłómaczeniu darwinistów widzimy konieczność zbiegu tylu szczęśliwych przypadków, że, jak mówi Bennet, prawdopodobieństwo podobnego procesu prowadzi do niemożebności. Wagner uważa zjawisko maskowania jedynie za wrodzony każdemu zwierzęciu popęd do obrony własnéj, który powoduje niém właściwie przy wyszukiwaniu miejsca pobytu i kryjówki. Niższe nawet zwierzęta mają świadomość, lub przynajmniéj niejakie przeczucie, grożących im niebezpieczeństw,—starają się ich unikać i są zawsze jakby na czatach. Wiele chrząszczy spada z drzew i udaje martwych, gdy nieprzyjaciel do nich się zbliża. Motyl, który niedawno jeszcze w postaci poczwarki spoczywał nieruchomo, umie natychmiast używać skrzydeł do lotu i chronić się w miejsca, które mu bezpieczeństwo zapewniają.

Żaden owad nie manewruje tak zręcznie, aby ujść ręki najgroźniejszego swego wroga, człowieka, jak pluskwa,—za nadejściem brzasku rannego nie pozostaje na poduszce lub bieliźnie, lecz chroni się w szpary i szczeliny, do których stosuje się jéj barwa i gdzie nie łatwo może być dostrzeżoną.

Gąsiennica jednéj z pospolitych sówek czyli motyli nocnych, *Catocala nupta*, ukrywa się pospolicie we dnie w szparach kory starych wierzb, a postacią swoją i barwą tak korę tę naśladuje, że trzeba oka bardzo wprawnego, aby ją tam dostrzegło; za nadejściem jednak zmierzchu, gąsienica rozpoczyna wędrówkę w górę drzewa, którego liśćmi się żywi, a z brzaskiem wraca znowu na dzienne swe stanowisko. Przykład ten uczy, jak maskowanie następuje jedynie przez wędrówkę gąsiennicy,—gdyby i we dnie pozostawała ona na zielonych liściach, nie znajdywałaby tam żadnéj ochrony, nie zachodziłoby żadne zgoła maskowanie.

Nauczające zresztą doświadczenie wykonać można w każdym pokoju, pokrytym obiciami różnych barw. Jeżeli wpuścimy tam pewną ilość motyli rozmaicie zabarwionych, to zobaczymy, że owad spoczywający z opuszczonemi skrzydłami obiera w ogólności to miejsce, którego barwa z jego własną się schodzi.

Tak więc, według Wagnera, maskowanie pochodzi nie stąd, iżby zwierzę miało się zmieniać, przeobrażać, stosować do swego otoczenia, ale po prostu obiera miejsce dla siebie najodpowiedniejsze. Na téj zasadzie, opowiedziane wyżéj zjawisko barw ochronnych rzekomych, dla wyjaśnienia którego Darwin ucieka się do doboru płcio-

wego, a Wallace mozolnie powołuje w pomoc dobór naturalny, tłómaczy się bardzo prosto. Osobniki znacznie odstępujące od jednostek pokrewnych, różniące się od nich bardzo barwą i rysunkiem, oddzieliły się od nich i stowarzyszyły z inną grupą motyli, do których odmiana ich lepiéj przypada. Wrodzony zwierzętom popęd ochronny w dwojaki sposób cel swój tu osięga. Wychodźcy znaleźli pewniejszą ochronę w towarzystwie gatunków, do których są podobni ubarwi eniem i których ptaki nie napastują—a z drugiéj strony, przez odosobnienie od typowego gatunku, macierzyste usunęły się z pod niweczącego wpływu krzyżowania i cechy swoje bez przeszkód zachować i rozwijać mogły.

Niepodobna powtarzać nam tu wszystkich przykładów, na które się zoolog monachijski powołuje; wspomnimy tylko o faunie owych słynnych morszczyn czyli szuwarów, stanowiących tak zwane morze sargassowe, zajmujące spokojne miejsce na oceanie Atlantyckim, między 22° a 26° szer. płn., ograniczone do koła prądami morskiemi.

Cały ten obszar pokryty jest wodorostami w rodzaju morzypła (*Sargasum*), którego olbrzymie pierzaste listowie, barwy oliwkowatéj, utrzymuje się na wodzie za pomocą pęcherzy powietrznych.

Archipelag ten morzypłowy zajmuje naukę od czasu Kolumba, który go odkrył, ale faunę jego zbadała należycie dopiéro wyprawa naukowa na okręcie Challenger w r. 1875. Wyspy te roślinne zamieszkane są przez gatunki zwierzęce im tylko właściwe, który to fakt wybornie potwierdza wpływ odosobnienia, na wytwarzanie nowych postaci. Przytém nigdzie może nie ma bardziéj uderzających przykładów maskowania,—wszyscy mieszkańcy postacią a więcéj jeszcze barwą wybornie naśladują swe otoczenie. Wszystkie tameczne mięczaki, skorupiaki i drobne ryby, cechują się barwą oliwkowato-zieloną, któréj różne odcienia stanowią koloryt tych morszczyn.

Z pierwotnéj swéj północnéj ojczyzny, zkąd je prądy morskie spędziły, nie sprowadziły zapewne morszczyny obecnéj swéj ludności zwierzęcéj bo tam nie ma form podobnych. Pierwsi osadnicy musieli zatém być wychodźcami z mórz sąsiednich, tu bowiem żyją pokrewne rodzaje i gatunki, którym tylko nie dostaje ubarwienia właściwego zwierzętom łąk sargusowych. Ale śród niezliczonego zastępu owych pokrewnych mięczaków i skorupiaków, żyjących zwłaszcza w morzu Antylskiém, znajdujemy między osobnikami ciemnoszarawemi i brunatnemi nieraz ubarwienia jaśniejsze, wpadające w odcienie zielonawe lub żółtawe. Odmiany te, pędzone wrodzonym popędem ochronnym, okazywać zawsze będą skłonność do odosobnie-

nia się od swych pobratymców i chronienia się śród otoczenia, posiadającego odpowiednią im barwę, a w ten sposób odosobnienie właśnie stało się pierwszém źródłem utworzenia téj szczególnéj fauny.

Co większa, owo podobieństwo ochronne, zachodzące tam między zwierzęciem a rośliną, nie jest jedynie ogólną cechą całego archipelagu sargassowego, ale występuje wybitnie na każdéj z niezliczonych a oddzielnych wysp, różniących się między sobą setnemi odcieniami barw,—ubarwienie zwierząt wszędzie jest należycie do otoczenia przystosowane. Gdyby przystosowanie to miało być następstwem walki o byt, wymagałoby na tak ograniczonych przestrzeniach nieprawdopodobnego zbiegu przypadków, gdy rozkład taki zwierząt pojmuje się łatwo jako skutek wychodźtwa czynnego, powodowanego przez instynkt zachowawczy. Płowe ubarwienie zwierząt pustyni, biały koloryt fauny biegunowéj, uważane są również jako wielki przykład objawów naśladowania, maskowania i może być także wychodźtwem tłómaczony.

W ten sposób pojmowane to zjawisko nie tylko nie stanowi argumentu przeciwnego Wagnerowéj teoryi odosobnienia, ale uważaném być może jako jéj poparcie.

Stronnicy teoryi doboru naturalnego nie łatwo pewno dadzą za wygranę, a spór ten niewątpliwie długo jeszcze ciągnąć się będzie; bezstronnie jednak w obu tych hypotezach rozpatrując się; przyznać należy że zasada odosobniania nie potrzebuje sztucznych naciągań, z mniejszym mozołem tłómaczy ogół zjawisk niż dobór naturalny, i w ogóle jest prostszą, a to przemawia na korzyść każdéj hypotezy, dopóki dalszy rozwój nauki nie doprowadzi do metod pewniejszych, umożebniających stawianie ściślejszych teoryj.

S. K.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

O ustanowionym podatku od podróżnych na drogach żelaznych i ładunków przewożonych za frachtem pośpiesznym.—Przypuszczalny dochód rządu z tego źródła za rok 1879.—Poglądy p. Leroy Beaulieu na takiż podatek istniejący we Francyi. Wywody p. Jansona o przeciętnym przejeździe podróżnego na drogach żelaznych Cesarstwa i Królestwa.—Porównanie dochodu dróg żelaznych Królestwa z opodatkowanych pozycyi dochodowych za lata 1876 i 1879. - Dzieło profesora Okolskiego.—„Wykład prawa administracyjnego oraz prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiem.“ — Streszczenie projektu ustawy leśnéj królestwa, wypracowanego przez wysadzoną z łona kongresu leśnego komisyą.—Rolnicza stacya doświadczalna.— Szkoła elementarna założona przez p. Szlenkiera. —Szkoła dla przychodnich głuchoniemych.

Ogólne zwyczajne zebrania akcyonariuszów dróg żelaznych istniejących w Królestwie, które miały miejsce przed kilku tygodniami, zatwierdziły przedstawione im przez właściwe zarządy sprawozdania za rok ubiegły. Sprawozdania te pozwalają nam przypatrzéć się wpływowi, wprowadzonego od 1/13 Lutego 1879 roku, podatku od podróżnych i ładunków przewożonych za frachtem pośpiesznym, na ruch podróżnych i rzeczonych ładunków.

Kwestyi téj pragniemy przyjrzéć się objektywnie bez stawienia jakichkolwiek ogólniejszych wniosków o podatku, któren zaraz prawie po wprowadzeniu ulegał bardzo ostrym krytykom,—kiedy zaś po ogłoszeniu, w rządowych organach, rezultatów o surowym dochodzie dróg żelaznych Cesarstwa i Królestwa, z wyłączenim tylko Finlandzkich, za pierwsze półrocze roku 1879 okazało się, po porównaniu ich z dochodem dróg za takiż przeciąg czasu roku 1878, że ten ostatni przewyższył dochód roku 1879, spotkaliśmy się zwłaszcza w prasie rosyjskiéj z artykułami doradzającymi zniesienie podatku, nie tylko z racyi uciążliwości jego dla opodatkowanych ale, ze wzglę-

dów czysto praktycznych, dla bezcelowości podatku,—ponieważ w razie zmniejszenia się dochodu dróg żelaznych, rząd musiałby powiększyć wydatki na subsydya płacone tymże drogom.

Obecnie kiedy rachunki za rok ubiegły zostały zamknięte, a ogłoszone rezultaty o dochodzie dróg żelaznych za cały rok 1879, wykazują w porównaniu z dochodem roku 1878 *minus*, sięgający 8,14%, i kiedy krytycy mogliby znaleźć więcéj niż przedtém pozytywnego materyału do swych uwag, prasa milczy, i albo wyczekuje sprawozdania Kontrolera Państwa dla sprawdzenia o ile podatek od podróżnych i ładunków zawiódł albo przewyższył preliminarz budżetowy, albo pogodziła się z podatkiem jako *malum necessarium*, wobec zachwianych finansów państwowych.

Jeżeli oczekiwanie sprawozdania Kontrolera państwa jest powodem milczenia, po pierwszych ostrych występach budzących nadzieję bardziéj wyczerpującéj z czasem oceny, to ono nie wydaje się nam dość uzasadnioném i nie będziemy się tém powodowali, najprzód dla tego: że do ocenienia szkodliwości lub nie, wpływu podatku na ruch podróżnych, zupełnie jest obojętném czy dochód rządowy, zawiódł, ziścił lub nawet przewyższył oczekiwania preliminarza, a powtóre że w sprawozdaniu tém, nie znajdziemy wcale, albo bardzo mało szczegółów, wyjaśniających możliwą różnicę między zamierzeniem budżetowém a dochodem rzeczywistym.

Zresztą gotowiśmy wierzyć że oczekiwana summa dochodu (7.500.000 rub.) wpłynęła w całości. Ufność tę wzbudza w nas następujący rachunek.

Drogi żelazne przebiegające Królestwo, z wyjątkiem części Warszawsko-Petersburgkiéj (164 wiorsty) i Brzesko-Grajewskiéj (27 wiorst) miały długości z końcem roku 1879 w zaokrągleniu 1505 wiorst, licząc w to wszystkie podwójne i boczne linie. Drogi te wniosły podatku rządowego, za jedenaście miesięcy roku ubiegłego, w ogóle 607.534 rub. czyli wniosły z każdéj wiorsty w zaokrągleniu po 404 r.

Jeżeli teraz tę samą sumę przyjmiemy dla wszystkich dróg żelaznych, przebiegających Cesarstwo, których długość, za potrąceniem dróg finlandzkich i wyżéj wskazanych Królestwa, z dniem 1 Stycznia 1880 roku równała się, 19.524 wiorstom, otrzymamy że one powinny były wnieść do Skarbu około 7.888 tysięcy rubli, po dodaniu téj ostatniéj sumy do sumy podatku złożonéj przez drogi Królestwa otrzymamy ogólną sumę pobranego na rzecz skarbu podatku, w ciągu roku 1879 wynosząca 8.495 tysięcy rubli.

Naturalnie nie jest to suma ścisła ale prawdopodobnie niezbyt daleka od rzeczywistéj,—różnica jaka się okaże między naszą

a w istocie wniesioną do skarbu cyfrą, znajdzie wyjaśnienie w tém, że ruch na drogach żelaznych Cesarstwa, wzięty w ogóle, mniejszy jest od ruchu na drogach Królestwa, zaczem idzie że 404 rub. podatku rządowego z każdéj wiorsty drogi żelaznéj Królestwa, nie będą odpowiednie dla wiorsty drogi Cesarstwa. W każdym razie, możemy prawie stanowczo twierdzić, że preliminowana suma podatku od podróżnych i ładunków pośpiesznych, nie tylko pokrytą zostanie ale nawet, że dochód rzeczywisty wykaże przewyżkę nad oczekiwanie.

Otóż, nie czekając na sprawozdanie Kontrolera Państwa, postaramy się przedstawić czytelnikom szczegóły o wpływie podatku jaki daje się zauważać na ruch podróżnych i ładunków pośpiesznych, na drogach Królestwa, czerpiąc materyały z ich sprawozdań.

Zanim jednak do tego przejdziemy, przypatrzmy się co mogło przemawiać za wprowadzeniem tego podatku? o ile daje się on usprawiedliwić z punktu teoretyczno-naukowego? i nareszcie jakie argumenta można przeciwko niemu przytoczyć?

Pierwsze pytanie znajduje odpowiedź w tém, że zwiększone wydatki państwa z racyi minionéj wojny i długo trwałéj okupacyi, zachwiały równowagę budżetową, i wymagały powiększenia zasobów i dochodów państwa, które rząd postanowił osięgnąć nie tylko drogą finansowych operacyi, jak pożyczek i bonów krótkoterminowych, lecz i przez podwyższenie istniejących już kilku podatków pośrednich i ustanowienie kilku nowych.

Następnie, przemawiała za tym podatkiem łatwość poboru i kontroli, nie wywołująca żadnych nowych kosztów ze strony rządu, bo drogi żelazne stając się poborcami rządowymi, nie otrzymują za to żadnego wynagrodzenia, a nadto obciążone są odpowiedzialnością za całość i regularność wpływu podatku.

Kontrola, także bez powiększenia kosztów, powierzoną została Izbom kontrolnym, znajdującym ułatwienie w tém że ponieważ podatek ustosunkowany został do pobieranéj przez drogi, opłaty za przewóz podróżnego lub ładunku, przeto sam interes drogi sprawia, że chyba wypadkowym tylko sposobem podatek rządowy nie będzie pobrany w odpowiedniéj ilości,—co zresztą może być sprawdzone i w końcu roku, bez uciekania się do peryodycznych rewizyi, a wprost na podstawie sprawozdań dróg żelaznych; którym przecież jawność rachunków jest stanowczo zaleconą.

Ta łatwość poboru i kontroli jest prawie jedyném usprawiedliwieniem jakie, na korzyść podatku, przytoczyć można z punktu teoretyczno-naukowego, te dwa warunki rząd musi mieć zawsze na względzie przy zamierzoném opodatkowaniu, fiskalne potrzeby dokonywu-

ją reszty, bo powyższe zalety podatku, o którym mowa, nie są wcale do pogardzenia zwłaszcza w obec zwiększonych wydatków panstwa. Jeżeli jeszcze dodamy do tego sankcyonowaną (wprawdzie z konieczności) przez naukę skarbową zasadę, że w nadzwyczajnych razach Państwo ma prawo żądać bodaj największych ofiar, to przestaniemy dziwić się, że rząd zamiast szukać innych, kosztowniejszych źródeł do powiększenia swych dochodów, opodatkował podróżnych i ładunki przewożone za frachtem pośpiesznym, nie licząc się wcale z zarzutami jakie przeciwko temu podatkowi przytoczone być mogą.

Co się tycze tych ostatnich, to przypatrzmy się najprzód twierdzeniom p. Leroy-Beaulieu (1) zwróconym przeciwko takiemuż podatkowi istniejącemu we Francyi.

W tém miejscu winniśmy uprzedzić czytelników, że podatek francuzki obciąża, nie tylko podróżnych i ładunki pośpieszne lecz i ładunki zwyczajne i dla tego jest bez porównania uciążliwszy. Zarzuty P. Leroy-Beaulieu dotyczą naturalnie wszystkich trzech form podatku, tutaj nie będziemy ich przytaczali w całości, a podamy te tylko, które, przy wykazywaniu ujemnych stron podatku mogą mieć interes i dla nas.

Pierwszym zarzutem p. Leroy-Beaulieu jest niesprawiedliwość podatku, polegająca na uwolnieniu od opłat rządowych wszelkich komunikacyi wodnych i transportów dokonywanych końmi a obciążeniu jednocześnie tylko komunikacyi zapewnionej przez drogi żelazne. Następnie autor wyjaśnia tę okoliczność że opodatkowując ładunki, rząd uboczną drogą wspiera te wszystkie zakłady przemysłowe i rękodzielnicze, które znajdując się w pobliżu kanałów, rzek lub dróg bitych i powierzając im przewóz towarów i wyrobów unikają dróg żelaznych, a tém samém nie płacą podatku skarbowi.

Nareszcie wykazawszy szkodliwy wpływ rozmaitych ulg, wprowadzonych do zasad opodatkowania, kończy temi słowy: „L'impot sur le transport des marchandises non seulement par petite vitesse mais même par grande vitesse est détestable. Trés leger en apparence (20% od pośpiesznych a 5% od zwyczajnych) il a pour certaines industries des effets eloignés qui sont fort préjudiciables".

O podatku od podróżnych p. Leroy-Beaulieu twierdzi, że przy nizkiéj jego stopie, jak nap. w Anglii 5% mógłby on być cierpianym, lecz dodaje zaraz, że tylko w kraju mającym duże ciężary i protestuje przeciwko praktykowanemu we Francyi 20%-emu podatkowi

---

(1) Traité de la science des finances. Paris 1877. Tom I str. 542.

i przypomina że nie wszyscy jeżdżą dla przyjemności, że przeciwnie wielu używa dróg żelaznych tylko z musu, z powodu rozmaitych obowiązków; że często sam wydatek na bilet jest uciążliwy a cóż dopiéro jeżeli go się zwiększy jeszcze dwudziesto-procentowym dodatkiem, nareszcie że podatek wpływając ujemnie na dochody dróg żelaznych, zmusza je do ograniczenia się w wydatkach, na ulepszenia, udogodnienia lub pośpiech przewozu.

W ogóle twierdzenia p. Leroy-Beaulieu dają się streścić w ten sposób; że wpływ taniości, łatwości, pośpiechu i bezpieczeństwa komunikacyi, nie tylko na rozwój wielkiego handlu ale i ogólnie cywilizacyjny, jest tak dodatni, że krępowanie go jakiemikolwiek ograniczeniami, nie da się przeprowadzić, bez niebezpieczeństwa szkodliwego oddziałania na doniosłość tego wpływu.

Do tych uwag uczonego francuzkiego dodamy jeszcze, że w naszych warunkach nie można pomijać i tej okoliczności, że ani u nas, ani w Cesarstwie sieć dróg żelaznych nie jest wcale kompletna. Z końcem roku 1877 Belgia mająca powierzchni tylko 534 mile kwadratowe (1) posiadała 3.710 kilom. dróg żelaznych (przeszło 3,487 wiorst) kiedy Królestwo Polskie, w teraźniejszych granicach, o powierzchni przeszło cztery razy większej (2312 mil. kwadr.), posiadało w tymże czasie łącznie z częścią drogi Warszawsko-Petersburgskiéj i Brzesko-Grajewskiej 1695 wiorst. Cesarstwo zaś z końcem roku 1879, bez Finlandii i Królestwa, miało tylko 19344 wiorsty, kiedy Francya na 1 Stycznia 1878 roku posiadała na ogół 23,618 kilom. (przeszło 22.200 wiorst) a Cesarstwo Niemieckie 30,535 kil. (przeszło 28.702 wiorst).

Jeżeli więc podatek od podróżnych istniejący w bogatéj Francyi, któréj stan ogólnéj zamożności nie może być nawet porównywanym z naszym, i któréj sieć dróg żelaznych daleko więcéj jest rozgałęziona niż w Cesarstwie i Królestwie, zwłaszcza gdy się uwzględni powierzchnią, ulega jednak poważnym zarzutom, to nic dziwnego że i w naszych warunkach, trafił on na ostre krytyki i że go do rzędu szkodliwych podatków zaliczają.

Wszystkie te krytyki pominęły jeszcze jeden wzgląd wskazany w roku 1873 przez Statystyka Jansona w jego „Badaniach Statystycznych“ (2) i użyty przez niego do przemawiania za obniżeniem obowiązujących obecnie taryf dla podróżujących drogami zależnemi w Cesarstwie i Królestwie.

---

(1) G. F. Kolb. Handbuch das vergleichenden Statistik Leipzig 1879 r.
(2) „Znanje“ Miesięcznik Petersburg. Listopad r. 1873.

W pracy swéj p. Janson między innemi wskazuje, że chociaż taryfy dla podróżnych na drogach żelaznych Cesarstwa i Królestwa, nie są wyższe od ogólnie przyjętych za granicą, a dla klasy trzeciéj nawet cokolwiek niższe, to jednak z uwagi na to, że przeciętny przejazd podróżnego u nas i w Cesarstwie znacznie jest wyższy od przejazdu za granicą, (kiedy bowiem w roku 1869 wynosił on tutaj 108,4 wiorsty, we Francyi nie przewyższał 35 wiorst a w Niemczech 48) „obniżenie naszych taryf byłoby bardzo pożądaném. „W obec tych wyliczeń p. Jansona podwyższenie o 15 i 25% opłaty za przejazd, staje się w istocie bardzo uciążliwém, a jeżeli sam wzgląd na wysokość jednorazowego wydatku, wywołaną długością i niedostateczności linii, przemawia za obniżeniem taryfy, to podwyższenie jéj drogą opodatkowania, uwzględniając zwłaszcza jadących z musu, których liczba jest zawsze przeważającą, gotowiśmy uważać wspólnie z p. Leroy-Beaulieu za „nieludzkie“ i zgodzić się na twierdzenie krytykujących podatek, że stosowanie go u nas nie powinnoby mieć miejsca.

Przypuszczalną bezcelowość podatku, dla tego że on mogąc zmniejszyć ruch podróżnych i ładunków pośpiesznych, obniży dochód dróg żelaznych i wywoła większe subsydya rządowe, pozostawiamy tymczasem na uboczu, bo niemamy dotąd dostatecznych danych do stawiania ogólnych wniosków. Chociaż bowiem w budżecie na rok bieżący widzimy większą sumę przeznaczoną na ten wydatek niż w roku 1879 o 445.000 rub., to jednak przewyżki téj nie możemy brać za stanowczą podstawę, bo rzeczona pozycya budżetowa nie zawiera całéj sumy dopłat należnych drogom żelaznym i nie mieści w sobie sumy żądań dróg, a przedstawia tylko te wypłaty, które stanowczo zadecydowane zostały,—dla tego też przechodzimy do cyfr, które mamy pod ręką, w sprawozdaniach dróg żelaznych Królestwa, ograniczając się do wskazania zmian w ruchu podróżnych, ładunków i dochodzie z opodatkowanych pozycyi.

Przedstawimy wyniki danych wszystkich dróg Królestwa, z wyjątkiem Nadwiślańskiéj otwartéj w roku 1877, otrzymane z porównania dochodu i ruchu za rok 1879 z rokiem 1876 jako normalniejszym od 1877 i 1878 roku, w których wojna i dobre urodzaje sztucznie, że się tak wyrazimy, potęgowały ruch na drogach żelaznych. Co się zaś tycze Nadwiślańskiéj to z konieczności musimy poprzestać na porównaniu roku 1879 z rokiem 1878.

I tak:

Na drodze Warszawsko-Wiedeńskiéj przewieziono w roku 1879 *mniéj* niż w roku 1876: podróżnych klasy I 198 osób, kl. II *więcéj*

o 14.083 osób, kl. III *więcéj* o 626.088 osób, pakunków pudów płatnych *więcéj* 2.641 pudów, i ładunków pośpiesznych *więcéj* o 13.246 pudów.

Zmiany w dochodzie z tych pozycyi przedstawiają się jak następuje: za przewóz podróżnych kl. I otrzymano *mniéj* niż w roku 1876 o 4.782 ruble, kl. II *mniéj* o 4.899 rub. kl. III *więcéj* o 463.412 r. pakunków *więcéj* o 8.647 rub. i ładunków pośpiesznych *więcéj* o 2.176 rub. w ogóle z tych pozycyi otrzymano *więcéj* niż w r. 1876, o 464.556 ruble.

Na drodze Warszawsko-Bydgoskiéj przewieziono: podróżnych kl. I *mniéj* o 293 osoby, kl. II *więcéj* o 1.729 osób, kl. III *więcéj* o 24.581 osób, pakunków pudów płatnych *więcéj* o 5.691 pudów, i ładunków pośpiesznych *mniéj* o 2.574 pudy.

Pobrano od podróżnych kl. I *mniéj* o 478 rubli, kl. II *więcéj* o 1.552 rub. kl. III *więcej* o 64.194 ruble, pakunków *więcéj* o 3.856 rub. i ładunków pośpiesznych *mniéj* o 805 rub. w ogóle w roku 1879 *więcéj* niż w roku 1876 o 68.328 ruble.

Na drodze Warszawsko-Terespolskiéj przewieziono podróżnych kl. I *mniéj* o 504 osoby, kl. II *mniéj* o 22.946 osób, kl. III *więcéj* o 41.809 osób, pakunków pudów płatnych *mniéj* 20.438 pudów i ładunków pośpiesznych *mniéj* o 36.082 pudów.

Dochody z tych pozycyi przyniosły w roku 1879 w porównaniu z rokiem 1876 od podróżnych kl. I *mniéj* o 2.113 rub. kl. II *mniéj* o 36.604 rub. kl. III-éj *więcéj* o 19.470 rub. pakunków płatnych *więcéj* o 813 r. i ładunków pośpiesznych *mniéj* o 13.308 rub. na ogół *mniéj* o 31.739 rubli.

Na drodze Nadwiślańskiéj przewieziono w r. 1879 podróżnych kl. I i II *mniéj* niż w roku 1878 o 21.015 osób kl. III *więcéj* o 19.396 osób, pakunków *więcej* 5.875 pudów i ładunków pośpiesznych *mniej* o 27.818 pudów.

Otrzymano dochodu od podróżnych kl. I i II-iéj *mniéj* o 22.125 rub. kl. III *więcéj* o 24.214 rub. od pakunków przewozowéj opłaty *więcéj* o 2.153 rub. i ładunków pośpiesznych mniéj 18.475 rub. w ogóle dochodu z tych pozycyi *mniéj* w roku 1879 o 14.233 rub.

Pozostają więc jeszcze drogi Fabryczno Łódzka i przebiegająca przez Królestwo część drogi Warszawsko-Petersburgskiéj, których sprawozdań nam braknie. Pierwsza, w kwestyi podatku nie może mieć donioślejszego znaczenia nie tylko z racyi swéj krótkości (26 wiorst) ale i ze względu na to, że ruch podróżnych na téj drodze jest w ogóle nieznaczny.

Z „Ekonomisty“ N. 19 z roku 1878 i N. 27 z roku bieżącego, widzimy że w roku 1876 ogólny dochód téj drogi wynosił 199.874 rub. a w roku 1879, 365.219 rub., w których dochód za przewóz prywatnych podróżnych mieści się w sumie 74.916 rub. i pakunków 3.479 rubli.

Co się zaś tycze części drogi Warszawsko-Petersburgskiéj, to niemożność uzyskania sprawozdania nie pozwala na podanie odpowiednich szczegółów.

Poprzestając na przytoczeniu powyższych danych, z których czytelnicy sami sobie utworzą pojęcie o zmianach jakie wywołał podatek na ruch podróżnych i dochód dróg żelaznych, dodamy tylko kilka słów tyczących się szczegółów o drogach żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiéj i Bydgoskiéj.

Nie podawaliśmy liczby podróżnych klasy IV dla tego, że ona opodatkowaną jest tylko wówczas, jeżeli opłata za przewóz przewyższa 3/4 kop. na wiorstę i że ona zniesioną została w Maju r. z.

Ogromny wzrost podróżnych kl. III i dochodu z téj kategoryi podróżnych, stanowiącego prawie całą przewyżkę dochodu roku 1879 nad dochód 1876, tłómaczy się właśnie zniesieniem czwartéj klasy.

Mniejszy dochód za przewóz podróżnych II klasy, pomimo wzrostu liczby podróżnych, znajduje usprawiedliwienie w tém że znacznie większa część podróżnych téj kategoryi używała w roku 1879 pociągów osobowych tańszych, na niekorzyść pośpiesznych, które w roku 1876 przeważną liczbę jadących drugą klasą przewiozły.

Nie podawaliśmy szczegółów o przewozie psów i przewodników inwentarza żywego, gdyż te pozycye nie mają w kwestyi podatku donioślejszego znaczenia.

Nareszcie że ze wszystkich dróg Królestwa, mających poręczoną przez rząd wysokość dochodu, w budżecie na rok bieżący, figurują tylko droga Fabryczna Łódzka, któréj przyznano dopłatę w wysokości 59.000 rub. i Nadwiślańska w wysokości 335.994 r. 38 k. pozostałe zaś Bydgoska i Terespolska ze względu na oczekiwany dochód nie mają wyznaczonych dopłat od rządu.

Kto tylko był zmuszony zapoznać się z obowiązującem u nas prawem administracyjnem albo szukać w niem odpowiednich informacyi, ten wie dokładnie jakie przedstawia trudności przeglądanie masy tomów „Zbioru przepisów administracyjnych“ „postanowień

komitetu urządzającego“ i innych rozmaitych wydawnictw w tym kierunku.

Każden téż przekonać się musiał, że wszystkie te wydawnictwa nie są kompletne, nie zawierają w sobie niektórych przepisów i postanowień, którym moc obowiązująca nie jest odjętą.

Przymuszeni odwoływać się to tych „zbiorów“ z zazdrością myślą o Austryakach i Francuzach naprzykład, mających takie podręczniki do prawa administracyjnego jak Mayerhoffa, Batbie'go, Lateriére’a i innych.

Polska literatura nie posiadała dotąd dzieła przedstawiającego całość prawa administracyjnego, są tylko nieliczne monografie, odnoszące się do pojedyńczych kwestyi, a prace Skarbka i Węgrzeckiego nie odpowiadają już obecnym potrzebom, którym nie czynią też zadość i późniejsze prace Stawiarskiego „Listy o administracyi, rządzie i sprawiedliwości w Królestwie Polskiem“ r. 1830 i Felknera „Alfabetyczny skorowidz dla zarządów gminnych, miejskich, powiatowych i gubernialnych w gub. Królestwa Polskiego,“ z roku 1872.

Obecnie możemy podzielić się z czytelnikami dobrą nowiną, że z końcem bieżącego roku brak ten zapełniony zostanie, bo skończoną będzie drukująca się teraz w Bibliotece umiejętności prawnych, praca profesora warszawskiego uniwersytetu p. Antoniego Okolskiego, pod tytułem: „Wykład prawa administracyjnego, oraz prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiem.“

Dzieło profesora Okolskiego wychodzi obecnie w dwutygodniowych zeszytach Biblioteki, a rozpoczyna się od 45 zeszytu; po ukończeniu całego druku ukaże się ono w handlu księgarskim, jako oddzielna całość, przez co nabycie téj cennéj pracy ułatwione będzie każdemu z mieszkańców Królestwa, dla których ma ona specyalną doniosłość.

W ogóle od czasu wskrzeszenia „Biblioteki umiejętności prawnych“ redakcya jéj oddała w ręce czytającéj publiczności kilka prac pełnych znaczenia w obecnych naszych warunkach. Oprócz drukującego się dzieła prof. Okolskiego, wydaną została „Ustawa postępowania cywilnego z d. 20 Listopada roku 1864, ze zmianami wprowadzonemi przez Najwyżéj zatwierdzone postanowienie z d. 19 Lutego r. 1875 i objaśnieniami“ przez b. członka senatu Władysława Nowakowskiego, a w ostatnim kwartalniku (zeszyty 42, 43, 44 biblioteki) znajdujemy pracę p. Witolda Załęskiego „Rozwój historyczny służebności pastwiskowych i leśnych w Królestwie Polskiem w związku z położeniem osobistem i majątkowem ludności wiejskiéj.“

Poprzedziwszy swą pracę krótkim zarysem historyi włościan, p. Załęski przedstawił bardzo szczegółowo i wyczerpująco stan służebności pastwiskowych i leśnych, a wskazanie w historycznym przebiegu obowiązującego prawodawstwa, projektów i wniosków Towarzystwa rolniczego, i przytoczenie szczegółów zaczerpniętych z urzędowych źródeł, czynią z téj pracy niezmiernie sumienną, pożyteczną i interesującą monografią.

Czytelnicy, przypominają sobie z pewnością Kongres leśny, który miał miejsce w Warszawie w Sierpniu roku 1878, nie przepomnieli zapewne i téj okoliczności, że na ostatniem posiedzeniu kongresu, na wniosek dwunastu obywateli, wybraną została i ustanowioną z łona obradujących stała komisya dla czuwania nad ochroną lasów w Królestwie Polskiem.

Komisya ta składała się z dwudziestu osób i zaleciła, wybranemu z pomiędzy siebie komitetowi, wygotowanie projektu ustawy leśnéj Królestwa Polskiego. Obecnie mamy przed sobą projekt tego komitetu, któren po przedyskutowaniu na ogólném posiedzeniu komisyi, przedstawiony będzie właściwéj władzy do zatwierdzenia. Powodowani interesem jaki wielka kwestya lasów wzbudzała i nie przestaje wzbudzać pośród ogółu, pospieszamy podzielić się z czytelnikami treścią tego projektu, czyniąc to w najogólniejszéj formie, bo 166 artykułów jego podawać tu nie możemy.

Przed przystąpieniem do opracowania projektu, komisya zbadała ustawy i przepisy obowiązujące na zachodzie, oraz projekty ustawy leśnéj dla Cesarstwa, ułożone przez Ministra dóbr Państwa i specyalną komisyą, działającą na podstawie zatwierdzonéj uchwały Komitetu Ministrów.

Badania tych ustaw doprowadziły naszą komisyą do wniosku, że ochrona lasów odbywa się dotąd na dwóch różnych podstawach. Pierwsza z nich ochraniając lasy od wyniszczenia krępuje prawa własności i swobodne z nich użytkowanie w ogóle, przymusową rządową kontrolą. Druga, oparta na ograniczeniu swobodnego użytkowania w ściśle oznaczonych w prawie wypadkach, celem ochrony interesu prywatnego lub państwowego, zawsze na żądanie stron interesowanych, z przeważnym kierunkiem zachęty, do stopniowego zadrzewiania przestrzeni nieużytecznych pod uprawę rolną.

Komisya przychyliła się do drugiéj zasady z uwagi na to że:

1) gdy w niektórych miejscowościach żyzność gruntów nie pozwala, ze względu na rolnictwo, przymusowo pozostawiać przestrze-

ni pod lasami, a w drugich arterye komunikacyjne ułatwiają zaopatrzenie się w surrogaty opałowe, a w innych torf zastąpić zdoła z czasem drzewo, przeto niepodobna ustanowić z góry jednéj normy dla stosunków leśnych, a wytworzenie ciągłego mięszania się administracyi w sferę zupełnie prywatnego użytkowania z mienia, zawsze i wszędzie wydaje ujemne rezultaty;

2) że w kraju naszym około $^2/_3$ części prywatnych przestrzeni leśnych obciążone są służebnościami, to już przez to samo ulegają skrępowaniu pod względem swobodnego użytkowania;

3) że w obec służebności, zwłaszcza pastwiskowych, właściciele nie są w stanie czynić nakładów na gospodarstwo leśne;

i 4) że zamiast krępowania swobody użytkowania daleko korzystniéj skierować przepisy do tego, żeby musiało nastąpić prawidłowe zadrzewienie nieużytków.

Opierając się na powyższych wnioskach, komisya wyłączając lasy rządowe, uznała za najodpowiedniejszy dla Królestwa system mięszany, polegający na stosowaniu ochrony lasów tylko w wypadkach ściśle oznaczonych, gdy potrzeba zabezpieczyć interes prywatny lub ogólny od szkody i niebezpieczeństw, zawsze na żądanie interesowanych osób prywatnych lub władz rządowych, i zapewnienia zadrzewienia nieoględnie wyciętych przestrzeni a nieużytkowanych na łąki lub stałą uprawę rolną, oraz pozostałych po wyciętym lesie i niezadrzewionych z powodu służebności pastwiskowych.

Szczegółowe pod tym względem wskazówki zawarte są w pierwszych dwunastu artykułach projektu, w których mieszczą się przepisy zasadnicze dotyczące ochrony lasów. Podamy je szczegółowo:

1) przestrzenie leśne będące własnością zbiorową miast, instytutów, osad, gromad wiejskich nie mogą być uszczuplane, a wyzyskiwanie ich może mieć miejsce tylko według zasad prawidłowego gospodarstwa leśnego;

2) we wszystkich lasach mogą być wyznaczane przestrzenie zwane *lasami ochronnemi* i może być postanowione stuczne zadrzewienie: jeżeli z powodu natury gruntu sąsiednie posiadłości zagrożone są zasypaniem, jeżeli posiadłości, budynki, pola, łąki, drogi położone niżéj stoków górzystych, zagrożone są oberwaniem się gruntu wyższego, zalewem lub podmyciem, i jeżeli znajdujące się nad brzegami rzek i kanałów grunta i budowle zagrożone są podmyciem, zalewem lub zniszczeniem od lodów, i jeżeli ogołocenie z drzewostanu zagraża osuszeniem rzek;

3) oznaczenie lasów ochronnych postanowionem być może tylko na żądanie władz rządowych lub stron interesowanych, a użytkowanie z nich wykonywać się może tylko na podstawach w téj ustawie wskazanych;

4) lasy własnością zbiorową będące, poddane są nadzorowi Rad leśnych mających się z mocy niniejszéj ustawy ustanowić;

5) żądać przedsiewzięcia środków ochronnych, może każden interesowany zagrożony szkodą lub niebezpieczeństwem, zarządy gminne i władze rządowe w interesie dobra lub bezpieczeństwa ogólnego. Polegać one będą na odpowiedniem odwróceniu szkody, urządzeniu gospodarstwa leśnego i zadrzewieniu pewnéj przestrzeni;

6) właściciel i użytkownicy przestrzeni poddanéj środkom ochronnym mogą żądać wynagrodzenia szkód wywołanych temiż środkami;

7) w celu zachęty do zadrzewiania, rady leśne udzielają wskazówek i pomocy technicznéj, i wyjednywać mogą zapomogi lub ulgi w opłacie podatków z przestrzeni zadrzewionéj na czas od 10 do 20 lat.

8) przestrzenie wycięte przed ogłoszeniem téj ustawy i niezadrzewione w przeciągu 10 lat od jéj ogłoszenia a niemniéj po ogłoszeniu i niezadrzewione w ciągu lat sześciu, ulegają obowiązkowemu zadrzewieniu jeżeli nie zostały obrócone na łąkę lub pod stałą uprawę;

9) właściciel przestrzeni po wyciętym lesie obciążonéj służebnością pastwiskową, mocen jest stopniowo zadrzewiać połowę téj przestrzeni pozostawiając drugą połowę na służebności. Na zadrzewionéj przestrzeni, służebności wstrzymane będą do czasu dojścia drzewostanów do wieku określonego ściśle ustawą dla każdego gatunku drzewa.

W rozdziale drugim zawierają się przepisy dotyczące składu, praw i atrybucyi władz leśnych powołanych do nadzoru nad wykonaniem ustawy, i pełnienia czynności odnoszących się do ochrony lasów, ułożone na podstawie włoskiego kodeksu leśnego i projektów ułożonych dla Cesarstwa.

Projektowane w nich są rady leśne powiatowe i gubernialne, złożone z obywateli ziemskich z wyboru, i zostające pod przewodnictwem Naczelników powiatowych i Gubernatorów.

Koszta utrzymania rad leśnych, techników i kancelaryi, mają według projektu pokryć wszyscy mieszkańcy powiatu, pogłównie, przyczem pożądaném bardzo byłoby, żeby rząd przeznaczył stałe źródła

funduszu dla rad leśnych, lecz do projektowenia ich komisya nie czuła się powołaną.

Rozdział trzeci poświęcony prawom osób trzecich i służebnościom.

Ze szczegółowych artykułów tego rozdziału widzimy, że obok przepisów ukazu z dnia 19 Lutego roku 1864, Komisya uznała za konieczne, zamieścić szczegółowe przepisy o zamianie i ograniczeniu służebności na innych tytułach opartych. Przepisy te pozostawiają wyborowi właściciela jeden z trzech sposobów zamiany, albo przez wydzielenie części lasu lub gruntów, albo przez spłatę pewnego kapitału, albo zamianę służebności na pieniężną stałą opłatę.

Rozdział czwarty zawiera przepisy o straży leśnéj ułożone na wzór przepisów o straży w lasach rządowych Austryackich i Cesarstwa. Przepisy o policyi leśnéj, bez któréj środki ochronne byłyby uderemnione, wskazane zostały w rozdziale piątym z uwzględnieniem kodeksu leśnego francuzkiego, odnośnych ustaw austryjackich i dawniejszych królestwa dla lasów rządowych. Przepisy łowieckie także opracowane zostały przez komisyę, a postanowienia wskazujące czas polowania na rozmaite zwierzęta i ptaki, oraz kary za wykroczenia przeciwko nim, znajdujemy w rozdziale szóstym projektu.

Rozdział siódmy mieści w sobie, oprócz określenia wykroczeń leśnych, zasady co do tego jakie władze i na jakich prawnych podstawach powołane są do wymierzania kar za wykroczenia przeciwko ustawie lesnéj. Uwzględniając obowiązujące przepisy prawa, komisya znajduje, że najdzielniejszymi środkami ochrony lasów i wstrzymanie nienormalnego wzrostu nadużyć byłyby:

Napiętnowanie cechą kradzieży potajemnego zaboru drzewa i w ogóle płodów leśnych, przez osoby niemające żadnego prawa do używalności w lasach, lub dokonanego choćby przez mających prawo do użytkowania, lecz z pominięciem przepisów policyi leśnéj i potajemnie, oraz poddanie takich czynów karom za kradzież.

Ostatni ósmy rozdział projektu zawiera przepisy ogólne i przechodnie dotyczące stosunku władz wykonawczych i rządowych leśnych zarządów; ogłaszania niektórych przepisów ustawy dla wiadomości, oraz piérwszego zarządzenia wyborów do projektowanych rad leśnych.

W ten sposób skończyliśmy z główną treścią projektu ustawy leśnéj Królestwa Polskiego w takiéj formie w jakiéj on będzie przedstawiony pod walną naradę komisyi, o zmianach jakie komisya uzna za stosowne wprowadzić, w swoim czasie poinformujemy czytelników.

Obecnie dodamy jeszcze, że do projektu dołączony jest wykaz powierzchni lasów Królestwa z którego widzimy, że ogólna ich powierzchnia wynosi 4.907.665 morgów, w téj liczbie wyrąbanych i niezadrzewionych 538.800 morgów a niewyrąbanych i wyrąbanych lecz odmłodnionych 4.368.865 morgów. Największą powierzchnią leśną odznacza się gubernia Lubelska mająca 787.860 morgów a najmniejszą Płocka, 294.034 morgi.

Słyszeliśmy że projekt ten uległ jeszcze pewnym modyfikacyom przy rozpatrzeniu go w pełnym składzie komisyi, i że prócz tego ma być jeszcze zakomunikowany komitetowi Tow. Kred. Ziems. dla skorzystania przy ostatniéj redakcyi, ze światłych uwag zasiadających tam właścicieli ziemskich, z powołania swego tak blisko oznajomionych z ogólnym stanem interesów całego kraju.

Na zakończenie kroniki dzisiejszéj pospieszamy najprzód naprawić mimowolne zapomnienie, które sprawiło żeśmy w swoim czasie nie donieśli czytelnikom o obywatelskim czynie p. Ludwika hr. Krasińskiego.

„Gazeta Rolnicza“ poinformowała nas, że brak dotąd rolniczéj stacyi doświadczalnéj usuniętym przez niego zostaje. Gdzie i kiedy stacya ma być otwartą jeszcze nie wiemy, słyszeliśmy, że początkowo Ursynów pod Warszawą miał być na ten cel przeznaczonym, następnie doszły do nas wieści, że stacya mieścić się będzie w jednym z majątków hrabiego położonych w pobliżu Rudy Guzowskiéj. Stanowczéj decyzi co do miejsca zdaje się, że dotąd nie powzięto i nie wiemy także o zakresie działalności jaką stacya rozwinie, w każdym razie gdziekolwiek będzie otwartą, korzyść z istnienia jéj, zwłaszcza dla rolników, będzie ogromna, gdyż będą mieli gdzie udać się po doborowe zakupy wszelkiego rodzaju, załatwiane dotąd w rozmaitych składach, po cenach wygórowanych i nie odpowiadających częstokroć wartości materyału.

Kierownikiem stacyi ma być dr. Sempołowski dotychczasowy dyrektor takiejże instytucyi w Żabikowie pod Poznaniem.

Należy się więc wdzięczność p. Krasińskiemu za to, że korzystając z materyalnych zasobów jakiemi rozporządza, wstępuje w ślady p. Działyńskiego w Księstwie Poznańskiem i p. Sapiechy w Galicyi, i nie tylko myśli o usługach dla kraju ale je w czyn wprowadza. Działalność tego rodzaju, oprócz bezpośrednich korzyści dla ogółu, ma jeszcze i ten skutek, że uboczną drogą zachęcać może ludzi

mniejszych fortun, do podzielenia z głównym inicyatorem monopolu zaspakajania potrzeb krajowych.

Skończywszy o stacyi doświadczalnéj zawiadamiamy czytelników o dwóch nowych zakładach naukowych powstałych w ostatnich czasach w Warszawie.

Piérwszym jest *szkoła elementarna* otwarta na Lesznie Nr. 76 w pobliżu zakładów garbarskich p. Szlenkera, założona za staraniem właściciela tych zakładów i utrzymywana głównie jego kosztem. Służyć ona będzie nie tylko dla ludności w najbliższym promieniu zakładów zamieszkałéj, ale i dla każdego z mieszkańców miasta, którzy zechcą w niéj dzieci swoje umieścić.

Program szkoły zastosowany jest do zakresu dwuklasowych szkół rządowych, a zadanie jéj polega na daniu w ciągu trzech lat elementarnego wykształcenia wstępującym do fabryk albo do terminu na naukę rzemiosła chłopakom. Od wstępujących wymaganą jest znajomość zasad religii i początków czytania. W razie zgłoszenia się znacznéj ilości stosownie przygotowanych uczniów otworzone będą od razu dwa oddziały.

Opłatę ustanowiono bardzo nizką bo 50 kop., które mogą być wnoszone miesięcznie.

P. Szlenker przeznaczył tymczasowo na potrzeby szkoły po 3.000 rubli rocznie.

Drugim zakładem jest *szkoła dla przychodnich głuchoniemych*, oddana pod kierunek dyrektora instytutu głuchoniemych i ociemniałych, mieści się przy ulicy Piwnéj i posiada trzy klasy, przyjmuje wychowańców przychodnich na warunkach stosowanych w instytucie.

Fundusz szkoły tworzą: coroczny zasiłek od miasta w sumie 500 rubli; od dobroczynności publicznéj także 500 rubli rocznie, i z opłaty wpisowego, brakujące na utrzymanie fundusze czerpane będą z zasobów instytutu. Uczniowie i uczennice utrzymywane kosztem szpitala Dzieciątka Jezus przyjmują się bezpłatnie, a od wpisowego mogą być zwolnione i dzieci niezamożnych rodziców.

OD REDAKCYI.

Przesłane nam z Wilna przy liście W-go Bronisława Römera, dla wręczenia Dr. H. Niewęgłowskiemu, złożone od

I. M. H.	rs.	1.
Zofii R.	„	3.
B. R.	„	4.
I. R.	„	25.
Michała Kazimierza Römera	„	2.
Razem	rs.	35.

niezwłocznie odesłaliśmy do Paryża Dr. Niewęgłowskiemu, od którego otrzymaliśmy zawiadomienie o odebraniu takowych datowane dnia 8-go Sierpnia.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

NOWE KSIĄŻKI,

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu Czerwca r. 1880.

---

1. **Odwieczny spór** o granice między dobrami Bolesław a miastem Olkuszem, rozstrzygnięty wyrokiem Izby sądowéj warszawskiéj 1879 r. Przez *Aleksandra Kraushara* adwokata przysięgłego. Warszawa, 1880.
2. **Gospodarstwo łąkowe.** Przez *Seweryna hr. Uruskiego.* Warszawa. 1880.
3. **Dr. Guido Krafft.** Nauka organizacyi gospodarstwa. Z siódmego niemieckiego wydania przełożyli studenci instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi. Tom I. Warszawa. 1880. Cena rs. 1 kop. 50.
4. **Listy o kulturze.** Przez *J. B. Rogojskiego*, doktora filozofii i nauk przyrodniczych b. nauczyciela chemii. List. Nauka gospodarności. Radom. 1877. List IV. Użyteczność przedmiotów rozporządzalnych. Radom. 1879.
5. **Ustawa gminna** z dnia 12 Sierpnia r. 1866, wraz z innemi z nią w związku będącemi ustawami obowiązującemi. Wydanie trzecie. Uzupełnił zmianami aż po Sierpień 1874 zaszłemi *Dr. Paweł Skwarczyński.* We Lwowie, 1874.
6. **Rolnicze stacye doświadczalne.** Napisał *Bohdan Moskalewski.* Warszawa. 1880.
7. **Obrazy z życia flory.** Opracował według najnowszych źródeł *Wincenty Niewiadomski.* Warszawa. 1880.
8. **Wiara Słowian** z obrzędów klechd, pieśni ludu, guseł, kronik i mowy słowiańskiej wskrzeszoną. Napisał *Romuald Świerzbieński*, kand. praw i doktór medycyny. Warszawa. 1880.
9. **Anatomie von Taenia** perfoliata Göze, als Beitrag zur Kenntniss der Cestoden von Zygmunt Kahane, Proffessor-Adjunkt an der höh. landwirthschaft. Landeslehranstalt in Dublany bei Lemberg. Mit Tafel und einem Holzschnitt. (Odbitka z Zeit. f. wissensch. Zoologie XXXIV B.)
10. **Dr. Bolesław Skórczewski.** Dyjetetyka kąpielowa, czyli nauka jak się zachować należy podczas leczenia w zdrojowiskach. Warszawa 1880. Cena Rs. 1 kop. 20.

Дозв. Цензурою, Варшава, 17 Іюня 1880 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.